

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

Juin 1967

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.



SYRENA

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

B.D.I.C

ORZEŁ BIAŁY

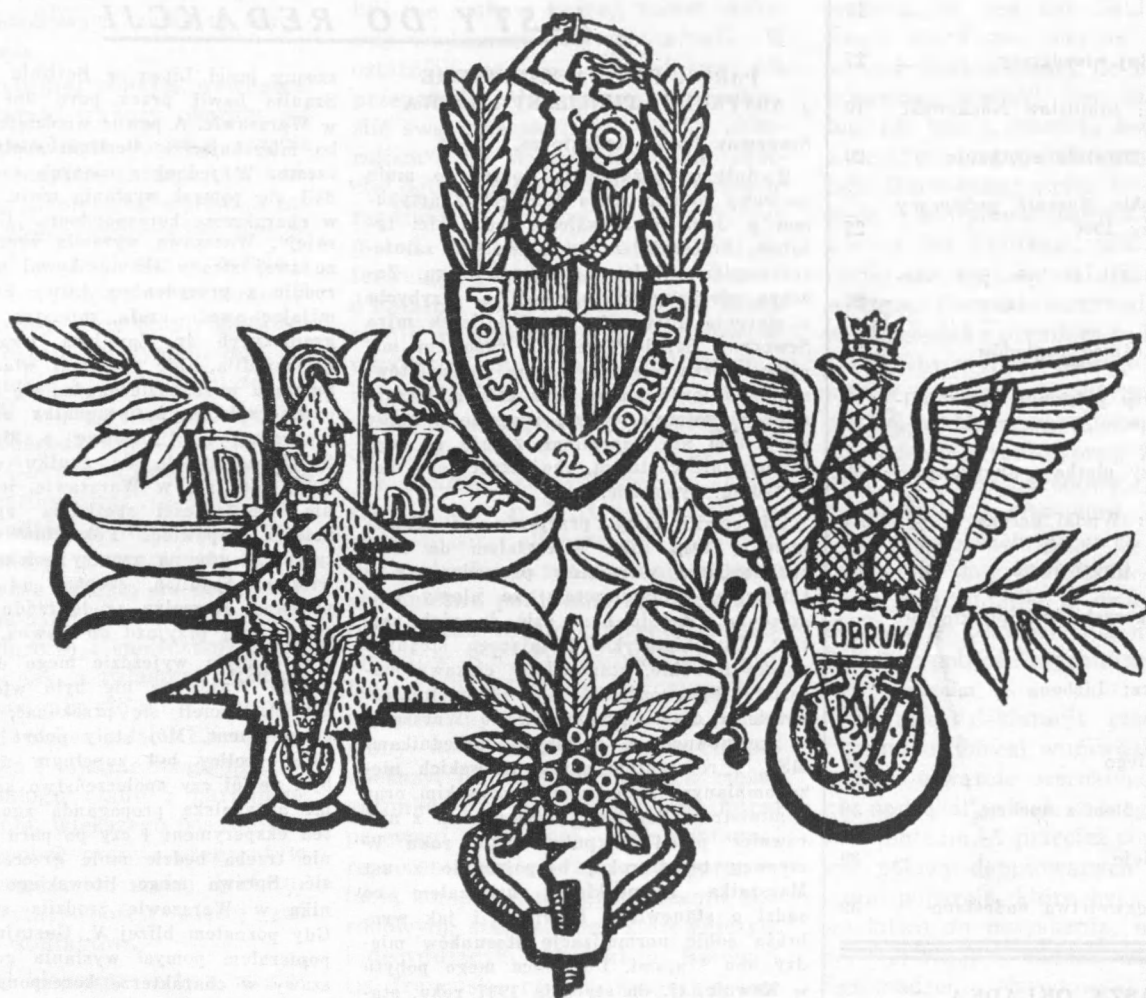
CZERWIEC

1967

Nr 35/1182



Na 25-lecie **3 Dywizji Strzelców Karpackich**



...„I przewalczone nasze lata
I nasza krew i nasze rany,
Polski cyrograf zapisany
Na wszystkich ziemi tego świata“.

Fp2156

W NUMERZE:

R. Fajans: Czy zmierzch Gaullistowskiej epoki	1
Z. Stahl: Obawy, że idzie ku trzeciej wojnie światowej	3
Z. Grabowski: Krytyka czy kumoterstwo	5
K. Glabisz: Brytyjski potencjał wojskowy	8
Z. L. Zaleski: Aż duszno od wędnych wawrzynów	10
kib: Urodzeni kryminaliści	11
Kage: Kronika wojskowa	12
M. Paszkiewicz: In tenebris clarius	13
K. Brzozowska: Żołnierz bez trwogi i zmyzy	15
Z. Junosza: Raj nieodkryty	17
H. Jankowska: Stanisław Noakowski	19
J. Orłowska: Ostatnie spotkanie	20
A. Stambrowski: Rocznik polityczny i gospodarczy 1966	22
W. Witrylak: Jak to było pod Narwikiem	25
W. Netter: Różnice poglądów	28
J. Ostr.: Nurty polskiego życia kulturalnego	29
J. H. P.: Między plotką i anegdotą	30
S. Legeżyński: Wielki uczony	31
J. Ostrowski: Gnozeologia	32
P. Heciak: Igrzyska olimpijskie już za rok	33
M. Temkiewicz: Lizbona — miasto kontrastów	34
Z życia polskiego	36
W. Stefański: Dom z duchem	38
Świat się śmieje	39
Książki i wydawnictwa nadesłane	39

NASZA OKŁADKA

Motyw połączonych odznak wzięty z wydawnictwa „3 Batalion Strzelców Karpackich” opr. Jana Bielatowicza, nakł. Koła Żołnierzy 3 Baonu S. K., r. 1949.

Fragment poetycki z wiersza Kazimierza Wierzyńskiego: „Krzyże i Miecze”.

Ogłasza się subskrypcję

na tom wierszy ALEKSANDRA WATA

p. t.

CIEMNE ŚWIECIDŁO

książka — 240 str. dużego formatu — zawierać będzie:

WIERSE NOWE Z LAT 1962—67, ORAZ WYBÓR WIERSZY DAWNIEJSZYCH

Subskrybentom egzemplarze (podpisane przez autora) będą rozdane w lipcu br.

Cena w subskrypcji: Frs. 15.00; dol. 3.00; sh. 20

(cena księgarska będzie wyższa)

Zgłoszenia i przedpłaty — do 15 czerwca br. — przyjmuje:

LIBRAIRIE „LIBELLA” — 12, rue Saint Louis en l'Isle, PARIS.

LISTY DO REDAKCJI

PARĘ UWAG NA MARGINESIE ARTYKUŁU „PIKILISZKI I LITWA”

Szanowny Panie Redaktorze,

Z dużym opóźnieniem dotarł do mnie marcowy numer „Orla Białego” z artykułem p. Jana Walewskiego pod takim tytułem. Przeczytałem go z wielkim zainteresowaniem. Zwłaszcza część drugą. Zawiera nieznany mi szczegół o przybyciu 4 sierpnia 1934 roku do Pikiliszek mjr. Seweryna Sokolowskiego z raportem ministra Becka o stanie spraw polsko-litewskich. Major Sokolowski, z którym łączyła mnie długoletnia, zażyła znajomość, nigdy mi o tym nie wspominał. Żałuję, że tego raportu nie czytałem, choć treść jego mogłoby sobie wyobrazić.

Od chwili mego przyjazdu do Kowna jesienią 1933 roku przysyłałem do MSZ sprawozdania z rozmów prowadzonych z Litwinami. Przypuszczam, że uległy zniszczeniu. Chętnie bym dziś do nich zajął. Dla historyka, badającego stosunki polsko-litewskie, stanowiłyby ciekawy materiał. Sprawozdania swe uzupełniałem ustnie w czasie przyjazdów do Warszawy w rozmowach z wyższymi urzędnikami MSZ, z referentem spraw litewskich niezapomnianym Tadeuszem Perkowskim oraz z ministrem Beckiem. Rozmawiałem z nim również przed sierpniem 1934 roku. W czerwcu tegoż roku, bezpośrednio z ust Marszałka Piłsudskiego, usłyszałem co sądzi o stanowisku Litwinów i jak wyobrażał sobie normalizację stosunków między oboma krajami. Do końca mego pobytu w Kownie, tj. do stycznia 1937 roku, starałem się być wykonawcą jego zleceń. P. Walewski za „Gazetą Polską” przytacza w swym artykule fragment wypowiedzi Marszałka o stanowisku Litwinów.

A teraz kilka sprostowań nieścisłości, które wkraśli się do artykułu „Pikiliszki i Litwa”.

Nic mi nie wiadomo, by przed moim wyjazdem jesienią 1933 roku do Kowna, ów-

czesny poseł Litwy w Berlinie dr. Jurgis Szaulis bawił przez parę dni incognito w Warszawie. A pewno wiedziałbym o tym, bo mieszkając w Berlinie spotykałem go często. W jednej z naszych rozmów zrodził się pomysł wysłania mnie do Kowna w charakterze korespondenta „Gazety Polskiej”. Warszawa wyraziła zgodę. Szaulis ze swej strony skomunikował się bezpośrednio z prezydentem Litwy Smetoną, omijając swego szefa, ministra spraw zagranicznych dr. Zauniusa, uważanego za germanofila. Gdy otrzymał wiadomość, że Smetona w zasadzie zgadza się na pomysł, oświadczył mi, że pragnąłby udać się — incognito na rozmowę z Marszałkiem. Spotkanie doszło do skutku w czerwcu 1933 roku nie w Warszawie, lecz w Wilnie. Okoliczności spotkania opisałem w książce „Spowiedź Pokolenia”. Wspomnę tylko, że gdy na granicy polsko-litewskiej witałem Szaulisa, szepnął mi zaraz, że przywozi formalną zgodę rządu litewskiego na mój przyjazd do Kowna.

O żadnym wyjeździe mego odpowiednika do Warszawy nie było wtedy mowy. Litwini chcieli się przekonać, jak zagra eksperyment. Mój stały pobyt w kowieńskiej stolicy był zupełnym novum. Nie byli pewni czy społeczeństwo karmione od lat antypolską propagandą zgodzi się na ten eksperyment i czy po paru miesiącach nie trzeba będzie mnie grzecznie wyprosić. Sprawa mego litewskiego odpowiednika w Warszawie zrodziła się później. Gdy poznałem bliżej V. Gustajnisę gorąco popierałem pomysł wysłania go do Warszawy w charakterze korespondenta urzędówki litewskiej „Lietuvos Aidai”.

Przed moim wyjazdem do Kowna nie byłem na audiencji w Belwederze. Marszałek przyjął mnie dopiero 1 czerwca 1934 roku, a więc już po wielu miesiącach mego pobytu na tej wyjątkowej placówce. Wtedy, wypowiedział do mnie słowa, które cytuję p. Walewski. W czasie

(Ciąg dalszy na str. 40)

Wielu obserwatorów we Francji zadaje sobie pytanie, czy nie przeżywamy obecnie zmierzchu gaullizmu, czy nie asystujemy przy końcu politycznej epoki, która rozpoczęła się w 1958 roku. Pozornie, wygląda nieco na to. Pierwszym objawem w tym względzie były, może, wybory prezydenckie z końca 1965 r., gdy to, wbrew wszelkim oczekiwaniom, gen. de Gaulle poddany został balotażowi i uzyskał, w drugiej turze, tylko 55% ogółu oddanych głosów, przeciw 45% oddanych na p. Mitterand. Jako ostrzeżenie No. 2 uważane są ostatnie wybory ustawodawcze, z marca r.b., które wykazały, że gaulliści są w kraju mniejszością i zakończyły się utratą 40 mandatów parlamentarnych przez gaullistowskie U.N.R. pozostawiając temu stronnictwu w Zgromadzeniu Narodowym znikomą większość 1 głosu.

We francuskiej polityce wewnętrznej te ostatnie wybory okazały się punktem zwrotnym. Lewica wyszła z nich wzmocniona, skrzepnięta, bardziej pewna siebie. Pod wpływem poważnego sukcesu wyborczego, pęd do jej jedności wzmógł się wyraźnie i zaczął dawać konkretne wyniki. Z drugiej strony barykady, gaulliści stracili wyraźnie na dynamizm, na pewności siebie i, co ważniejsze, na jedności. W szeregach ich pojawiły się parcia odśrodkowe. Niezależni republikanie Giscard d'Estaína, zwani tutaj „giscardowcami“, z jednej, lewicowi gaulliści z drugiej strony, okazywać zaczęli coraz więcej niezależności, dążąc zresztą do celów całkiem odmiennych, w dziedzinie polityki gospodarczej i społecznej. Jedni i drudzy jednak, a zwłaszcza „giscardowcy“, domagają się mniej „bezwąrunkowości“ wobec pałacu Elizejskiego, szerszego i lojalniejszego niż dotychczas dialogu rządu z parlamentem i z opinią, większego poszanowania rządu wobec praw i prerogatyw obu izb. Oznacza to: mniej dyktatury i autorytatywności, więcej zaś perswazji i kontaktów.

Najwięcej kłopotów w tym względzie przysparzają de Gaulle'owi i Pompidou „giscardowcy“, którzy powiększywszy w wyniku wyborów swój stan posiadania w Pałacu Burbońskim o blisko 10 mandatów, czyli o przeszło 20% w porównaniu z ostatnią Izbą, stanowią obecnie poważną siłę parlamentarną, bez której mowy



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

B.D.I.C

Nr 35/1182

CZERWIEC 1967

Rok XXVI

ROMAN FAJANS

CZY ZMIERZCH GAULLISTOWSKIEJ EPOKI?

być nie może o żadnej, nawet znikomej większości parlamentarnej. W ostatnich czasach, „giscardowcy“ nie przepuścili żadnej okazji, by podkreślić swą „niezależność“ i swój „liberalizm“, by wypowiedzieć się przeciw dotychczas stosowanym metodom rządzenia i domagać się zmiany tych metod. Tak więc, mimo osobistej interwencji gen. de Gaulle, p. Giscard d'Estaing odmówił zgody na utworzenie, w Zgromadzeniu Narodowym, wspólnego klubu parlamentarnego z byłym U.N.R., co silnie zirytowało ponoć generała, nieprzyzwyczajonego do odmów.

Z drugiej strony barykady, Federacja lewicy p. Mitterand organizowała się coraz skuteczniej i jest obecnie na drodze do zjednoczenia w jedno stronnictwo polityczne należących do niej trzech rodzin politycznych: socjalistów S.F.I.O., radykałów i klubów. Jeśli zaś chodzi o komunistów, ich poważny sukces wyborczy odniesiony w wyborach marcowych powiększył do tego stopnia ich ciężar gatunkowy w łonie lewicy, że, mimo przewagi liczbowej parlamentarnej reprezentacji Federacji nad reprezentacją kompartii w Zgromadzeniu Narodowym, stali się oni kierowniczym i decydującym czynnikiem. Kompartia francuska rzuciła wszystkie swe siły na szalę, by zacieśnić do maksimum współpracę całej lewicy, oczywiście pod jej zamaskowanym kierownictwem, i by doprowadzić do ustalenia wspólnego programu, przez nią inspirowanego.

Niektórym zdawało się, że, wobec nader miernych dla U.N.R. wyników

wyborczych, gen. den Gaulle zliberalizuje nieco swe metody rządzenia, zmieni swój stosunek do parlamentu i nawiąże kontakt, tzn. zacznie dialog, nie tyle z opozycją lewicową, ile z centrum, reprezentowanym w Pałacu Burbońskim przez 42 deputowanych, z których wielu, jak np. pp. Pleven lub Fontanet, nie są bynajmniej anty-gaullistami. Stało się odwrotnie. Generał utrzymał najprzód na stanowisku premiera p. Pompidou, jak gdyby wybory niczego nie zmieniły w wewnętrzno-politycznej sytuacji kraju. Mianował następnie i ponownie ministrami Spraw Zagranicznych i Obrony narodowej pp. Couve de Murville i Messmera, obu pobitych w wyborach, przez co chciał zapewne dać do zrozumienia, że nic nie może ulec zmianie w dwu „zarezerwowanych“ osobiście dla niego dziedzinach: polityki zagranicznej i obrony.

W swej deklaracji rządowej, p. Pompidou obiecał wprowadzić deputowanym otwarcie szerokiego dialogu, nie nawiązał jednak żadnego kontaktu z centrum. A przecież poparcie nawet połowy deputowanych tego centrum, poparcie, które było stosunkowo łatwe do pozyskania, byłoby zapewne rządowi solidną większością w Zgromadzeniu Narodowym. W oczach gen. de Gaulle jednak, wrogiem No. 1 gaullizmu są nie komuniści, lecz właśnie centrum, gdyż posiada ono tę samą klientelę wyborczą, co b. U.N.R. Wrogiem No. 2 stają się obecnie coraz bardziej „giscardowcy“, dotychczasowi niezmiennie wierni sprzymierzeńcy.

Wreszcie, jak grom z jasnego nieba, spadła sprawa „specjalnych pełnomocnictw“ dla rządu w dziedzinie ekonomicznej i socjalnej. W dziejach nie tylko V-ej, lecz również IV-ej i III-ej republiki zdarzało się nieraz, że poszczególne rządy domagały się od parlamentu i otrzymywały takie pełnomocnictwa, które pozwalały im wydawać, w ściśle określonym, niedługim zazwyczaj okresie czasu dekrety, z mocą ustawy. Dekrety takie winny były być, post factum, przedłożone do ratyfikacji parlamentowi.

Jeśli więc to ostatnie żądanie „specjalnych pełnomocnictw“ wywołało taką burzę w Pałacu Burbońskim i w opinii, publicznej, to mniej dla samej zasady, ile raczej ze względu na moment, w którym zostało przedłożone i na okoliczności, w jakich miało to miejsce. Pełnomocnictwa tego rodzaju odbierają parlamentowi prawo ustawodawcze w takich czy innych dziedzinach, i przekazują to prawo rządowi. Jeśli chodzi o pełnomocnictwa w dziedzinie gospodarczej i społecznej, jest to szczególnie ważne i delikatne. Żądanie, by parlament zrezygnował z takich praw, w niespełna dwa miesiące po wyborach ustawodawczych i w niespełna miesiąc po swym ukonstytuowaniu, jest czymś bez precedensu w historii francuskiego parlamentarizmu. Poza tym, wnosząc projekt ustawy w tym sensie, rząd zaskoczył całkowicie i parlament i opinię publiczną. O projekcie takim nie wiedzieli, ani deputowani, ani nawet ogromna większość ministrów, którzy poinformowani zostali dopiero tegoż dnia, na końcu posiedzenia rady ministrów. Tzw. większość gaullistowska również nie wiedziała, gdyż nikt nie zapytał jej o zdanie.

Wszystko to spowodowało poważny kryzys w łonie gaullizmu. Paru ministrów, wielu deputowanych U.N.R. i wszyscy „giscardowcy“ wypowiedzieli się od razu przeciw zarówno samej zasadzie tego rodzaju pełnomocnictw, jak i przeciw zastosowanej w tym wypadku przez gen. de Gaulle i p. Pompidou metodzie. Na znak protestu, jeden z najbardziej reprezentatywnych i najdawniejszych ministrów, p. Edgar Pisani, podał się do dymisji. „Giscardowcy“ poddali zamiar rządu surowej krytyce i niektórzy z nich zapowiedzieli, że głosować będą przeciw projektowi ustawy. Na-

wet pewna ilość deputowanych U.N.R. wyraziła publicznie swe zdziwienie i zgorszenie i premier miał dużo kłopotu z ich klubem parlamentarnym. Centrowcy opowiedzieli się, niemal jednomyślnie, przeciw projektowi. Jeśli zaś chodzi o opozycję lewicową, uznała ona, oczywiście, ten krok rządu za niebywałą gratkę i rozpętała gwałtowną kampanię przeciw pełnomocnictwom. Federacja p. Mitteranda zapowiedziała natychmiast, że wnieśnie wniosek o cenzurę, czyli o nieufność wobec rządu.

Wydawało się więc niektórym, że projekt rządowy będzie odrzucony przez Zgromadzenie Narodowe i sam rząd obalony, co pociągnąć winno za sobą rozwiązanie Izby i nowe wybory. Sek jednak w tym, że nie potrzeba wcale głosowania nad samym projektem ustawy, by tenże był przyjęty. Konstytucja 1958 r. przewiduje, w samej rzeczy, że skoro rząd stawia kwestię zaufania w związku z jakimś projektem ustawy, opozycja rozporządza 24 godzinami czasu, by zareagować wnioskiem o cenzurę. Jeśli w tym czasie nie postawi ona takiego wniosku, lub jeśli wniosek taki zostanie odrzucony przez Zgromadzenie, projekt ustawy uważany jest automatycznie za uchwalony, przyjęty. Procedura głosowania nad wnioskiem o cenzurę jest nader swoista i czyni przyjęcie takiego wniosku niesłychanie trudną sprawą. Wniosek taki jest przyjęty, jeśli uzyska głosy absolutnej większości wszystkich deputowanych, tzn. 244 głosy. Głosują jedynie zwolennicy wniosku o cenzurę, tzn. przeciwnicy rządu. Liczą się tylko ich głosy. Wstrzymać się od głosowania jest więc równoznaczne z opowiedzeniem się przeciw wnioskowi o cenzurę za rządem. Zważywszy, że teoretycznie, gaullitowcy rozporządzają w Zgromadzeniu 242 głosami i że wśród deputowanych nie należących do żadnego klubu i centrowców zawsze znajdzie się kilku, którzy nie będą chcieli wywołać przesilenia rządowego i reżymowego, użyć 244 głosy za wnioskiem o cenzurę jest niebywale trudno.

Chyba, że pewna ilość „giscardowców“ głosowałaby za wnioskiem opozycji. Od nich więc zależał, ostatecznie, los wniosku o cenzurę, los rządu i, może, reżymu. Przyjaciele p. Giscard d'Estaing zareagowali na inicjatywę rządu nader ostro. Odmówili

udziału w zapowiedzianym wspólnym posiedzeniu ich klubu parlamentarnego z klubem U.N.R., posiedzeniu na którym p. Pompidou udzielić miał obu klubom wyjaśnień na temat projektu ustawy o pełnomocnictwach. Wycofali się z komitetu łączności między ich klubem i klubem U.N.R. W licznych deklaracjach, wywiadach i artykułach skrytykowali bezwzględnie projekt ustawy, uznając takowy za objaw całkowitego braku zaufania rządu do parlamentu i za metodę „dyktatorską“. Równocześnie jednak przywódcy ich, pp. Giscard d'Estaing i Michał Poniatowski, oznajmił, że „giscardowcy“ nie będą głosować o cenzurę, gdyż „w obecnej chwili“, nie chcą rozpętać politycznego kryzysu“. W obecnej chwili, nie oznacza jednak „nigdy“. I nikt zagwarantować nie może, że niezależni-republikanie Giscarda nie będą głosować przeciw rządowi, na jesieni np. gdy wejdzie pod dyskusję projekt budżetu na r. 1968. Faktycznie, organiczny związek między „giscardowcami“ i U.N.R. jest zerwany i trudno jest stwierdzić, czy niezależni republikanie należą jeszcze, lub nie należą, do większości rządowej.

Związki zawodowe wreszcie odpowiedziały na inicjatywę rządu proklamowaniem 24-godzinnego strajku powszechnego na dzień 17 maja. Co uderza w dany wypadek, to całkowita solidarność między czterema wielkimi centralami syndykalnymi, komunistyczną C. G. T., „Force Ouvrière“, C.F.D.T. i federacją Oświaty Narodowej (organizacja nauczycielska). Inicjatywa strajku wyszła ponoć od tej ostatniej organizacji, która, wraz z „Force Ouvrière“, jest najmniej zaangażowana politycznie i najbardziej umiarkowana. Jeśli chodzi o „Force Ouvrière“ to ten związek zawodowy odmawiał stale dotychczas wszelkiej współpracy, wszelkich kontaktów z komunistyczną C.G.T. becznie, jak widać, wszystko się zmieniło.

Zapowiedziany strajk powszechny ma charakter wyrażnie polityczny i stanowi fakt, bez precedensu we Francji od 29 lat. Ostatnia tego rodzaju manifestacja miała miejsce w 1938 r., jako wyraz protestu przeciw dekretem ówczesnego rządu Dauladier. Po wojnie, związki zawodowe unikały strajków politycznych, oba-

(Dokończenie obok)

ALARMY wojenne odzywają się zawsze od czasu do czasu, ale dawno nie wychodziły one od osobistości tak wysoko postawionych, jak stało się to ostatnio. W połowie maja prasa podała całą serię takich alarmistycznych, zaskakujących wypowiedzi.

Jedna wyszła, nie mniej nie więcej, tylko od samego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Z okazji przyjęcia dla członków Sądu Najwyższego w Białym Domu dnia 11 maja 1967, według reportażu w „Washington Post” bynajmniej nie sprostowanego, prez. Johnson powtórzył słowa własne, powiedziane do córek Luci, prawie rok przedtem, w dniu 29 czerwca 1966. Było to po wydaniu przez niego rozkazu bombardowania naftowych instalacji pod Hanoi i słowa brzmiały: „twój ojciec może przejść do historii, jako ten który

ZDZISŁAW STAHL

B.D.I.C

Obawy, że idzie ku trzeciej wojnie światowej

rozpoczął trzecią wojnę światową... możesz się jutro nie obudzić”. LBJ mówił potem o bezsennej nocy, jaką wtedy spędził i o modlitwach, jakie z córką zanosił. Fakt powyższy zaszedł blisko rok temu, ale nie jest z pewnością przypadkowe, że został przypomniany obecnie.

Następnego zaraz dnia, 12 maja, sowiecki „numer 1” Breżniew w stolicy bułgarskiej, Sofii, skierował do Stanów Zjednoczonych ostrą przestrożę w razie dalszej „eskalacji” wojny w Wietnamie. Oświadczył, że sowiecka reakcja będzie proporcjonalna od takich kroków ze strony amerykańskiej. W tej samej, publicznej mowie Breżniew powołał się na obawy wybuchu trzeciej wojny, wyrażone przez sekretarza generalnego ONZ, U-Tanta, które zrobił on po objęciu kilku krajów azjatyckich. Według U-Tanta, interwencja Chińskiej Republiki Ludowej w Wietnamie staje się coraz prawdopodobniejsza, za czym przysłał by i jego zdaniem, również sowiecka. U-Tant zwrócił uwagę, że — mimo sporów Moskwy z Pekinem — traktat wzajemnej pomocy między obu głównymi reżymami komunistycznymi nie został wypowiedziany i współpraca ich w Wietnamie trwa dalej. Można by dodać, że spór ten stał się nawet ostatnio czynnikiem, łączącym je w walce z amerykańskim „imperializmem”, bo powodującym wyścig coraz większej pomocy dla Hanoi.

STOSUNKI WASZYNGTONU Z MOSWĄ — CORAZ GORSZE

Nastroje wojenne związane są, oczywiście, przede wszystkim z mnożącymi się ostatnio dowodami pogarszania się stosunków między Waszyngtonem a Moskwą. Nawet zachodnie pisma, uprawiające zawodowy optymizm w zakresie „pokojoyej ko-egzystencji” świata wolnego z Sowietami i starające się nie zauważać faktów, jej zaprzeczających, musiały to pogarszanie się ostatnio stwierdzić. Londyński „The Observer” z 14 bm. przyznaje nawet wyraźnie, że nadzieje wyrażane od początku 1967 r. na odprężenie amerykańsko-sowieckie rozwiąły się. W dalszym ciągu depeszy swego korespondenta z Waszyngtonu, niedzielne pismo angielskie wymienia szereg świadczących o tym okoliczności.

Amerykańskie koła rządowe liczą się

obecnie z możliwością odroczenia przez Sowiety ratyfikacji umowy konsularnej ze Stanami Zjednoczonymi, którą zatwierdził już Kongres i do której przywiązywano w kołach prosowieckich duże nadzieje; Kreml ponadto ociąga się z przystąpieniem do planowanego wprowadzenia lotów na linii Nowy York—Moskwa. Dalej, co ważniejsze, zanosi się podobno na zerwanie ze strony sowieckiej lub przynajmniej przewlekanie genewskich rozmów w sprawie układu o nierozpowszechnianiu broni nuklearnych, co wszystko wiąże się — rzecz jasna — z wspominanym wyżej zaostrzeniem konfliktu wietnamskiego. Wbrew prognozom waszyngtońskich sowietologów, Rosja angażuje się też w coraz dalej idącą pomoc dla komunistów Hanoi.

Po zawarciu — mimo trwających wciąż sporów z Pekinem — umowy o transport tej pomocy przez terytorium Chin, według amerykańskich informacji, Rosja zaopatruje teraz płn. Wietnam w żywność, co dotychczas robili tylko komuniści chińscy. Wedle U-Tanta 80% pomocy dla Hanoi pochodzi z Sowietów. Wreszcie ostatnio, zaczęto jakoby instalować w płn. Wietnamie sowieckie wyrzutnie pocisków nietylko przeciwlotniczych, ale mogących atakować dalekie cele naziemne i nawet zagrozić stołecznemu m. Sajgon. Zanotowane niedawno dwa incydenty między sowieckimi a amerykańskimi okrętami wojennymi na morzu Japońskim związane być miały właśnie z dostawami morskimi, które z Władywostoku do płn. wietnamskiego portu Hajfong dla komunistów tamtejszych z Rosji idą. Dyplomatycznym wyrazem zaostrzenia stosunków Białe Dom-Kreml jest przedłużająca się zwłoka w powrocie do Waszyngtonu sowieckiego ambasadora A. Dobrynina, który miał zjawić się na swojej amerykańskiej placówce już z początkiem maja.

TAKŻE NA ŚRODK. WSCHODZIE ZAOGNIECIE

Do ogniska wietnamskiego w pld. wschodniej Azji doszło też w ostatnich tygodniach gwałtowne zaostrzenie sytuacji na Środkowym Wschodzie. Niezmiernie ważny dla strategii światowej, kontynentalny ten pomost z Azji do Afryki i obszar źródeł naftowych, z

(Ciąg dalszy na str. 4)

(Dokończenie ze str. 2)

wiając się, że masy robotnicze nie odpowiedzą na ich apel.

Można myśleć co się chce o pełnomocnictwach żądanych przez rząd Pompidou, krytykować lub nawet potępiać tę inicjatywę. Nie jest to jednak sprawa związków zawodowych, lecz wyłącznie parlamentu. Jeśli deputowani nie zgadzają się w tym względzie z rządem, mogą uchwalić wniosek o cenzurę i rząd obalić. Taka byłaby droga parlamentarna, demokratyczna. Proklamowanie jednak strajku powszechnego jest zaprzeczeniem demokracji. Czyniąc to, związki zawodowe chcą, oczywiście, wyrzucić presję na parlament. Twierdzą one, że przeciwnie, pragną bronić demokracji i praw parlamentu. W rzeczywistości jednak, proklamując taki strajk, depczą te prawa i demokrację. Postępowanie ich jest jeszcze gorsze, niż zachowanie się rządu, na które jakoby reagują.

Chwilowo, bilans niefortunnej inicjatywy rządowej jest, z grubsza, następujący. Zacieśniła ona jeszcze bardziej współpracę lewicy niekomunistycznej z kompartią. Rzuciła neutralne dotychczas centrum w objęcie opozycji lewicowej. Zraziła poważnie „giscardowców” i oddaliła ich od ortodoksyjnych gaullistów. Zaniepokoiła wreszcie wielu spośród tych ostatnich i zachwiała ich wiarę w nieomyślność gen. de Gaulle’a. Mini — większość gaullistowska wydajnie z tej próby sił poważnie osłabiona.

Roman Fajans

rzędu najbogatszych na kuli ziemskiej, od objęcia władzy w Egipcie przez Nassera, afery sueskiej w 1956 r. i krwawego obalenia prozachodniej monarchii w Iraku, został podminowany szeregiem sprzeczności oraz potencjalnych konfliktów, wyzyskiwanych przez Sowietów do zdobywania tam wpływów.

Arabskie kraje Środk. Wschodu podzielone są na dwa obozy, a czynnikami trzecim, przeciw któremu są one wszystkie to — Izrael, komplikujący jeszcze bardziej tamtejsze położenie międzynarodowe. Obóz Nassera, grupujący żywioły rewolucyjne i orientujące się na Moskwę, to oprócz jego Egiptu, noszącego ambitną nazwę Zjednoczonej Republiki Arabskiej: Syria, w której od 15 miesięcy trwa reżym prosowiecki, Irak, Kuwait i republikańska część Jemenu, na którego obszarze 50 tysięcy wojsk egipskich prowadzi od lat walkę z monarchistami, opartymi o Arabię Saudyjską. Jej władca, król Fajsal wraz z królem Jordanii Hussejmem i kilkoma szejkami Arabii Południowej, tworzą arabski obóz tradycyjniejszy i prozachodni. Liban stara się zachować neutralność. Ciągłe ruchy i zamachy w Adenie, wrzenie w całej pld. Arabii, zasilane poprzez Jemen z Egiptu, to fragment tej samej rywalizacji dwu obozów arabskich.

Zachwianie tej całej, opartej na sprzecznościach struktury Środkowego Wschodu, które nastąpiło w ciągu maja, było poprzedzone na początku wiosny przez wizytę w Kairze, Gromyki, a jeszcze przed tym sowieckiego premiera Kosygina. Wolno przypuszczać, że poufne ich rozmowy nie były pozbawione związku z obecnym kryzysem, z wypowiedzeniem przez Nassera prawa pobytu oddziałom wojskowym ONZ na granicy egipsko-izraelskiej, z mobilizacją wojenną pięciu państw arabskich i z całym alarmem, jaki na skutek tych niepokojących faktów podniósł się w stolicach mocarstw. Słusznie bowiem oświadczył prezydent Izraela, Zalman Szazar, że „wojna na naszym obszarze oznaczała by zarazem wojnę światową“.

ZAMACH WOJSKOWY W GRECJI

Nagle zaostrzenie sytuacji na całym Środkowym Wschodzie, ujawnione w maju, rzuca nowe światło na wojskowy zamach antykomunistyczny, który pod koniec kwietnia dokonany został w Grecji. Miał on na celu zapobiegnięcie tam przewrotowi komunistycznemu, którego projekt na tle obecnej szerokiej ofensywy obozu prosowieckiego w tym rejonie świata tym bardziej dziś wygląda prawdopodobnie.

Z trudem obroniona przed komunizmem w latach powojennych, dzięki brytyjskiej i następnie amerykańskiej pomocy, dziś należąca do Organizacji

Traktatu Północnoatlantyckiego (NATO) i stowarzyszona ze Wspólnym Rynkiem, stanowiąca na morzu Egejskim niezbędne oparcie dla operującej tam Szóstej Floty Stanów Zjednoczonych, Grecja jest niesłuchanie ważnym ogniwem obrony Środk. Wschodu przed naporem sowieckim od północy. Toteż, można zrozumieć, że kiedy próby młodego króla Konstantyna, zmierzające do utrzymania konstytucyjnego porządku środkami parlamentarnymi, wydały się zawodne, patriotyczne koła wojskowe zaryzykowały inną drogę.

Obecne trudności Grecji rozpoczęły się jeszcze w 1964 r., kiedy umarł król Paweł i na tron wstąpił 24-letni syn jego Konstantyn. Tego samego roku bowiem po ośmiu latach nieprzerwanych rządów przegrał wybory i ustąpił konserwatywny rząd Karamanlisa, a do władzy doszła, przeniknięta komunistyczną infiltracją, partia „centrowa“ pod wodzą siedemdziesięciokilkoletniego G. Papandreu, który objął rządy. Rychno okazało się jednak, że nowy premier zaczyna szeroko zakrojoną czystkę w korpusie oficerskim, polegającą głównie na przenoszeniu oficerów, znanych z lojalności wobec korony, do peryferyjnych garnizonów. Wtedy wystąpił z sensacyjnymi oskarżeniami przywódca greckiej walki na Cyprze i narodowy bohater Grecji generał G. Grivas. Oświadczył on, że w armii działa tajna rewolucyjna organizacja „Aspidi“ i że na czele jej stoi Andrzej Papandreu, członek ojcowskiego rządu. Król zarządził w rezultacie tych oskarżeń administracyjne śledztwo, co doprowadziło do konfliktu z premierem Papandreu oraz do udzielenia mu przez młodego, lecz — jak okazało się — stanowczego monarchę dymisji.

W partii centrowej doszło na tle powyższego konfliktu do rozłamu, co pozwoliło Królowi na powoływanie gabinetów, ale o większości chwiejnej. W październiku 1966 rozpoczął się proces „Aspidy“, nastroje polityczne zaostrzyły się i w grudniu ustąpił, pozbawiony trwałej większości, rząd Stefanopulosa, powodując otwarcie nowego przesilenia. W marcu 1967 zakończył się wspomniany proces i 15 spośród 28 oskarżonych otrzymało wyroki skazujące. Wśród skazanych znalazł się również Andrzej Papandreu, którego przed uwięzieniem bronił jednak mandat poselski.

Na tle takiej, napiętej sytuacji król Konstantyn mógł powołać jedynie przejściowy rząd Kanellopulosa, który w porozumieniu z G. Papandreu zobowiązał się przeprowadzić wybory w maju tego roku. Wrzenie w kraju jednak nie ustawało, zaczęto się liczyć z możliwością rewolucyjnego przewrotu podczas kampanii wyborczej i w obliczu tego zagrożenia doszło w nocy z 21 na 22

kwietnia do zamachu, który został dokonany bezkrwawo i z niezwykłą sprawnością przez wojsko pod kierunkiem szefa sztabu, gen. G. Spandikas.

JAK W AMERYCE ŁACIŃSKIEJ

Precyzja całej operacji wynikała, podobno, stąd, że była ona urzeczywistnieniem planu oficjalnego na wypadek grożącego przewrotu rewolucyjnego. Wykonanie planu wymagało by jednak konstytucyjnej drogi i sankcji, na które jednak wojskowi zamachowcy postanowili nie czekać, uznawszy zapewne, że było by to spóźnione. Oprócz wspomnianego szefa sztabu, inni czołowi przedstawiciele wojskowej dyktatury, to brygadier S. Patakos, który objął w nowym rządzie sprawy wewnętrzne i bezpieczeństwo oraz płk. G. Papadopoulos, dowódca garnizonu Ateny, mianowany sekretarzem gabinetu. Premierem został człowiek cywilny, główny prokurator przy Najwyższym Sądzie, K. Kollias, co rzekomo nie było przewidywane przez wojsko, ale co wymógł król Konstantyn, postawiony przed faktyczną, polityczną koniecznością legalizacji zamachu. Cywilny premier zapowiedział powrót do legalizmu po uspokojeniu i zabezpieczeniu kraju i po reformie konstytucji.

Ostatni zamach w Grecji przypomina swoim charakterem szereg innych, dokonanych ostatnimi laty w niektórych krajach Ameryki Łacińskiej, pld. wschodniej Azji i także Afryki, zwykle nazywanych „niedorozwiniętymi“, czyli zacofanymi gospodarczo i pozbawionymi społecznej równowagi wewnętrznej. Grecy, chociaż to jeden z najstarszych cywilizacyjnie narodów, rozwój ich od czasów starożytnych uległ długowiekowej przerwie i nowoczesna Grecja liczy zaledwie sto kilkadziesiąt lat odrodzonego, ciągłego bytu państwowego. Posiada też ona wiele cech społeczno-gospodarczego „niedorozwoju“ i wystawiona na silną penetrację komunistyczną nie zdoła więc obronić przed nią zachodnio-europejskimi środkami swojej narodowej samodzielności. Wolno przypuszczać, że Stany Zjednoczone, które okazują zrozumienie dla opartych o wojsko ustrojów na swojej półkuli zachodniej, uznają również przejściową konieczność operacji greckiej.

Można się tego zrozumienia spodziewać tym bardziej w miarę pogarszania się sytuacji na Środkowym Wschodzie i wzmagającej się ofensywy prosowieckiego bloku z Nasserem na czele. Ostatnie wypadki, zbyt skwapliwe wycofanie oddziałów wojskowych ONZ z pogranicza Egiptu i Izraela, mobilizacja państw arabskich — zrobiły Środkowy Wschód drugim obok Wietnamu ogniskiem wojny.

Zdzisław Stahl

KRYTYKA CZY KUMOTERSTWO

Kiedy przed trzema laty przejmowałem redakcję „Kontynentów“ z rąk Floriana Śmieji, myślałem, że może najważniejszym zadaniem tego pisma powinno stać się przywrócenie hierarchii wartości literaturze emigracyjnej, hierarchii zwicniętej na skutek metod nadmiernie wychwalania i tego, co w Polsce zyskało sobie miano kumoterstwa. Oczywiście, „Kontynenty“, które przestały istnieć 1 stycznia roku bieżącego, mogły służyć tej sprawie odbudowania wartości w krytyce emigracyjnej na małą tylko skalę — ale sam wysiłek uważałem za cenny i wskazany. Dlatego zapraszałem pióra, które dotychczas jeszcze nie były niejako „w grze“, ludzi, którzy pisaliby szczerze o swoich wrażeniach z lektury, nie kierując się takimi czy innymi względami. „Kontynenty“ były też jedynym pismem, które zwróciło uwagę na metody pracy zbiorowej o literaturze emigracyjnej (2 tomy pod redakcją Tymona Terleckiego).

Czy ulegałem złudzeniom, starając się na łamach „Kontynentów“ przebić metody kumoterstwa? Czy jest to tylko moje osobiste zdanie, czy też część przynajmniej społeczności emigracyjnej odczuwa podobną niechęć do krytyki inspirowanej tymi czy innymi względami? W kraju krytyk Artur Sandauer stworzył swojego czasu pojęcie „taryfy ulgowej“, z której korzystają niektórzy pisarze. Wydawało mi się, że na terenie emigracyjnym niektórzy pisarze stosują metodę jazdy na gapę. Sąd własny poddałem osądowi szerszemu na kolacji „Kontynentów“ w dniu 5 maja, przy czym dyskusja tego wieczoru poświęcona była właśnie tematowi „Krytyka czy kumoterstwo?“. Z głosów jakie rozlegały się na sali można by wnioskować, że społeczeństwo emigracyjne orientuje się w niedoborach krytyki i że nie traktuje jej nadmiernie poważnie. Wynik jednak dyskusji był raczej negatywny, a zatem nie dostrzeżono sposobów zaradzenia tej sytuacji i uznano, że może krytyka nie jest rzeczą aż tak ważną.

Wydaje mi się, że krytyka i respektowanie odpowiedniej hierarchii wartości jest bardzo ważną funkcją kul-

tury każdego społeczeństwa i dowodzi jego witalności i czujności. W uwagach, które dodałem do spostrzeżeń p. Macieja Cybulskiego, zatrzymałem się na kilku punktach, które zdaniem moim są dalej istotne. Oto one:

Podkreśliłem, że zbyt melodramatycznie brzmiałyby słowa „zmowa milczenia“, która istnieje wokoło pewnych autorów, ale że niesposób nie dopatrzeć się chęci przemilczania pewnych pisarzy, albo stale, albo w pewnych okresach. Przytoczyłem przykład Miłosza, który z chwilą kiedy zerwał z reżymem i zdecydował się zostać na wolnym Zachodzie, stał się na pewno wielkim atutem literatury emigracyjnej, a książka, jaką napisał: „Zniewolony umysł“, była jedną z nielicznych książek polskich, które przeniknęły do szerszej świadomości narodów zachodnich. A jednak Miłosz poza „Kulturą“ przez długie lata nie był dyskutowany ani omawiany, tak jakby nie tworzył i nie był pozycją czynną. Była to niewątpliwa krzywda w stosunku do pisarza znakomitej klasy, który wywalczył sobie uznanie na Zachodzie. Nikt nie ma chyba powodów do oskarżania mnie o entuzjazm w stosunku do twórczości Witolda Gombrowicza, ale milczenie jakim otaczano go przez długie lata na łamach londyńskich „Wiadomości“ nie było niczym usprawiedliwione. Podobno przedwojenne „Wiadomości Literackie“ także się nim nie zajmowały. Jeżeli tak — to równie niesłusznie. Nie wolno bowiem ignorować pisarza, który budzić może takie lub inne oceny i uczucia, ale który niewątpliwie jest oryginalną i czynną pozycją piśmiennictwa emigracyjnego. Tym zabawnie wyglądała sytuacja, kiedy od kilku lat pismo, które stale przemilczało Gombrowicza, zaczęło o nim pisać — i to nieraz ze skrajnym zapalem. To przerzucenie się z milczenia do zapалу nie wywarło zbyt poważnego wrażenia.

Idźmy dalej: Marek Hłasko wzbudził ogromne zainteresowanie, gdy opuścił Polskę. Pisano o nim wiele — ale od kilku lat coraz mniej widzi-

my o nim recenzji i wzmianek poza łamami „Kultury“. Czyżby Hłasko przestał pisać? Czy przeciwnie, talent jego nie pogłębił się w czasie pobytu w Izraelu i czy nie zasługuje na to, aby te zmiany podkreślić i poważnie przedyskutować? Dlaczego autorzy, którzy nie mogą się porównać z Markiem Hłasko oryginalnością talentu i dynamiką, omawiani są często i gęsto na łamach pism emigracyjnych, a Marek Hłasko jest jakby zapomniany? Dlaczego Herling-Grudziński, jeden z czołowych pisarzy emigracji, jest przemilczany — znowu z wyjątkiem „Kultury“? Czy dlatego, że nie jest on autorem łatwym i że utwory jego naładowane są myślą, a nasze społeczeństwo na ogół nie przepada za autorami myślącymi? Bardzo często woli ono autorów jadących na oklep na koniu tzw. „temperamentu pisarskiego“. Herlinga omijają notorycznie nagrody literackie, które przypadają w udziale nawet nie pisarzom, ale dziennikarzom.

Drugim momentem, który poruszyłem w dyskusji „Kontynentów“ jest pewna bezkarność niektórych wypowiedzi, albo brak reakcji na skrajnie sformułowane sądy. I tak na przykład Józef Mackiewicz zamieszcza na łamach „Wiadomości“ artykuł, który, gdybym miał iść w ślady nieporównanego Adolfa Nowaczyńskiego, powiedziałbym o nim, że zawiera sądy mento-kapturowe. Mackiewicz stawia bowiem ni mniej ni więcej tezę, że literatura, która istnieje w dzisiejszej Polsce nie jest w ogóle literaturą polską. Artykuł ten nie spotkał się dotychczas z należytą odprawą, a zatem z odpowiednio ostrą odprawą, tym bardziej, że stanowi on dowód braku uprzejmości wobec kobiety, do której był skierowany, a ponadto nie ukrywał rozgoryczenia faktem, że własne książki Mackiewicza nie znajdują się na rynku polskim. Odprawy ostrej artykułowi temu jednak dać nie sposób, albowiem redakcja „Wiadomości“ wyznaje zasadę, że listy do redakcji nie mogą polemizować z autorami. Odpowiedź musi być dana w artykule, czego dokonał dr Wit Tarnawski w pełnym godności szkicu, w którym poruszył motywy czysto ludz-

kie i na tym tle uwypuklił „nieładzkość“ tezy Mackiewicza.

Ale może Józef Mackiewicz uważa, że ma jakiś tytuł do przemawiania imieniem pisarzy emigracyjnych? Może przejął się tytułem hetmana, który nadał mu samowolnie Marian Hemar, o ile wiem absolutny cywil, nie mający wiele wspólnego z woj-kiem. To właśnie Marian Hemar, satyryk wyborczy, w ocenie powieści Mackiewicza „Lewa wolna“ pasował go na hetmana literatury. Nawet w zmilitaryzowanych Niemczech nikt nie mianował feldmarszałkiem literatury Tomasza Manna, a tym bardziej we Francji nikomu się nie śniło dawać tytuł marszałka na przykład — Gide'owi. Te militarystyczne gesty są śmieszne i niepotrzebne, tym bardziej, że tytuł hetmański nadaje się nie tyle powieściopisarzowi, co publicyście, z którego sądami sprzed wojny, z czasów wojny i po wojnie bardzo niewiele osób ma zamiar się godzić. Pozatem: literaturze niepotrzebni są wodzowie i hetmani, chyba, że są oni klasy Mickiewicza.

Inny punkt: niesprawiedliwość. Radio Wolna Europa, Rozgłównia Polska, dysponuje, na szczęście, poważnymi odcinkami czasu i może poświęcać wiele miejsca zjawiskom kulturalnym zarówno na emigracji jak i w Kraju. Poza tym RFE dysponuje wyszkolonym, by tak powiedzieć, zespołem ludzi, którzy znają literaturę krajową i emigracyjną, czytają nowe utwory i mogą być uważani za fachowców od literatury po obu stronach granicy wolności. Dyskusje, które RFE urządza na temat książek krajowych i emigracyjnych są zawsze godne przeczytania w dodatku „Na Antenie“, który przynosi bogaty i ciekawy materiał.

Tym większe było rozczarowanie stałych czytelników „Na Antenie“, gdy zapoznali się ze stenogramem obrad jury nad najlepszą książką emigracyjną wydaną w r. 1966. Wydawało im się, że odznaczenie to przypaść powinno rzeczy, która sama niejako „szła w ręce“: powieści Piotra Guzy, która stanowiła swojego rodzaju rewelację r. 1966. Oto był autor z prawdziwego zdarzenia, któremu udało się opowiedzieć niesamowitą i straszliwą historię w nowy sposób, formalnie zaskakujący — udało mu się poprowadzić opowieść kilkuwatkową czy kilkunurtową, wy-

kazując wysoki kunszt pisarskiej techniki.

Użyta przez niego forma jest trudna i oporna i bardzo łatwo jest się na niej potknąć. Guzy wyszedł zwycięsko z tej próby i należała mu się nagroda czy raczej pochwała jury RFE. Zamiast tego usłyszeliśmy ze strony dwóch krytyków — w tym jednego poety przedzierzgniętego w krytyka — pean zachwytów nad utworem, który uważać należy chyba za żart sceniczny: mam na myśli „Operetkę“ Witolda Gombrowicza ogłoszoną w bibliotece „Kultury“ razem z jego „Dziennikiem“ z lat ostatnich. Ale dwóch krytyków potraktowało ten żart jako rzecz poważną, jako objawienie nowej formy: padły słowa porównujące ten żart do „Nieboskiej Komedii“ Krasińskiego — a krytyk czy raczej poeta, Przyłuski, wspomniał na dokładkę Ionesco i Brechta, dając do zrozumienia, że Gombrowicz ich bije. Gdzie Krym, gdzie Rzym... jak mawiano w dawnej Rzeczypospolitej. Można by jeszcze znaleźć jakieś punkty styczne, ale z trudem, z Ionesco, ale z Brechtem? Gdyby Przyłuski, dobry poeta, orientował się nieco w literaturze niemieckiej, to wiedziałby jaka jest pozycja Brechta, uważanego za jednego z najwybitniejszych pisarzy dramatycznych, nie tylko Niemiec, ale w. 20-tego. Kto, jak autor tych słów, znał Niemcy epoki „Opery za trzy grosze“, ten wie jakim wstrząsem były utwory Brechta: jego dorobek jest olbrzymi, a jego pozycja w literaturze i w języku niemieckim jest powszechnie uznana. Przyłuskiemu polecam pracę np. Martina Esslina o Brechcie, która chociaż krytyczna wobec jego politycznych zawijsów i moralnych „uników“, oddaje mu hołd jako mistrzowi sceny i to na skalę światową. Gombrowicz tej pozycji nie ma i mieć nie może, a jego „Operetka“ ma, jeżeli chodzi o parantele, pokrewieństwo nie z Krasińskim czy Wyspiańskim, ale chyba z „Zieloną Gęsą“ Gałczyńskiego. Znalazłoby się natomiast analogie między pozycją Wyspiańskiego a Brechta.

Wielka szkoda, że jury nie uznało zasług Piotra Guzy i dało się ponieść snobizmowi na temat autora, który i tak jest dostatecznie już chwalony.

Czwarty punkt: „Literatura“ Terleckiego, dwa zwałiste tomy, które

ocenione były tylko na łamach „Kontynentów“ oraz „Orla Białego“. „Wiadomości“ nie dały żadnej recenzji, a „Kultura“ dwie krótkie raczej wzmianki aniżeli rzetelne omówienia. Dlaczego? Przecież było to wydawnictwo ponoć pomnikowe, jakiego nie dał Kraj swojej literaturze, ogromny wysiłek materialny i materiałowy, trud, na który już nikt nie zdobędzie się przez lata, aż powstanie kiedyś prawdziwie rzeczowa ocena literatury i Kraju i emigracji. Przecież książka taka prosiła się o szeroki rozbiór, tym więcej, że wiele osób prywatnie uważało ją za „fałszywy dokument“ i za „szczyt kumoterstwa“. Dlaczego zatem przemilczano tę pozycję? Czyżby dlatego, że zabrakło osób odważnych, które by powiedziały prawdę pod adresem redaktora tego wydawnictwa? Jest zabawne, że „Wiadomości“ drukują od czasu do czasu na swoich łamach wrywki z ocen tego wydawnictwa — w Kraju. Czyżby Kraj miał zawstydząć krytykę emigracyjną? Brak odwagi to jedna z najsmutniejszych cech krytyki emigracyjnej.

Przesada: o pewnych autorach tylko w superlatywach. Zofia Romanowicz, która napisała ciekawą i oryginalną powieść „Przejście przez Morze Czerwone“, ogłosiła w serii PFK tom nowel. Jeden z krytyków zachwycił się tym zbiorem, co mu wolno, i zaraz niepotrzebnie dodaje, że tom ten jest godzien nagrody Nobla czy też jest tej klasy, za którą udziela się tę nagrodę. Po co ta przesada? Przesada, która wprowadza w błąd czytelnika? Nagrodę Nobla nieraz dawano osobom mało znanym w literaturze światowej — jak Gracii Deledda — ale dawano albo za dorobek i to poważny, albo przez wzgląd na kraj pisarza (tak dano częściowo nagrodę Nobla w r. 1924 Reymontowi: nie tylko z uwagi na jego „Chłopów“, doskonale tłumaczonych bodaj przez Piotra Kaczkowskiego na niemiecki, ale i jako wyraz hołdu dla nowopowstałej Polski). Z pisarzy polskich — takie krążą pogłoski — wysuwani są obecnie przez te czy inne koła: Zbigniew Herbert i Jerzy Andrzejewski, podobno takie i Gombrowicz, ale czy to znaczy jeszcze, że nagrodę tę dostaną, lub że na nagrodę taką już zasłużyli?

Inny punkt: żyjemy na Zachodzie, lecz odbicia tego Zachodu w formie

ocen książek angielskich, amerykańskich, niemieckich, francuskich czy włoskich jest niewiele w naszych piśmiach. Nie wiemy jak rozwija się literatura amerykańska, jeżeli chodzi o prozę powieściową, czołową chyba dzisiaj w świecie. Nie wiemy, co się dzieje w literaturze angielskiej. Od czasu do czasu tylko Stefania Kossowska czy Adam Czerniawski poinformują nas o nowych rzeczach tej literatury, tak jak Marian Axel napisze nam czasem z Nowego Jorku o ciekawostkach amerykańskich. Czy pisał ktoś o zjawisku, które zwie się Günther Grass? Czy wiemy o nowych talentach literatury włoskiej? Przed wielu laty napisałem dla „Wiadomości” po przeczytaniu pierwszej rzeczy Teiharda de Chardin niewielki szkic o tym autorze. Pojawił się ten szkic skrócony do notatki. Uważano widocznie, że pisarz klasy Teilharda de Chardin nie jest wart szerszego omówienia. A równocześnie pisze się sążniste artykuły o rzeczach naszych i obcych, które nie mają istotnie większego znaczenia. To niedostrzeganie literatury Zachodu jest wybitnym brakiem krytyki emigracyjnej.

Jak powstaje zjawisko kumoterstwa? Oto przykład na gorąco? P. Maria Danilewicz w dyskusji o książkach emigracyjnych r. 1966 zwróciła uwagę na tom Pawła Łyska, osnuty na tle życia pogranicza śląskiego. Słusznie. Łysek jest pisarzem na dorobku i wymaga zachęty. Ale dlaczego niebawem po tym p. Paweł Łysek pisząc list do redakcji „Wiadomości” i przesyłając datek na Bibliotekę Polską, nazywa od razu jej bibliotekarkę „wielką pisarką”. Czy bogaty język polski nie ma już innych wyrażen? Tak powstaje zjawisko kumoterstwa, które coraz bardziej razi ludzi o jakim takim smaku.

Dlatego krytyka emigracyjna cierpi na te uchybienia i na te choroby? Nie tylko dlatego, że krytyka na emigracji nie jest zajęciem intratnym i że przy stałym obyczaju ścinania recenzji przez redaktorów nie można by z tych ocen i artykułików wyżyć. W normalnym kraju krytyk pisze o autorach, których przeważnie nie zna — nie ma zatem nad sobą presji osobistej. Na emigracji wszyscy się właściwie znają i krytyk zna przeważnie tego, o którym pisze. Gra u niego często rolę czynnik dobrego

serca, motyw, by tak rzec, spod znaku Czerwonego Krzyża, chęć nieszkodzenia. Dobre serce zwycięża zdrowy sąd. Chęć pomocy zmienia się w przesadę.

Podświadomie jednak działa tutaj w krytyku przemożenie wola wykazania, że literatura na emigracji jest lepsza, o wiele lepsza od krajowej, że pisze się tutaj same arcydzieła, i że jeszcze więcej arcydzieł znajduje się w szufladach. Jest to przypuszczalnie nieświadomy motor — ale źle nastawiony. Na emigracji powstają na pewno nieraz rzeczy lepsze niż w Kraju, ale nie można zestawiać społeczności 30-to milionowej, która wiele chyba czyta i gdzie nakłady best-sellerów idą w 100 tys. i więcej, ze spo-

łecznością półmilionową, gdzie niewiele się czyta i gdzie nakład 2 tys. egz. jest uważany za szczyt marzeń. Poza to nie sposób zestawiać Polski z jej olbrzymim zasobem pisarzy w tym doskonałych krytyków, z emigracją.

Nie starajmy się konkurować z Krajem. Piszmy dobrze i coraz lepiej. Wystrzegajmy się kumoterstwa, przesady, niesprawiedliwości sądów, przeinaczania hierarchii wartości. Chwalmy pisarzy dobrych, nie wahać się wytknąć błędy autorom nawet najbardziej popularnym. Zerwijmy z obłudą i kumoterstwem, które wypacza życie kulturalne polskiej diaspory.

Zbigniew Grabowski

SOS recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski
Poznań, Półwiejska 1

Imię i nazwisko chorego A. Pomorski

Rp.
Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)
Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)
Persantin 75 dragées (NIEMCY)
Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)
Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)
Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data Poznań 2.1.1966

Dr. Med. K. Kratowski
Podpis i stempel lekarza

P.S. Doradzałam załatwić przez TAZAB w Londynie, bo wykona natychmiast!

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100, EAST 10th ST., N. YORK 3. NY.
WE FRANCJI: TAZAB, 20, RUE LEGENDRE, PARIS 17., Tel. 429-00-45

BRYTYJSKI POTENCJAŁ WOJSKOWY

ZNANY tygodnik amerykański „U. S. News & World Report” umieścił niedawno rysunek przedstawiający wystraszona jagnię, symbol E.W.G., leżące w małżeńskim łóżu obok brytyjskiego lwa, którego potężne, acz sztuczne szczęki moczą się w ogromnej szklance na nocnym stoliku. Na dobrą sprawę miejsce owego jagniętka powinien być zająć niedźwiedź lub wilk. Oczywiście, nie jako symbol Wspólnoty Gospodarczej, lecz zagrożenia, coraz bardziej „brytyjskiego lwa” (ku zmartwieniu sojuszników i coraz liczniejszych krytyków brytyjskich) bagatelizowanego.

Czy te obawy są słuszne? Czy Wielka Brytania istotnie przestała liczyć się z możliwością zbrojnego konfliktu i wobec tego swą gotowość i zdolność do odparcia ewentualnej agresji osłabia?

Nas, przymusowych mieszkańców tej wyspy, powinny te pytania żywo zainteresować — i to z różnych powodów. Odpowiedzi na nie można znaleźć w tegorocznym „white paper” rządu brytyjskiego, obrazującym oceny sytuacji i plany jego resortu obrony. Szczupłość ram jednego artykułu uniemożliwia skomentowanie całości tego dokumentu. Toteż ograniczę się dziś do próby znalezienia odpowiedzi tylko na pytanie, czy Wielka Brytania istotnie osłabia swoją gotowość i zdolność obronną?

Na pozór pytanie takie jest bezzasadne. Wszak, jak powszechnie wiadomo, tegoroczny preliminarz budżetowy brytyjskiego resortu obrony przewiduje nie zredukowanie, a nieznaczne zwiększenie jego kredytów — z 2.172 do 2.205 milionów funtów. Niestety, biorąc pod uwagę zwyżkę cen, de facto nastąpiła redukcja o 45 milionów, a nowy budżet przedstawia tylko wartość £ 1.927 milionów z 1964 roku. Co nie mniej ważne, różne pociągnięcia oszczędnościowe, mające tę faktyczną redukcję zrównoważyć, zmienia radykalnie rozmieszczenie i zadania brytyjskich sił zbrojnych w świecie.

Nim przyjrzymy się obecnemu i planowanemu stanowi tych sił, kilka przypomnień dotyczących ich przeszłości. W. Brytania nigdy nie była potęgą lądową. Zabezpieczona do niedawna swoim wyspiarskim położeniem, miała od wieków tylko małą, zaciężną armię, która w razie wojny rozrastała się wolno i tylko koalicyjne lub kolonialne wojny prowadziła. Jeśli mimo to i mimo przegrywania pierwszych bitew ostatecznie zawsze zwyciężała, to dzięki „bulldogowskim” cechom bry-

tyjskich żołnierzy i przywódców, pomocy sojuszników i wyspiarskiemu położeniu. Zwłaszcza, że była od Trafalgaru aż do połowy II. wojny światowej największą potęgą morską i stała się pod koniec tej wojny także potęgą powietrzną, ustępującą już tylko Ameryce. Lata powojenne obniżyły tę jej per saldo wysoką lokatę, choć dorobiła się własnych broni atomowych i wodorowych i jeszcze w 1948 roku miała pod bronią 850.000 ludzi, z czego 465.000 w wojsku, a 237.000 w lotnictwie. To relatywne i absolutne zmniejszenie brytyjskiego potencjału wojskowego, redukujące automatycznie polityczne znaczenie Londynu, zostało spowodowane z jednej strony zniesieniem obowiązkowej służby wojskowej, a z drugiej strony niepowodzeniami w dziedzinie rakiet, zbyt częstą zmianą planów, utratą kolonii, emancypacją dominionów, kłopotami gospodarczymi, wreszcie ostrzejszym tempem zbrojeń kilku innych państw. —

STAN OBECNY

Stan liczebny brytyjskich sił zbrojnych, razem z oficerami i pomocniczą służbą kobiet, przekracza już tylko nieznacznie 410.000, przy czym ok. 240.000 stacjonuje w W. Brytanii, niespełna 60.000 w Niemczech Zachodnich, 52.000 na Dalekim Wschodzie i po 20.000 na Środkowym Wschodzie i na Morzu Śródziemnym. Gotowe rezerwy skurczyły się w ciągu ostatnich 10 lat z 703.000 do 103.000. Wskutek niedostatecznej ilości ochotniczych zgłoszeń, zwłaszcza do lotnictwa, stan liczebny wszystkich trzech części sił zbrojnych nie osiąga stanów, swego czasu jako ostateczne minimum ustalonych.

Zapas bomb atomowych i wodorowych nie jest znany, ale z pewnością wielokrotnie mniejszy niż amerykański czy sowiecki. Co gorsze, W. Brytania nie posiada na razie ani ponaddziesięciokrotnych bombowców strategicznych, ani daleko sięgających rakiet lądowych z głowicami atomowymi lub wodorowymi. Posiada jedynie kilkadziesiąt zbyt wolnych bombowców typu „V” oraz dwa jeszcze niezupełnie gotowe duże okręty podwodne, uzbrojone w amerykańskie rakiet atomowe typu „Polaris”. Rakiet średniodystansowych również nie ma, odkąd amerykańskie „Thor” zostały zlikwidowane, a niezbyt liczne rakiety taktyczne należą do pierwszej generacji.

Wojsko, liczące (bez oficerów i pomocniczej służby kobiet) 160.270, skła-

da się (poza bronią pancerną) z zaledwie 13 brygad, obejmujących m.in. 61 baonów piechoty. Do tego dochodzi brygada Ghurków licząca na razie 14.000 oficerów i szeregowych, oraz 5 baonów piechoty morskiej. Wśród uzbrojenia i sprzętu jest już sporo powojennych typów (m.in. czołgi „Centurion” i „Chieftain”, rakiety i bezdrutowe działa ppanc. i plot., nowe moździerze 81 mm, amfibijne wozy „Stalwart”, zamknięte i opancerzone pojazdy strzeleckie na gasienicach itd.), nie wydaje się jednak, że jest ich pod dostatkiem. Dalszymi słabiznami: brak nowoczesnych dział i rakiet atomowych (tylko „Honest John” i „Corporal”) oraz za mały zapas samobieżnej artylerii ciężkiej, helikopterów i środków przeprawowych, nie mówiąc o kurczącej się, młodej i wyszkolonej rezerwie. Ogromne rozrzucone ogranicza dodatkowo możliwości powiększenia wojska w mobilizacji.

Marynarka wojenna — została już zdystansowana zdecydowanie nie tylko przez amerykańską, ale także przez sowiecką flotę, choć została po wojnie unowocześniona i otrzymała około 80 nowych jednostek, w tym kilka nawodnych i podwodnych z rakietami i kilka podwodnych z atomowym napędem. Jej personel, co prawda bez oficerów i „wrenów”, skurczył się do zaledwie 82 tysięcy (razem z piechotą morską i lotnictwem morskim). W niemniejszym stopniu zmniejszył się jej tonaż ogólny, bo wszystkie pancerniki i liczne stare krążowniki, eskortowce, trałowce itd. poszły na złom, a budowa nowych lotniskowców urwała się już przed wielu laty. Lotnictwo morskie, zresztą niezbyt liczne, ma przeważnie przestarzały sprzęt. Jedynie flota handlowa, aczkolwiek nie tak nowoczesna jak sowiecka, niemiecka czy japońska, odzyskała znów (wobec zmniejszenia floty amerykańskiej) pierwsze miejsce w świecie. Przynajmniej pod względem tonażu.

Lotnictwo, którego personel skurczył się do 96.000 (bez oficerów i pomocniczej służby kobiet), przechodzi kryzys mimo posiadania ogromnego zaplecza przemysłowego, zatrudniającego wciąż jeszcze około 250.000 specjalistów i robotników. Kryzys ten zapoczątkowany w 1957 roku jednostronnym nastawieniem ówczesnego ministra Sandysa na rakiety, a przedłużany przez wahania, zmiany planów, trawienie rynków zagranicznych itd., doprowadził do tego, że R.A.F. nie ma obecnie, jeśli pominać myśliwce „Lightning”, nowoczes-

nych samolotów i może otrzymać tylko z zagranicy albo przy współpracy z Ameryką lub Francją, bo rząd zrezygnował z 16 przygotowywanych typów brytyjskich, w tym bombowców TSR-2 i dwóch typów zdolnych do pionowych startów i lądowań. Jedynie brytyjski przemysł silnikowy utrzymał swą wysoką pozycję. W rezultacie R.A.F. nie ma na razie (poza wspomnianymi „Lightning”) ani bombowców, ani myśliwców, ani transportowców, które mogłyby się mierzyć z nowym sprzętem amerykańskim, sowieckim, francuskim

O ile stan czynnej obrony plot. jest, być może, od biedy wystarczający, stan obrony biernej (tzw. „civil defence”) przedstawia się, jeśli wierzyć artykułowi Clare Hollingwortha, umieszczonemu w „Daily Telegraph” z 15 maja, wręcz rozpaczliwie.

Plany na najbliższą przyszłość.

Zamierzenia, ujawnione w „white paper”, trzeba podzielić na dwie kategorie: 1) podyktowane względami oszczędnościowymi i walutowymi, 2) zmierzające do usunięcia przynajmniej najdotkliwszych braków.

Ponieważ ceny sprzętu idą stale w górę, a rząd brytyjski jest zdania, że wydatki na obronę nie mogą przekroczyć 2 miliardów funtów wartości z 1964 roku, choć spadły do 6,5% dochodu narodowego, szuka się przede wszystkim oszczędności przez zlikwidowanie lub zredukowanie baz zamorskich oraz reorganizację i redukcję wyższych dowództw i wojska. Niezależnie od już dokonanej likwidacji baz afrykańskich i zamierzonej likwidacji wielkiej bazy w Adenie w 1968 roku przewiduje się wycofanie do W. Brytanii gros sił stacjonowanych w Malazji, Singapurze i na Malcie oraz zredukowanie armii Renu o 5.000, tudzież zmniejszenie sił pozostałych na Cyprze. Na wschód od kanału suezkiego ma pozostać jedynie nieco wzmocniony garnizon w Bahrein oraz nadal dość silna załoga coraz bardziej zagrożonego Hongkongu. W sumie ma wrócić do W. Brytanii już w bieżącym roku 25.000 do 30.000 żołnierzy wojska lądowego oraz pewna ilość jednostek morskich i lotniczych.

Czy ta translokacja zostanie w pełni wykonana i czy da poważniejsze oszczędności, nie jest bynajmniej pewne. Wszak spowoduje znaczne wydatki na budowę nowych pomieszczeń, (także dla rodzin), placów ćwiczeń itd. Pewne jest jedynie, że siły i wpływy brytyjskie bardziej ścieśni i wspieranie obrony Azji przed czerwonym zalewem pozostawi wyłącznie Ameryce i Australii.

Jakie oszczędności da zamierzona redukcja i reorganizacja sił zbrojnych, tym trudniej przewidzieć, że redukcja jest częściowo zależna od zgody part-

nerów atlantyckich, a reorganizacja jeszcze nie całkowicie ustalona. Na razie wiadomo tylko, że ogromny personel władz centralnych ma być w br. zredukowany do 22.000, czyli o 1.300, a pomocniczy personel cywilny do 339 tysięcy, czyli o 14.000, oraz że 13 istniejących brygad piechoty ma być reorganizowanych na 6 dywizji, a brygada Ghurków zmniejszona do 10.000. Niezdrowa dysproporcja między tyłami a jednostkami liniowymi tak czy inaczej pozostanie. Nawet, gdyby nie nastąpiła dalsza redukcja jednostek, która ma podobno zwłaszcza piechotę dotknąć! Nie dziw, że różni komentatorzy brytyjscy biją z tego powodu na alarm. Zwłaszcza, że podobno myśli się o zredukowaniu wojska do 1970 r. o dalsze 30.000, choć ono jest tak czy inaczej za słabe.

Rząd zdaje sobie z tego sprawę, ale wie, że bez poważniejszych redukcji stanów nie wykroi dostatecznych sum na zakup sprzętu, bo utrzymanie wyłącznie zawodowych sił zbrojnych jest daleko droższe niż mieszanych, a przywrócenie poboru nie wchodzi z różnych względów w rachubę. Narazie dysponuje stosunkowo skromnymi kredytami na inwestycje. Toteż „white paper” mówi więcej, choć oczywiście też tylko ogólnikowo, o długofalowych zamierzeniach na lata siedemdziesiąte, niż o inwestycjach w bieżącym roku budżetowym, przy czym nawet długofalowe plany mają charakter oszczędnościowy, a terminy ich zamierzonej realizacji nie zostały podane.

W tych warunkach nie sposób określić, czy przewidziane jest dalsze wzbogacanie arsenału broni niekonwencjonalnych poza tym, że mają dojść dwa dalsze okręty podwodne z raketami „Polaris”.

Jeśli idzie o dalszą modernizację floty, to ma ona poza nowym sprzętem do zwalczania okrętów podwodnych otrzymać kilka nowych fregat i ulepszonych okrętów podwodnych oraz no-

we rakiety i helikoptery dla większych jednostek nawodnych, natomiast budowa dodatkowych lotniskowców została ostatecznie zarzucona, choć to już za kilka lat uzależni flotę od jej lotnictwa związanego z lądem, zresztą zmniejszonego i unowocześnionego tylko przez wprowadzenie rozpoznawczych „HS-801” i Bukamer.

Jaki ciężki sprzęt, kiedy i w jakich ilościach ma otrzymać wojsko, oczywiście, nie ujawniono. Nie wydaje się, by tempo tych dostaw miało być szybkie. Jeśli idzie o nowe typy sprzętu, to mowa jest tylko o zamierzonym wprowadzeniu ultra-czerwonych lunet i okularów, umożliwiających celne strzelanie i prowadzenie pojazdów w mroku, oraz o nowych broniach plot. („Blowpipe” i „Bloodhound II.”)

Największy nacisk położony jest na unowocześnienie lotnictwa. Ma ono otrzymać amerykańskie myśliwce bombowe „Phantom” (pierwsze już na początku 1968 roku) oraz później bombowce „F-111” i duże transportowce C-130, a niezależnie od tego (co prawda dopiero od 1975 roku) francusko-brytyjskie bombowce o przesuwalnych skrzydłach (jak w amerykańskich „F-111”) oraz francuskie samoloty szkolne „Jaguar”. Również pokładowe bronie oraz elektroniczne wyposażenia samolotów mają być unowocześnione. W jakim stopniu program ten, zresztą ulegający ciągłym zmianom, zostanie wykonany, zależy będzie w znacznym stopniu od tego, czy W. Brytania wejdzie do E.W.G., czy nie.

Poprawy na odcinku wyszkolonych rezerw i obrony cywilnej trudno się spodziewać. O montowaniu czynnej obrony przeciwraketowej, nie może być mowy. Dobrze, że przynajmniej istnieje atlantycka stacja w Fylingdales pod Yorkiem, sygnalizująca wyrzucenie rakiet.

Jak widzimy, długofalowe plany ministra obrony Healey mają pod nie-

(Dokończenie na str. 12)

WÓDKI I LIKIERY NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

J. A. BACZEWSKI

Lwów

1782

Wiedeń

Wiśniówka — Krupnik — Starka — Wiśniak
Jarzębiak — Malinowa — Tea Rum — St. Bernhard

Importowane przez:

PODOLIA COMPANY LIMITED

Zamówienia kierować do:

PODOLIA CO. LTD. — 159, Waterloo Street,
Oldham, Lanc's. Tel.: 061 MAI 4626

lub do:

J. A. BRUCE & CO. — 9, Lenthal Place,
London, S.W. 7. Tel.: 373 5808

Ządać wszędzie

Ceny przystępne

Aż duszno od wędnących wawrzynów

50-ciolecie stworzenia Armii Polskiej we Francji obchodzone dwukrotnie: 2-go maja na dorocznym zebraniu Towarzystwa Hist.-Literackiego na Quai d'Orléans i 7-go maja na obchodzie Święta Narodowego w sali Cercle Militaire.

I tu i tam przemawiali ci sami dwaj mówcy. Ścisłej mówią, zagajał z właściwą sobie wymowną, a tak czarującą prostotą, nawiązując do własnych pięknych wspomnień uczestnika walk, książkę Andrzej Poniatowski, prezes T-wa Hist.-Literackiego. Dłuższe przemówienie po polsku wygłaszał znany z wielkich zasług bojowych i obywatelskich generał Wacław Piekarski.

W imię klasycznej zasady *amicus Plato sed magis amica Veritas* wyznać muszę — powiedziałem to zresztą czcigodnemu Prelegentowi zaraz po odczytaniu — że nie mogę się pogodzić z jego przedstawieniem sprawy. Nie chodzi mi tu o całość — zwłaszcza o szczegóły — zagadnienia. Nie jestem historykiem*) i nie zamierzam dyskutować spraw tak bogatych z natury rzeczy i tak złożonych. Ale jako skromny świadek i uczestnik tych wydarzeń stwierdzić muszę, iż niektóre żywe moje wspomnienia stoją w rażącej sprzeczności z wywodami prelegenta. Uderzyło mnie w tym odczytaniu wyznaczenie przez prelegenta pułkownikowi Mokiejewskiemu roli właściwego twórcy Armii Polskiej we Francji.

W moim wspomnieniu postać pułkownika Mokiejewskiego — w swoim czasie urzędnika ambasady rosyjskiej w Paryżu, nosi wyraźną barwę posłusznego narzędzia ówczesnej — zręcznej jak zwykle — polityki rosyjskiej zmierzającej do opanowania, czy „unieszkodliwienia“ samorządności, lecz wymagającego organizacji porywu polskiego ku stworzeniu własnej siły zbrojnej.

Taka siła zbrojna powstać jedynie mogła pod władzą polityczną polską i mogła być przez tę władzę oddana do dyspozycji Naczelnemu Wodzowi prowadzącemu nad Wisłą wojnę o odzyskanie niepodległości. Tak się właśnie stało... Siły polskie pod własnym sztandarem uczestniczyły krótko na Zachodzie (w Szampanii pod generałem Gouraud) w wojnie z Niemcami, lecz zdążyły na czas, aby spełnić swoje bojowe

zadanie na polskiej ziemi. Wiedziałem o tym od dawna, powtórzyła mi to obecnie osoba jak najbardziej kompetentna.

Przemówienie gen. Piekarskiego 7-go maja być może wskutek samorządnych protestów (ja wiem o dwóch) było znacznie obiektywniejsze w ocenie całości zagadnienia. Ale i tu — odczułem wyraźnie coś jak duszący zapach zwiędłych laurów, o którym wspominał jeden ze słuchaczy, coś jakby niejasną czy półświadomą chęć obniżenia wartości czynu polskiego z czasu pierwszej wojny światowej, tego dziejowego dramatu, w który przecie sam mówca był tak pięknie i tak bohatersko uwikłany.

Rozumiem doskonale, że można nie lubić takiej czy innej orientacji politycznej, takiego czy innego meża stanu, ale nie godzi się chyba zamykać oczu na tę prawdę jasną i krzepiącą, że po tylu latach niewoli, po próbach bohaterskich, acz nieudanych walki o Niepodległość — Naród Polski, pomimo gorących sprzeczności i ostrych skłóceń wewnętrznych znalazł dość siły i twórczej energii, by motywy wrogie i głębokie rozdźwięki zestroić w wielką symfoniczną całość pełni zwycięstwa. Tu raz jeszcze uwidatniła się symfoniczność życia polskiego, która z dysonansowych motywów tworzy w godzinach dobrego natchnienia — pełnię zwycięską życia,

w przeciwieństwie do struktury czynu rosyjskiego, wyrastającego z kolejnego całkowitego unisone sił niszczących się wzajemnie.

Tego faktu niezdolna jest przyćmić ani powieść utalentowanego pisarza (Lewa Wolna), ani na skromniejszą oczywiście miarę zakreślone przemówienie tak znakomitego patrioty-generała.

Szukając przyczyn tej mimowiednej intencji przyćmienia barwy ważnego fragmentu zwycięskiej epoki, można by tu odnaleźć, prócz wpływów zastarzałych swarów i dyskusji, pewnego rodzaju niewiarę w zdolność do budowania swojego losu własnymi siłami. Składanie odpowiedzialności za zwycięstwo na obcą pomoc, obcy manewr, czy cudowny zbieg okoliczności, to wyrzekanie się własnej zasługi nie jest bynajmniej świadectwem mistycznej pokory wobec przeznaczenia, lecz może próbą ucieczki od myśli o klęsce, która jak niszczący huragan nawiedziła Polskę podczas drugiej wojny światowej. Ależ przecie i wtedy także nie brakło czynowi polskiemu wyniosłego tragizmu i prawdziwej wielkości moralnej!

Zatrzymajmy tutaj tok myśli, aby nie powtórzył kto — już pod adresem piszącego, w odmiennym to prawdę sensie — „aż duszno... od wędnących wawrzynów...”

Najświeższe książki BIBLIOTEKI „KULTURY“

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

POLITYCZNE NEUROZY

Cena: sh. 20; F. 13.50; dol. 3.00

BORYS PASTERNAK

DOKTOR ŻIWAGO

nowe wydanie

Cena: sh. 38/6; F. 26.00; dol. 5.50

Do nabycia:

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW
WE WŁOSZECH

pokoje gościnne dla przyjezdnych w lokalu własnym

Roma, via Licia 19, int. 9.

*) Nie będąc historykiem rad byłbym oczywiście, aby historyk z zawodu skorzystał z moich żywych jeszcze wspomnień i uwag notowanych dorywczo w moim dzienniku.

Urodzeni kryminaliści

CZYNNIKI socjalne jak ubóstwo, nienormalne warunki rodzinne, itd., od lat uważano za główne przyczyny przestępczości. Pogląd ten znalazł wyraz w układaniu kodeksów karnych, zakładaniu odpowiednich instytucji czy towarzystw społecznych, a nawet stał się podstawowym założeniem pewnych filozofii politycznych. Jednakże pogląd ten prawdopodobnie będzie musiał ulec pewnym zmianom, bo ostatnio mnożą się coraz liczniejsze dowody na to, że u niektórych osobników charakter i predyspozycje kryminalne mają podłoże genetyczne, czyli są cechami wrodzonymi. Okazuje się również, że przypadki te zdarzają się jedynie u mężczyzn, u których, jak wiadomo, ogólnie przestępczość jest znacznie wyższa niż kobiet, i u takich osobników są wynikiem nienormalnego „garnituru chromosomów“.

Chromosomy, składniki jądra komórkowego, są materialnym podłożem cech dziedzicznych; można je obserwować pod mikroskopem w czasie podziału jądra komórkowego, przy którym odgrywają swoistą rolę. Liczba, wielkość i kształt chromosomów są dla każdego gatunku stałe i charakterystyczne, a w całokształcie stanowią specyficzny, ściśle określony, garnitur chromosomowy czyli „kariotyp“ danego gatunku. Chromosomy występują parami, po dwa homologicznie tj. o takiej samej formie; z nich jeden pochodzi od ojca, a drugi od matki. Dwa specjalne chromosomy, które w odróżnieniu od pozostałych homologicznych „autosomów“ nazywane są heterochromosomami albo chromosomami płciowymi X i Y, warunkują płć; dwa identyczne chromosomy X decydują o płci żeńskiej, a obecność jednego chromosomu X oraz mniejszego i o innym kształcie chromosomu Y, o płci męskiej. Człowiek posiada w sumie 46 chromosomów. Normalny kariotyp kobiety, oznaczany formułą 46/XX, składa się z 22 par autosomów i dwu chromosomów X; formuła 46/XY oznacza kariotyp mężczyzny.

Czasami jednak zdarza się, że rodzą się dzieci z kariotypem anormalnym, złożonym z większej, niż normalna, liczby chromosomów, mianowicie, zamiast 2 chromosomów jednej czy kilku par jest ich 3 lub więcej. Są to przypadki tzw. „polysomii“, spowodowanej przypadkowymi zaburzeniami procesów podziału komórek rozrodczych przy tworzeniu się elementów płciowych (plemników i jaj). Zagadnieniami tymi zajmuje się dziś specjalna gałąź genetyki — kariologia. Polysomia zawsze objawia się różnego rodzaju przypadkościami zarówno natury fizycznej jak i psy-

chicznej. Wiadomo np., że trisomia (tj. 3 zamiast 2) 21-szej pary chromosomów powoduje objawy mongolizmu; rozdzielenie podniebienia, niedorozwój przegrody sercowej, pewne formy białaczki (szpiku kostnego) są również wynikiem polysomii autosomów. Polysomia chromosomów płciowych powoduje bardzo poważne zaburzenia rozwojowe, zwłaszcza u mężczyzn u których, jak się wydaje, występuje częściej. Wynikiem trisomii u kobiet (XXX) jest niedorozwój umysłowy. U mężczyzn wykryto kilka typów polysomii, zarówno w odniesieniu do chromosomu X jak i Y, mianowicie: XXY, XXXY, XXXXY, oraz XYY, XXYY, a nawet XXXYY. Ogólnie polysomia taka u mężczyzn objawia się w opóźnionym dojrzewaniu, w zachowaniu kształtów dziecińczych, w skłonnościach do feminizmu, w niedorozwoju płciowym i upośledzeniu umysłowym.

W ostatnich kilku miesiącach ogłoszono wyniki badań przeprowadzonych w W. Brytanii w pracowniach szeregu instytucji specjalnych, szpitalnych i uniwersyteckich. Badania te wykazują, że wśród mężczyzn przebywających w instytucjach karnych, kariotyp abnormalny (polysomiczny) występuje znacznie częściej niż należałoby się tego spodziewać. Mężczyzn z kariotypem XXY jest tam 100 razy więcej, stanowią bowiem 1% populacji więziennej w porównaniu do około 0.01% przypadków wszystkich urodzonych chłopców; kariotyp XXXY jest niezwykle rzadki u noworodków, a jednak występuje on u 0.6—0.7% mężczyzn w szpitalach czy instytucjach karnych. Mężczyźni z kariotypem XYY są częściej spotykani wśród niebezpiecznych kryminalistów i stanowią 3% tej kategorii. Ci wykazują bardzo poważne zaburzenia psychiczne połączone z niedorozwojem umysłowym; są nie zrównoważeni, nieodpowiedzialni i w swej działalności przestępczej zdają sobie sprawę tylko z bezpośredniej konsekwencji swych czynów; mają również tendencję do uciekania przed prawem i są niebezpiecznie agresywni i gwałtowni w zachowaniu się. W porównaniu z innymi przestępcami są zwykle karani w młodszym wieku, niekiedy przed 10-tym rokiem życia; ich przestępstwa są raczej przestępstwami przeciw własności niż osobom. Nadto konwencjonalne metody poprawcze nie mają na nich żadnego wpływu. Okolicznością ważną pod względem socjologicznym

jest fakt, że wśród rodzin takich więźniów przestępczość jest bardzo mała, czyli nie ma tutaj zwykłego rodzinnego dziedziczenia ujemnych cech; są oni ofiarami przypadkowego posiadania nadliczbowych (choćby prawdopodobnie normalnych) chromosomów płciowych, zwłaszcza chromosomu Y.

Do innej kategorii należy choroba, ostatnio badana przez amerykańskich badaczy z Maryland, objawiająca się w sposób nieco podobny, a mianowicie nadmierną impulsywną manifestacją agresywności, upośledzeniem umysłowym, oraz nieopanowanymi odruchami. Badacze ci stwierdzili, że jest to choroba związana z płcią męską, prawdopodobnie spowodowana wadliwością chromosomu Y, a więc dziedziczna. Fizjologiczną właściwością, a być może bezpośrednią przyczyną pozostałych objawów tej choroby jest nadmierne wydzielanie kwasu moczowego spowodowane, nie nadmiarem ale, co jest bardzo interesujące, brakiem pewnego enzymu regulującego ten proces.

Czy można będzie leczyć tę chorobę sztucznym dodaniem brakującego enzymu? Czy można będzie przeciwdziałać terapeutycznie szkodliwym wpływom nadliczbowych chromosomów, zwłaszcza chromosomu Y? Może w przyszłości medycyna znajdzie odpowiedź na te pytania, które na razie pozostają bez odpowiedzi. Niemniej, jeśli dzisiaj w W. Brytanii w populacji więziennej mężczyźni 30-krotnie przewyższają kobiety, może to być także wynikiem nieszczonego męskiego chromosomu Y, a niekoniecznie wyższą moralnością kobiet, jak się to czasem sugeruje.

W Rosji Sowieckiej za czasów Stalina genetyka była nauką niedozwoloną; obecnie ma prawo obywatelstwa chociaż raczej ograniczone. Gdy prof. Michaił Gołubowski, z Syberyjskiej Akademii Nauk, zauważył w dyskusji, że mimo postępu socjalnego prawdopodobnie zawsze będą jednostki z tendencją do łamania prawa, spotkał się z gwałtownym atakiem dwu prawników, ogłoszonym w jednym z kwietniowych numerów „Soviet Weekly“; bo takie przypuszczenie godzi w zasadniczą zasadę marksistowskiej socjologii i stoi w wyraźnej sprzeczności z twierdzeniem Lenina, że gdy zasadnicza przyczyna przestępczości (tj. wyzysk mas) zostanie usunięta, to przestępczości nie będzie; stosowanie wniosków wynikłych z badań genetycznych do wszystkich zagadnień jest błędem. Być może jednak, iż poza stwierdzeniem Gołubowskiego kryje się znany fakt, że wyższemu standartowi życiowemu towarzyszy wyższa przestępczość nie tylko w Ameryce czy W. Brytanii, ale i w Rosji.

klb.

**CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ!**

jednym względem potencjał militarny W. Brytanii zwiększyć, ale równocześnie pod innymi względami go zmniejszyć. Mają one odrobić zaniedbania w dziale lotnictwa pilotowanego, całość sił bardziej skoncentrować oraz pomóc w usztywnianiu chwiejnej waluty brytyjskiej, ale z drugiej strony osłabią „tarczę atlantycką” dodatkowo, wyeliminują W. Brytanię jako głównego partnera Ameryki czy samodzielnego interwenta na Dalekim i Środkowym Wschodzie oraz nie zwiększają dostatecznie ochrony szlaków morskich, choć one bardziej zagrożone, niż były w 1939 roku, i choć ich ewentualne zablokowanie musiałoby wyspiarską W. Brytanię sparaliżować i nawet zagłodzić.

Te i inne ujemne strony nowej polityki zbrojeniowej rządu brytyjskiego nie alarmują wprawdzie mas, ale wywołują rosnący niepokój w kołach myślących o dalszej przyszłości. Świadczą o tym coraz liczniejsze krytyczne komentarze w prasie brytyjskiej.

Minister Healey wie niewątpliwie, że nie „wszystko złotem, co świeci”. Tłumaczy przewidziane zmiany i poniechania koniecznościami skarbowymi i gospodarczymi, próbując równocześnie zmniejszyć obawy i alarmy zapewnieniem,

— że wojna globalna nie grozi, a jej ewentualny wybuch byłby poprzedzony długotrwałymi rokowaniami,

— i że zreorganizowane siły brytyjskie nie stracą ani swojego znaczenia jako „odstraszaaka”, ani swojej zdolności do szybkiego gaszenia lokalnych pożarów, co jest ich głównym zadaniem.

Co do słuszności obu tych zapewnień można mieć wątpliwości i to poważne. Nie może natomiast ulegać wątpliwości, że W. Brytania, która słusznie wycofała się z ambitnych planów rakietowych Sandysa, a obecnie chce zrezygnować z lotniskowców i większości zamorskich baz, samym unowocześnieniem lotnictwa i dorobieniem się czterech okrętów podwodnych z „Polarisami” nie odzyska dawnej pozycji mocarstwa militarnego, per saldo raczej swoje wpływy i możliwości pomniejszy. Zwłaszcza, że atomowy odstraszak brytyjski, tak samo jak francuski, jest i będzie zbyt słaby, by mógł samodzielnie odegrać rolę hamulca przeciw potencjonalnemu napastnikowi. Odstraszakiem jest tylko straszliwy potencjał odwetowy Ameryki.

Kazimierz Głabisz

PODSTAWĄ ISTNIENIA PISMA
JEST REGULARNIE OPŁACANA
PRENUMERATA

KRONIKA WOJSKOWA

Nasilenie walk w Wietnamie. Wobec odrzucenia przez Hanoi wszystkich propozycji rozejmowych zostały wzmożone zarówno naloty amerykańskie na Północny Wietnam, jak i walki lądowe w Południowym Wietnamie. Świadczy o tym najlepiej wzrost strat, wprawdzie po stronie komunistycznej wielokrotnie większych, jednak także po stronie amerykańskiej poważnych. Podług oficjalnych danych poległo od 1961 roku do końca kwietnia br. 9.401, a rannych było ponad 56.000 żołnierzy amerykańskich. Jeszcze wymowniejszy jest fakt, że w pierwszych 4 miesiącach br. poległo ich aż 2.800, gdy w analogicznym okresie 1966 roku tylko 1.540, a w 1965 roku zaledwie 113. Mimo to znaczne części Południowego Wietnamu znajdują się nadal w posiadaniu partyzantów i dodatkowe wzmocnienie sił podległych gen. Westmorelandowi stało się konieczne. Straty lotnictwa amerykańskiego aczkolwiek nie tak ogromne, jak głosi propaganda komunistyczna, która chełpi się strąceniem blisko 1.800 samolotów, są poważne, bo wyniosły 541 maszyn nad Północnym Wietnamem i 179 nad Południowym. Tłumaczy się to zarówno małą celnością sowieckich rakiet „SAM-2”, (przeciętnie 3 trafienia na ponad 1.800 wystrzałów), jak i dostaniem przez Sowiety tylko starszych modeli „Migów”. Jednak ostatnie dostawy sowieckie bardzo wzmocniły czynną obronę plot. Północnego Wietnamu.

Zmiany na szczytach wojskowych. W ostatnich tygodniach nastąpiły szczególne liczne zmiany na stanowiskach ministrów obrony czy szefów sztabu, m.in. w Sowietach, Rumunii, Indiach, Pakistanie, Australii, Italii, Francji i W. Brytanii. Sowieckim ministrem obrony został, jak wiadomo, w miejsce zmarłego marszałka Malinowskiego marszałek Greczko, dotychczasowy dowódca sił „Układu Warszawskiego”. Jego następcą będzie zapewne znów jakiś marszałek sowiecki. Funkcje brytyjskiego szefa sztabu obrony przejmie we wrześniu po marszałku Hull marszałek lotnictwa Elworthy, dotychczasowy szef sztabu lotnictwa, mający 56 lat. Dowódcą amerykańskich sił w Europie został (po gen. O'Meara), gen. Polk, a szefem sztabu lotnictwa francuskiego (po gen. Martin) gen. Maurin.

Ucieczka wojskowych z N.R.D. Przed wybudowaniem „muru Ulbrichta” wojsko Berlina zachodniego uciekło od 1949 roku do N.R.F. 24.300 wschodniemieckich żołnierzy i policjantów. Po wzniesieniu tego muru ilość umundurowanych uchodźców oczywiście zmalała, jednak jeszcze w ubiegłym roku wydo stało się za żelazną kurtynę 137 żołnie-

rzy i policjantów, w tym kilku oficerów. Jak ryzykowne są te ucieczki, o tym świadczy najlepiej fakt, że w samym Berlinie straża wschodnio-niemieckie zastrzeżiły od sierpnia 1961 roku do kwietnia br. aż 152 uciekinierów cywilnych i wojskowych, a wielokrotnie więcej poraniły lub przytrzymały.

Miny atomowe wzdłuż granicy turecko-sowieckiej? Ze mimo umizgów Moskwy, Turcja nie czuje się bezpieczna, o tym świadczą zabiegi tureckiego sztabu o otrzymanie z Ameryki atomowych min, mających zamknąć najłatwiejsze przejścia graniczne na odcinku kaukaskim. Starania te zostały prawdopodobnie spowodowane nie tylko dalszym dozbrajaniem kilku państw arabskich i ostatnio także Iranu przez Sowiety, ale także bezczelnym żądaniem Moskwy wycofania 6. floty amerykańskiej z Morza Śródziemnego.

Czeski generał „bohaterem ZSRR.” Generał Svoboda, który podczas wojny sformował w ZSRR legion czechosłowacki, został z okazji osiągnięcia 70 lat zamianowany (z dużym opóźnieniem) „bohaterem ZSRR” i otrzymał order Lenina. O jego polskim odpowiedniku, Berlingu, Moskwa „zapomniała”.

Zgony „ludowych” generałów. W ostatnim półroczu zmarli następujący generałowie Ludowego W.P.: Jakubik -zastępca głównego inspektora lotnictwa, Jóźwiak-„Witold”, szef sztabu A.L. i komendant Milicji, Orlński, Habowski i Mieczysław Wągrowski, który przybył w 1945 roku do Londynu jako pierwszy warszawski attaché wojskowy. W Moskwie zmarł b. szef sztabu Ludowego W.P., gen. broni Korczyca, który już w 1952 roku, a więc przed Rokossovskim wrócił do Rosji.

Oslabianie frontu atlantyckiego. Mimo wystąpienia Francji z wojskowej organizacji NATO — Dania skróciła obowiązkową służbę wojskową z 14 do 12 miesięcy, a Holandia z 18 do 16 miesięcy, zaś Ameryka wycofuje z NRF dwie brygady 24 dywizji oraz 4 eskadry lotnicze, a W. Brytania zmniejsza swoją i tak niepełną „armię Renu” o 5.000 oficerów i szeregowych oraz 1 eskadrę. Choć wycofane oddziały będą nadal podlegać dowództwu atlantyckiemu i choć przynajmniej amerykańskie oddziały mają corocznie wracać na ćwiczenia do Niemiec, gdzie ich ciężki sprzęt pozostanie, redukcja ta, zresztą „uzgodniona” z Bonn dopiero po długich targach i podyktowana względami finansowymi, stanowi dodatkowe osłabienie przyczółka europejskiego. Zwłaszcza, że Sowiety swych daleko liczniejszych sił w państwach satelickich nie zmniejszają. Kage

IN TENEBRIS CLARIUS

(Dokończenie z numeru 34)

W części trzeciej — pokazującej karę i zagładę wstającą nad pijanym rozkoszami tłumem — w tej części, gdzie obłęd zmaga się z rozpaczą w łunie wielkiego pożaru — sowa jest nieobecna. Warto zwrócić uwagę, że figurowała na rysunku przygotowawczym do grupy centralnej przedstawiającej „Drzewo Wiadomości“. Bosch umieścił tam był Mądrego Ptaka na wysokiej, suchej gałęzi, ale usunął go, widząc po namyśle, przy ostatniej redakcji swego wielkiego poematu.

Całe malarstwo tego średniowiecznego mnicha zabłąkanego w wesoły świat młodego Renesansu czytać by można jak przerażającą księgę, łatwo jednak oprzeć się pokusie. Zewnętrzny urok zniechęca do zbyt uważnego odcyfrowywania symboli. Bosch, nim potępił ulotne piękno świata, poznał, zgłębił i ukochał wszystek jego ogrom. Wszystkie tajemnice wzruszeń zrodzonych we śnie, wyrosłych w mroku. Wszystką słodycz pokus.

Od snu, tajemnicy, jeden krok do śmierci. Sowa od dawna miała z nią podejrzane związki. Od dawna, ale nie od zawsze. W Grecji nie żyła przecież w mrokach Erebu — choć się tam urodziła, — ale na rozświetlonym Akropolu. Nie była ptakiem Persefony, ale Ateny. To chyba Średniowiecze dopiero wyposażyło ją na dobre w ten ponury atrybut, nie wiadomo czy bardziej idąc w tym za tradycją żydowską czy rzymską.

Owidiusz nazywa ją „pogrzebną“, Wergiliusz mówi o jej „pieśni fatalnej“:

* * *

Stamtąd, zda się, szept męża usłyszy,
słowa
Przywań, gdy nad ziemią noc mroki
rozszerzy
I tylko puchacz, jękiem żałobnym gdzieś
z wieży
Skarżyć się i płaczliwie przeciągać głos
pocześnie...

* * *

jak to ładnie, choć niekoniecznie dokładnie, spolszczył ks. Kuryłowski. Wie o jej złej sławie niezawodny w swej encyklopedycznej wszechwiedzy Pliniusz Młodszy.

W Biblii zarówno w Księdze Lewitów, jak i w Deuteronomium sowa, jak i jej kuzyn puchacz, znalazł miejsce wśród ptaków nieczystych, złowieszczych, których należy unikać. Spotykamy je tam zresztą w wyjątkowo dobrym towarzystwie: orła, gryfa, czapli, kormorana, łabędzia, ibisa... Jedynie

Dawid ma dla sowy serdeczne słowo, gdy o własnej mówi samotności: „Od westchnień moich przyschły mi kości do ciała. Stałem się podobny pelikaniowi na puszczy i sowie wśród pustkowi...“ Ale psalmista jest poetą, czcicielem dwuznacznej, smutnej mądrości.

Niechęć i nieufność do nocnego ptaka przejęli chyba Żydzi od swych sąsiadów: Arabi uważają ją za emblemat Zła i nieszczęścia. Nawet jej nazwa: „Umm al-Isharab“ etymologicznie znaczy „matka ruin“. Tkwi w tym ironiczna sprawiedliwość, że Średniowiecze reprezentowało Synagogę właśnie owym, przez Naród Wybrany pogardzanym i nie lubianym, „nieczystym“ stworzeniem.

Ale w literaturze złe imię zawdzięcza sowa głównie nie Biblii, lecz baśniom, przesadom, ludowej wiedzy. Jako zwiastunkę nieszczęścia, śmierci, zna ją również dobrze Chaucer, Spencer („death's dreadful messenger“), co Czechow czy literatura emblematyczna. Rycina niemiecka zatytułowana „Fatales Hertz“ i przedstawiająca owo serce, oraz obok sowę — zaopatrzona jest w dystych:

* * *

Jestem posłańcem nieszczęścia, dlatego
kto mnie ujrzy
Raczej ucieka przed mym przybyciem,
niż odlotem...

* * *

Nie zapomina też o zwiastunie śmierci Lady Macbeth:

„Co ich zgasiło, mnie dało ogień. —
Słuchaj! — Spokój!
To sowa krzyknęła, fatalny dzwonnik
Który najsurowsze przynosi
pożeganie...“

Co miała krwawa Pani — czy Shakespeare — na myśli w tej przenośni wyjaśnia naocześnie witraż w Yartow w Oxfordshire na którym sowa, stojąc na jednej łapie, drugą potrząsa dzwonkiem. Ptak wygląda energicznie, wesoło i trzeba nieco wysiłku by uświadomić sobie jego makabryczną rolę.

To, że sowa symbolizuje zarówno dumę jak i śmierć nie jest tak przypadkowe i niepojęte jakby się z pozoru mogło wydawać. W śmierci właśnie duma znajduje sprawdzian, probierz — późny, lecz niezawodny: małości, przelotnemu urokowi, fałszywym powabom ukrywającym ubóstwo i chłód serca, triumfom ciała — zagładą i nicość. Wielkości, pięknu dzieł, precyzji i urodzie myśli — wdzięczna pamięć, „po

żywocie rajski przebyt“ — jak śpiewamy w pieśni, miejsce w dziejach zaszczytne i coraz z upływem czasu zaszczytniejsze. „Nie minie przyszłość — korektorka wieczna...“ powiedział z przekonaniem Norwid. I nie omylił się. Dlatego dziś wiemy, że autorem „Kra-kusa“ władała duma, nie pycha. „Kra-kusa“ właśnie, który jest dramatem najczystszej dumy, tj. wielkości odchodzącej w samotność. Krakus (czytaj: Norwid) jest dumny. Rakuz ma za sobą pozory racji — racji motłochu — gdy powiada:

...Ten co w tym kapturze
Stoi, przez wielką pogardę dla tłumy,
Iż sławy nie chce, bogom i naturze
Błuzni!...

...By posąg owy,
Poczuwszy wreszcie wnetrżności
człowiecze,
Nad tłum zakrytej nie wynosił głowy!
Lecz... koniec słowom — Niech
rozpoczą miecze!

Niemal natychmiast, śmierć podaje czułą dłoń Nieznanemu Księciu. Przypomnijmy znowu Picinello: „Sowa oznacza także cnotę ukrytą...“

Będąc symbolem śmierci jest przecież nocny ptak także — pośrednio — zwiastunem życia. Oto wedle popularnego w Walii przesądu, gdy blisko domu, czy na jego dachu zakwili sowa, dziewczyna straci tam dziewictwo. W istocie, nieraz chyba bezsenni od czułości i nienasyceń kochankowie słyszeć muszą jej głos — nie ów niski i groźny głos złej wróżby w tonie, ale nabrzmiałe tęsknotą zawoitanie miłosne.

Pozorna sprzeczność, niekonsekwencja, w Wielkim Słowniku Języka Symbolów, (słowniku, którym jest świat wyobraźni, bajki, poezji) to zjawisko jest na tyle charakterystyczne i ważne, że należy mu się osobna garść myśli i słów. Zauważmy więc tylko, że nawet owe sprzeczności podlegają pewnej logice, pewnym prawom. Między innymi prawu skojarzeń: Noc jest matką zagadek, a więc panią zarówno życia jak i śmierci. W jej czeluściach kryją się tajemnice, po które sięgamy z lękiem, ale i z nieodpartą ochotą. W istocie to ta sama siła, popycha dziewczynę ku okrytemu mrokiem tylko ciału mężczyzny, co porusza wiosła charonowej łodzi. I w obu wypadkach paroksyzm przypiętówuje głęboki sen.

Zerwać pieczęć, wdrzeć się w świat, który nawet dla tego, który w nim przebywał jest po przebudzeniu co najwyżej ciemnym wspomnieniem, słowem móc odczytać cudzy sen było zawsze marzeniem tych, którymi włada ciekawość, zazdrość, strach i nadzieja — słowem, wszystkich nas niemal. Radę niezawodną na ziszczenie tego marzenia

(Ciąg dalszy na str. 14)

znaleźć można w „Sekretach“ Alberta Wielkiego, a autorytet jego poprzec można — gdyby kto chciał i śmiał — cytata z Pliniusza. Nikogo chyba nie zdziwi, że kluczem zagadki będzie sowa (a raczej by być ścisłym, jej brat, puszczyk) — symbol mądrości i tajemnicy. Niestety, rada św. Alberta jest okrutna: by służyć do otwarcia bram snu mądry ptak musi umrzeć:

„Nie ma nikogo — powiada Albert — kto by nie wiedział, co to jest puszczyk, którego Chaldejczycy nazywają Magis, a Grecy — Hissopus. Zalety ptaka są zdumiewające. Jeśli się położy jego serce wraz z jego prawą łapą na śpiącej osobie, to ta powie natychmiast co chciałaby uczynić i odpowie na wszelkie zadane jej pytania. Jeden z naszych braci, popróbowałwszy, nauczył się tej sztuczki...”

Jako symbol mądrości i umiejętności odgadywania tajemnic służyła sowa za emblemat wielu władców, artystom, mędrcom. Widnieje na medalu wybitym na cześć Giovanni Belliniego, towarzyszyła Rannucjuszowi I., księciu Parmy i Ottonowi-Antoniuszowi, księciu Urbino. Niekiedy widywano ją przy boku św. Hieronima. Występuje też, wierna towarzysza tych, którzy bezsenne godziny nocy spędzają nad książką, na exlibrisach. Ten jej intymny z literaturą, z drukowaną mądrością stosunek celnie wyśmiano kiedyś w okrutnym opowiadaniu. Wypada je przytoczyć, aby uniknąć zarzutu stronniczości. Zaznaczyć tylko wypada, że była to reklama firmy specjalizującej się w rozwieszaniu kolorowych afiszy:

„Żyła niegdyś — głosi tekst — mądra i czytana sowa, która, będąc nieko ekstrawertykiem używała zwykle jaszkrawo czerwonego płaszcza. Większość czasu spędzała na spacerowaniu po łąkach i głębokim rozmyślaniu. Trafiło się kiedyś, że przechodziła polem zamieszkałym przez złego byka. Ubezpieczona znajomością badań naukowych, które wykazały, że byki nie rozróżniają kolorów, a że drażni je tylko gwałtowność ruchów, szła spokojnie. Niestety, byk ów był analfabetą i nie czytał ostatnio opublikowanego traktatu o „zachowaniu się byków“. Dlatego bez namysłu przerzucił sowę przez swój grzbiet do rowu. Morał: Na jakimkolwiek jesteś polu nie bagatelizuj znaczenia koloru.“

Przypuszczać należy, że ową, bardzo nie typową, sowę spotkała słuszną karą za sprzeciwianie się prawom własnego gatunku, mianowicie za skłonność do ostentacji i to do ostentacji w stroju, gdy przecież jedną z podstawowych cech jej rodu jest cicha elegancja przejawiająca się skłonnością do używania prawie wyłącznie barw: popielatej, brunatnej i srebrnej.

Sowia mądrość, świecąca nawet z krzywego zwierciadła satyry, zawsze fascynowała artystów. Szczególnie częste i wyjątkowo trafne jej wizerunki spotykamy w srebrze, a także w porcelanie i fajansie. Nie brak ich jednak i w dziełach wielkich malarzy. Do najpiękniejszych należy ta, którą w akwareli utrwalił Dürer: w oczach tli się namysł; głowa pochylona nieco pod ciężarem niewesołej wiedzy; myśli chyba o dawnych, lepszych dla niej czasach:

Niegdyś była ptakiem dnia, światła. Prawda — łagodnego światła. Nigdy nie lubiła upału i zawsze chroniła się chętnie w przychylny półcień fałd szaty bogini. Jasny puch i pióra rozpyły się w białości tkaniny. Został tylko blask oczu: wiedza i zaduma. Dzieciom — którym naiwna bystrość zastępuje skutecznie wszechwiedzę wtajemniczeń — dzieciom więc, wydawało się, że to dwa klejnoty zdobiące sandał Ateny. U stóp bóstwa toczyły się sprawy kraju, sprawy śródziemnomorskiego świata.

Bystre oczy widziały z bezpiecznej kryjówki wiele i z bliska. Pamięć notowała nieubiegany bieg wypadków, giętkość praw, wagę wzruszeń. Ambasadory słusznej sprawy odnosili swemu miastu wyrok zagłady, nie dlatego by nie dopisała im wymowa, ale że nie dostawało złota w skarbcu, a hoplitów na murach... Wyrokami sądu ludowego skazywano najlepszych na wygnanie, a tych z nich, którzy w dodatku ośmielili się myśleć wbrew nurtowi, pojono trucizną... To było naturalne, zgodne z biegiem rzeczy. Ale zdarzały się i wypadki zdumiewające: oto, gdy przed sąd przyprowadzono zabójcę matki, mściciela ojca, sowa zauważyła, że Atena cisnęła białą gałkę przechylając szalę sprawiedliwości na korzyść oskarżonego. Wtedy serce ptaka po raz pierwszy skurczyło się w przerażeniu,

a głowa pochyliła pod ciężarem fatalnego przecucia: na gładkiej tafli antycznej moralności ukazała się bowiem pierwsza rysa: tryumfujące miłosierdzie.

Z czasem pęknięć było coraz więcej. Starożytny świat pogodnego, okrutnego piękna sypał się w gruzy. Wszechwładzę uzyskiwał niepokój. W zapadającym gwałtownie mroku nadchodzili nowi bogowie. Jak kiedyś, u zaraniu dziejów, nadchodzili ze Wschodu. Oddano im mieszkanie, świątynię Ateny. Bogini uszła do pieczar, zamieszkała w ciemnej czeluści serc swych wyznawców, których liczba topniała. To wtedy sowa, jej wierna towarzysza, przyzwyczajając zaczęła do ciemności bystre oczy, dla ochrony zmieniła barwę upierzenia.

Do dziś dławi ją jednak tęsknota za minioną świetnością. Za wszechwładzą dawnych bogów. Gdy więc napotka zrujnowany kościół czy klasztor chętnie bierze go w posiadanie, zamieszkując górne kondygnacje wież, czy szpary w łukach klaresterium, od chwili runięcia schodów niedostępne, bezpieczne. To nie mściwa radość powoduje ptakiem, nie ciemny płomień herezji towarzyszy jej wędrówkom. Kieruje nią poczucie sprawiedliwości. Zdaje się, że odzyskuje miejsca zdawna sobie przynależne.

By ugruntować słuszność roszczeń wraca też często do odświeżonej barwy upierzenia. Każdy kto obejdzie wrzesniową nocą ruiny Seo Antigua — Starej Katedry na wzgórzu zamkowym w Leridzie przekona się o tym naocznie: Przez oczodoły okien, którym wojny i rewolucje wyrwały źrenice i tęczówki witraży — jak promienie stłumionego blasku przelatują bezszelestnie białe ptaki. Księżyc srebrną dłońią głaszcze im puch skrzydeł. Pogańska mądrość prowadzi na wskrós nocy.

Mieczysław Paszkiewicz

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

ŻOŁNIERZ BEZ TRWOGI I ZMAZY

„Kochany Karolu — Nie widzę potrzeby tać się przed Tobą nad moim krytycznym położeniem, które nierównie dotkliwsze jest, niżeli w Syberii było — bo tam chociaż dzień i noc na kawałek chleba pracowałem, ale za to nie tylko, że mi na nim nigdy nie zbywało — lecz nawet po dwudziestu i trzydziestu moich współwynańców do mnie bardzo często zjeżdżających się byłem w stanie dostatecznie nim nakarmić. Których z radością u siebie przyjmowałem, a z nieutulonym żalem zginałem.

„A że teraz, będąc przykuty do miejsca, różnymi dolegliwościami znękany, bardzo podeszłym wiekiem przygnieciony i obok tego to, co z łaski moich przyjaciół i poczytywych ludzi posiadam, chociaż przy oszczędnym życiu, nie jest dostateczne na moje utrzymanie, a z nadto dumny, ażebym żebrał u wyższych dostojności o datę obolum Belizarii — przeto racz przebaczyć Kochany Karolu, iż się o zasiłek tak często u Ciebie naprzykrzam, lecz przyjaźń jaką dla mnie od przeszło czterdziestu lat okazujesz ośmiela mnie do tego. — Może być, że podobną prośbę ostatni raz do Ciebie zanoszę, bo już dosyć poznałem ludzi i nażyłem się na świecie i jeżeli jeszcze dotąd z woli przeznaczeń jak obcy samotnik błąkam się wśród nowego pokolenia, to zapewne nie dlatego ażebym był choć w czymkolwiek użyteczny społeczeństwu, tylko jedynie dlatego, ażebym był świadkiem tych zdumiewających przewrotów jakich nam historia świata na swoich kartach nie podobnego nie umieściła. —

„Żegnam Cię Kochany, pamiętaj o Twoim nieszczęśliwym Piotrze“.

Czyż podpis położono pod tym smutnym listem, datowanym dnia 29 grudnia 1868 r. w Warce? —

„Piotr Odrowąż Wysocki“.

Ta poślółka kartka, zapisana drżąca ręką, jest jednym z ostatnich śladów wędrówki życiowej belwederczyka Piotra Wysockiego, którego uwiecznił Wyspiański w „Nocy Listopadowej“.

Kartka ta, zachowana z okładziną noszącą napis: „Listy ubogich do przejrzenia i zachowania“, znalazła się w korespondencji rodzinnej ś.p. prof. dra Władysława Pocięcha. Wydobyl ją na światło dzienne syn profesora, Józef Pocięcha, i w „Tygodniu Powszechnym“ (nr. 48/931) poświęcił piękny artykuł bohaterowi nocy listopadowej. Artykuł nosi tytuł: „Powrót bohatera“, a motto zaczerpnięte zostało z Norwida:

„Coś ty uczynił swoim Camoensie,
Że po raz drugi grób twój grabarz

trzęsie

Zgłodziwszy pierwej...“

Autor wydobywa postać Wysockiego spod światła reflektora legendy, która uczyniwszy z podporucznika Szkoły Podchorążych posag bohatera — pozbawiła go prawdy życiowej. A prawda życiowa była daleko głębsza. Wysocki nie był bohaterem jednej tylko chwili zrywu patriotycznego, był on żołnierzem bez trwogi i zmazy przez całe swe długie życie.

Urodzony w 1793 r. w Warce pod Warszawą, Piotr Jacek Wysocki, herbu Odrowąż, wcześniej stracił ojca, zubożonego dzierżawcę dóbr, i pozostał pod opieką starszego brata. Nie chcąc być mu ciężarem, już w 17-tym roku życia „wszedł do pułku grenadierów“, jak pisze przyjaciel jego, Karol Karśnicki, również belwederczyk i dożgonny przyjaciel Piotra. W 1820 r. otrzymuje stopień sierżanta, w 1824 zostaje przeniesiony do Szkoły Podchorążych, w 1827 otrzymuje szlify podporucznika, jako instruktor musztry.

6.XII.1830 r., a więc w kilka dni po wybuchu powstania, wydał Karol Bromeusz Hoffmann anonimową broszurę p.t. „Wielki Tydzień Polaków“. Mówi w niej o sytuacji Polski pod moskiewskimi rządami: „Konstytucja okazała się wkrótce czczym tylko dla innych mocarstw mamidłem, dobrodziejstwem na papierze dla Polaków“. 16 stron liczy lista dowodów gwałcenia konstytucji, a zakończona jest słowami: „Te są gwałty, nadużycia i krzywdy, któreśmy na prędcę zebrać zdążyli, a które poczciwy nasz naród przez lat 15 cierpliwie znosił“.

Niezadowolone było źródłem spisków. Powstawały: Związek Wolnych Polaków, Wolnomularstwo Narodowe Łukasńskiego, Towarzystwo Patriotyczne oraz sprzysiężenie zawarte w kwaterze ppor. Wysockiego przy ul. Widok, w dniach 15 i 16 grudnia 1828 r. „w obronie zgwałconej konstytucji“. Należał do niego również Karol Karśniewski, adresat przytoczonego wyżej listu.

Sprzysiężenie to stało się początkiem powstania, którego nikt sobie nie życzył: ani Rosja, oczywiście, ani Sejm ani opozycja Czartoryskiego ani opozycja „Kaliszan“. Powstanie wybuchło przedwcześnie na wieść o wykryciu sprzysiężenia. Nie zdążono jeszcze stworzyć politycznego i społecznego programu.

A oto, co napisał Wysocki w dniu 9 grudnia 1830 r. (dodatek do „Kuriera Warszawskiego“ z 10.XII.1830.) pt.: „Wiadomość o tajnym towarzystwie związanym w celu zmienienia rządu i ustalenia swobód Konstytucji w kraju polskim oraz działania wojenne Szkoły Podchorążych Piechoty w nocy z 29 na 30 listopada 1830 r.“ „Niebezpieczeństwa nas otaczają. Może polegniemy w obronie kraju. Przeto korzystając z tych krótkich chwil, przekazuję pamięci następców naszych to, co nigdy nie ma być zapomniane...“

Następuje później opis wypadków znanych z wielu relacji. „Było nas stu sześćdziesięciu kilku — pisze Wysocki, a dalej — opuściłem wiele nazwisk godnych wspomnienia! Z chlubą wymieni je historia a współczesnych rodaków wdzięczności zaleci skrzętna pieczołowitość publicznych pisarzy“. Jak wiemy z zacytowanego wyżej listu — wdzięczność i pamięć rodaków miała krótki oddech.

St. Barzykowski pisze: „Gdy opuszczali salę, Wysocki pożegnał podchorążych rosyjskich uprzejmie, mówiąc — Nie wasza sprawa, panowie. Pozostańcie spokojni i liczcie na nasze przyjazne uczucia!“

W toku powstania widzimy później Wysockiego na inspekcji Gwardii Ruchomych, 25 stycznia awansuje na kapitana i zostaje mianowany adiutantem naczelnego wodza; 19 lutego walczy pod Wawrem, 23 — pod Grochowem. Skrzynecki dekoruje go Złotym Krzyżem. Jako oficer sztabu w randze majora bierze udział w wyprawie Dwernickiego na Wołyń, tu otrzymuje stopień podpułkownika. Kiedy Dwernicki, zepchnięty ku granicy, przechodzi do Galicji z końcem kwietnia, Wysocki wraca do armii i 25 maja 1831 r. obejmuje dowództwo jednego z batalionów 10 pułku piechoty.

Autor cytuje tutaj wspomnienia naczelnego świadka, starszego sierżanta 10 p.p., wyruszającego w czerwcu 1831 z obozu w Oblasach koło Janowca pod Warszawą. „Przez cały czas dwutygodniowego pobytu naszego pod Warszawą ciągle prawie lały deszcze. Najwięcej oficerów udawało się do Warszawy, aby w gronie rodziny lub znajomych zabawą i wygodami wynagrodzić obozowe trudy. Tylko Wysocki nie oddał się z obozu. Widziałem go rano jak pierwszy czekał nim głos pobudki ze snu do broni wywoła żołnierza, jak w południe szczupły obiad żołnierza dzielił w jego baraku, jak wieczór wśród ulewy dzielił swą manierkę pomiędzy deszczem zziębłego żołnierza i przy żadnej okoliczności nie zaniedbał cokolwiek jego ducha ożywić, jego wytrwałość pokrzepić, jego trudom ulżyć mogło...“

(Ciąg dalszy na str. 16)

17.VIII.1831. przybył Wysocki z Sochaczewa do Warszawy; 6 września wojska Paskiewicza uderzyły na Wołę bronią przez gen. Sowińskiego i Wysockiego. Karśnicki pisze: „...W chwili gdy go odprowadzałem na szaniec wolski, przy ostatnim uściśnieniu rzekł do mnie — Pożegnaj przyjaciół. Jeśli Wołę wezmą, a ja nie zginę w boju — to zginę na rusztowaniu“.

Największa ilość wojska zgrupowana była na południu, gdyż stamtąd spodziewało się dowództwo ataku. Dzięki zręcznemu manewrowi Paskiewicza, pozycji wolskiej broniła tylko około dwutysięczna załoga przeciw jedenastu i pół tysiącom żołnierzy gen. Pahlana. Wysocki walczył wraz ze swym batalionem obok gen. Sowińskiego, świadek z Oblas, sierżant z 10 p.p. pisze: „Widząc, że nieprzyjaciół się nie zbliża na strzał karabinowy, a nasz żołnierz od działowego gradu gęsto pada, kazał nam (Wysocki) kłaść się popod okopy, by się uchronić cokolwiek od granatów, kul i kartaczy. My leżeli, a on stał z założonymi rękami, jak Mars, nieustraszony wśród gęstego ognia na otwartym placu. Postawa jego była obrazem męstwa, które widząc zdradę i niedołężność przeniosło śmierć pełną sławy nad więzy haniebne. Lecz inaczej chciało przeznaczenie. Granat rani Wysockiego w lewą nogę, pada, nasi żołnierze odnoszą go na karabinach do kościółka na Woli“.

Gen. Sowiński zginął przy dziale, zakłuty bagnietami, nie na ołtarzu kościoła jak mówi legenda. Wojsko polskie wycofało się z Warszawy, pozostawiając za sobą dziewięć i pół tysiąca zabitych.

Na słowa ministra Sebastianiego: „L'ordre règne à Varsovie“ lud Paryża odpowiedział tłumną demonstracją pod Palais Royal, a w publicznym ogrodzie pałacu umieszczono odezwę otoczoną czarną krepą.

Wzięty do niewoli i wyleczony, został Wysocki osadzony w więzieniu karmelitów, gdzie przebywał w śledztwie trzy lata. Później skazano go na śmierć. Anonimowy autor życiorysu Wysockiego („Ruch Literacki“ 1857, Nr. 59, 60) pisze: „Sąd moskiewski zapewnił go jednak, iż będzie mu darowanym życie, jeśli zechce upraszać o łaskę cara. Wtedy Wysocki kazał przynieść ćwiartkę papieru i napisał na niej słowa, świadczące z jaką pogardą patrzył na życie, gdyby zostało shańbionym: — Nie dlatego broń podjąłem, ażeby prosić o łaskę cesarza, ale dlatego, żeby naród mój nigdy nie potrzebował o nią prosić“. Może Mikołaj ocenił bohaterstwo takiej postawy — bo wyrok śmierci zmieniony został na ciężkie roboty i Wysocki zostaje zesłany do Aleksan-

drowa pod Irkuckiem, gdzie pracuje w rządowej gorzelni.

W 1836 r. zesłaniec planuje ucieczkę. Chcą mu towarzyszyć: major saperów Fr. Malczewski, H. Kownacki, dwóch księży — J. Boguński i W. Kroczeński, — A. Luboradzki i niejaki Kacperski. A. Giller, znający historię tej ucieczki z ust Wysockiego, pisze: „Ułożyli plan ucieczki przez Syberię, Góry Ałtajskie, Turkestan do Indii, skąd chcieli na angielskich statkach dostać się do Europy, gdzie łatwiej i pożyteczniej dla Polski pracować można... Zrobili mapę całej Azji, wytknęli na niej drogi przez puszcze, góry, stepy, między dzikimi ludami...“

Niestety, Kacperski zdradził. (Okazało się później, że był to pospolity złodziej i rzeźmieszek z Lublina). Dramatyczna ucieczka łądziła na rzece Angarze nie udała się. Osaczeni na wyspie, z rannym kulą w ramię Wysockim, uciekinierzy zostali wzięci do niewoli. Wyrok dla Wysockiego: 1.000 kijów i ciężkie roboty w kopalni nerczyńskiej z przykuciem do tacek jako „ciepiennyj ariestant“. Ks. Boguński otrzymał niewiele łżejszy wyrok — 500 kijów, pozostali — różgi. Wszyscy zaś skazani zostali na ciężkie roboty w kopalni. Nie lepiej potraktował car zdrajcę: otrzymał również różgi i został zesłany do zabajkalskiej kopalni.

Dwa lata spędził Wysocki przykuty do tacek. Złitowały się nad nim władze kopalniane i w tajemnicy zwolniły go od tych nieludzkich warunków. Osiadł w Akatui, osiedlu odległym o 625 km. od Czysty.

11 marca, a więc w tym samym czasie, kiedy Wysocki odbywał katorgę w kopalni, „Kronika Emigracji Polskiej“ w Paryżu pisała:

„Pisma zagraniczne rozgłosiły wieść o śmierci Wysockiego. Że pękło to ogniście serce, to dziw tylko, że tak długo wycierpiał mękę rozpacz i niewoli... Z orężem w rękę na polu bitwy dawał wzór powinności Polaka i karność żołnierza. Przenieśmy ten czyn na historyczne tło Grecji i Rzymu i sądźmy o nim z tej optycznej dali“.

Podzielone były do owej chwili opinie współczesnych o Wysockim. Wielu spośród wygnańców przeklinało jego imię, winiąc go za rozpoczęcie powstania, które skończyło się klęską. Zapowiedź tych sądów usłyszał Wysocki już w czasie dni listopadowych: „Okryjem was wieńcami, popiersia wasze i imiona rycy będziem w marmurze, jeżeli ta wojna pójdzie szczęśliwie; ale nie przestaniem was przeklinać na wieki, jeżeli to wszystko w złe się obróci“.

Wieść o śmierci była nieprawdziwa. Wysocki zebrał mały kapitał, kupił domek, założył w nim mydlarnię, a cały dochód z niej przeznaczył na pomoc

zesłańcom, nie tylko Polakom, ale i Rosjanom osiedlonym w Akatui. Dom jego stał się centralnym punktem życia wygnańców z całej nerczyńskiej gubernii. Tam święcili rocznice narodowe. Tam też odwiedził go Agaton Giller i z pobytu tego zdał relację w „Opisaniu Zabajkalskiej Krainy“.

W 1857 r., dzięki manifestowi koronacyjnemu, otrzymuje Wysocki zezwolenie na powrót do Warki, pod warunkiem, że nie będzie się z niej nigdy wydalać.

Belwederczyk, Leonard Rettel relacjonuje: „W liście do przyjaciół pisze Wysocki, że skoro przybył do Warki, książę Gorczakow przysłał do niego jednego z wyższych oficerów żandarmerii — z poleceniem, aby ten oznajmił mi — są jego słowa — iż mogę podać prośbę do cesarza o udzielenie mi dożywotniego funduszu na moje utrzymanie, a że podobna propozycja nie zgadzała się z moim położeniem, a nawet i dotychczasowym postępowaniem, przeto wolałem podziękować, a sam zdać się na wolę Boga i na łaskę moich rodaków“.

„Łaska rodaków“ nie była zbyt hojna, jak wynika z cytowanego na wstępie listu. „Ruch Literacki“ pisał później: „Obywatele Wołynia złożyli się na zakupienie dlań kawałka roli, na której pracując, doczekał się zgonu w dniu 7 (stycznia 1875) bm., który opłakuje, a przynajmniej opłakiwać powinna cała szlachetnie czująca Polska“.

Nie opłakiwała zbyt gorąco. Wzmianka o jego śmierci znalazła się w Kronice Miejskowej i Zagranicznej „Czasu“ z 15 stycznia 1875 r. między drobnymi, blahymi wiadomościami.

Norwid, sam zapoznany za życia i cierpiący dotkliwie ubóstwo, wrażliwy był na obojętność społeczeństwa polskiego wobec cierpień i śmierci najwartościowszych tego społeczeństwa obywateli. Z okazji śmierci Krasińskiego napisał on: „Kiedy Byron w nie swojej ojczyźnie, bo w Grecji, skonał: cała Grecja przez rok nosiła żałobę aż do pastucha dzikiego, co gdzieś pod Olimpem woły pasł — i ten nosił czarną szmatę u kija swego...“

Kiedy Zygmunt umierał, nie można było odmówić balu — i dozwolono narzeszcie, aby kto chce z Polaków, nie tańczył“.

O ileż bardziej bolesnym były losy życia belwederczyka, katorżnika i nędzarza — Piotra Wysockiego i o ileż bardziej był zapomniany przed śmiercią — i po niej.

Józef Pocięcha spełnił dobry uczynek przypominając społeczeństwu polskiemu jednego z najczystszych i najwierniejszych sobie i Ojczyźnie bojowników naszych o wolność.

Krystyna Brzozowska

RAJ NIEODKRYTY

Naturalnie, tak jak się w głębi serca spodziewałam, moja angielska przyjaciółka Barbara, nie zawiodła pokładanych w niej nadziei i tak samo jak zeszłego lata — zaprosiła mnie znowu na pasażerkę do swego samochodu na „spacer wzdłuż smugi słonecznej“, jak to poetycznie powiedziała, czyli na dwa tygodnie samochodowej radości po nasłonecznionych krajach południa Europy. Barbara jest kobietą zamożną i szczodłą, za benzynę, za nic nie chce zwrotu — no i tak człowiek może za niewielkie pieniądze zwiedzić kawałek świata, opalić się na Murzyna i nabrać energii na długie i chłodne londyńskie lato, na jesień i na zimę, które jak wiadomo, różnią się między sobą jedynie nazwami miesięcy.

Tym razem miała to być wycieczka hiszpańska, ale nie taka — „hiszpańska u samego brzegu“ kraju, czyli w miejscowościach najbliższych granicy z Francją, o nie. Tym razem Barbara postanowiła dojechać do daleko na południe wysuniętego punktu ziemi hiszpańskiej, na jedną z wysp, o których dopiero od niej dowiedziałam się, że zwą się Pituzy, i stanowią część grupy Balearów. Jedną z Pitułów jest wyspa Ibiza, położona wcale już blisko Afryki.

No to niech będzie Ibiza — pomyślałam sobie — daleko, bo daleko i nazwa jakaś nieładna, ale może będzie ciekawe.

Przygód po drodze, zupełnie jak „Nasi Zagranicą“ miałyśmy co niemiara, ale nie o nich chcę pisać. Mam bowiem ochotę opowiedzieć dzisiaj o jednej bardzo małej, a dziwnej wysepce, która jak to się śpiewało niegdyś w ludowych piosenkach za harcerskich dni „zabrała mi serce i oddać nie chce“.

Któregoś tam dnia naszej długiej podróży, dnia tak błękitnego, jak najbłękitniejszy chaber i tak złotego jak włosy dziecka, wylądowałyśmy wraz z naszym wiernym i bardzo już zakurzonym Austinem w porcie Ibizy, po całonocnej przeprawie morskiej z Barcelony. Rozejrzałyśmy się ciekawie po sporym i dość nowoczesnym porcie ibizańskim, po czym, znużone bardzo, udałyśmy się na kawę do portowej Fondy, czyli poprostu karczmy, czyli też zjazdu. Po odpowiednim posileniu się kawą i znakomitym hiszpańskim ciastkiem drożdżowym zwanym ensemada, powróciłyśmy do naszego Austina, który grzecznie czekał na nas w cieniu po wylądowaniu ze statku.

Wsiadłyśmy, Barbara nacisnęła start i hej — poniosło nas jak strzałą wzdłuż wyspy szeroka, nowoczesna szosa —

do najmodniejszego w tej chwili ibizańskiego osiedla — San Antonio Abad.

San Antonio Abad zasłużył sobie na dobre imię, sławione w turystycznych agencjach Londynu. Jest to chyba najładniejsza miejscowość letniskowa na wyspie. San Antonio, pobudowano wokół zatoki, owalnej jak olbrzymie jajo; zdawać by się nawet mogło, że to nie zatoka, ale błękitny staw, taka jest na niej woda spokojna i przejrzysta. Wokół brzegów białe, ogromne hotele o bardzo pomysłowej architekturze zacierają jaskawość podzwrotnikowego nieba, stateczki przewożące pasażerów z mikroskopijnego portu regularnie co 5 minut do każdego punktu zatoki — snują się sennie w przedpołudniowym skwarze. Wzrok nasz przykuwają przepiękne, bogate, białe wille, schowane w lasku piniowym, jakby wstydyły się swojej wytwornej zasobności. Niemal wszystkie wille zbudowane są w stylu mauretańskim, ocienione żaluzjami i kratami z kutego żelaza, o niewielkich oknach i głębokich podcieniach, aby ochronić swych mieszkańców przed gorącem, a wszystkie otoczone są pięknymi ogrodami, chociaż niełatwe musiało być wydobycie zieleni z tej jałowej ziemi, z tych kamiennych nawarstwień, z pokładu sypkiego piasku.

Tak, San Antonio jest piękne. W jednej z uliczek koło przystani znajdujemy niemal paryski w urządzeniu wystawy „boutique“ z pięknymi za szybą szmatkami, życzliwy pucybut na skwerze informuje nas, że sklep ten należy do najpiękniejszej Ibizanki, niejakej Rosy Negry, czyli Czarnej Róży. Ciekawe pięknej Rosy, zaglądamy przez szybę w głąb sklepu, ale dostrzegamy tylko jej smukłe nogi w złotych ciążkach, balansujące na wysokiej sklepowej drabince. Rosa Negra wyjmuje coś z pudeł pod sufitem dla pokazania amerykańskiej klientce, która dyszy od upału na taburecie przy ladzie.

Na obiad idziemy do hotelu Ses Se-vines o zachwycającej werandzie, potem na mocną kawę do cukierni na-przeciw, kupujemy jakąś pamiątkę i... koniec zwiedzania. Zobaczyłyśmy już wszystko co było godne zobaczenia w niewielkim, kokietyrnyim i modnym San Antonio Abad. Dopiero późnym wieczorem rozzdzwoni się tu życie muzyką, piosenką i tańcem w niezliczonych barach, dancin-gach i kawiarniach. Obecnie w porze siesty jest tutaj bardzo sennie. Znużone niedobitki letników, przeważnie matki z dziećmi, wracają z przyległych plaż powłócząc nogami w żarze gęstym, jak miód. Wracają od strony Cala Bassa z plaży,

gdzie woda jest przeźroczysta, jak najczystszy brylant i nigdy prawie nie zmacona falą. Barbara słyszała naturalnie już w Londynie o urokach Casa Bassa. Szkoda, że stateczki, które na tę plażę podwożą — też mają siestę.

Trzeba wracać. Obejrzymy sobie jeszcze miasto Ibizę, leżące zaraz za portem. Jest ono podobno pełne starych bram, krytych krużganków i zabytków z wielkiej, hiszpańskiej przeszłości. A potem trzeba będzie poszukać noclegu albo tu w San Antonio, albo też w Talamance, lub nawet jeszcze dalej na plaży Świętej Eulalii, nad którą góruje piękny kościół.

Wracamy.

W porcie ibizańskim Barbara, która ma oczy jak sokół, przyhamowuje naraz, niespodziewanie, posłusznego Austina. „Patrz — mówi — wycieczka w godzinach siesty, to coś dla nas, chwilowo bezdomnych. O tam, widzisz plakat „Excursion a Formentera“. Jaki ten hiszpański podobny jest jednak do angielskiego! Wszystko można właściwie zrozumieć. Ale co to jest właściwie ta Formentera?“ Nawet ja nie wiem...

Ja także, nie wiem. Nigdy o takiej wyspie nie słyszałam; z planu przy ogłoszeniu bowiem orientuję się, że jest to wyspa.

Nie zastanawiając się dłużej kupujemy w agencji dwa bilety na Formenterę.

Stateczek, który ma nas tam zawieść, w niczym nie przypomina wycieczkowych bateaux mouches z San Antonio. Jest to poprostu dosyć sfatygowany i obdrapany z farby, kuter. Obsługa czarna od słońca jak szatani, wszyscy marynarze bosi, ale bardzo sympatyczni. Odpływamy. Uśmiechnięty kapitan, jedyny w sandałach, widząc nieśmiałe turystki pokazuje nam na migi to co należy oglądać, komentując swoje ruchy kilkunastu francuskimi wyrazami: oto na lewo od nas, proszę szybko patrzeć, bo zaraz minie — najdziksza wysepka na wybrzeżu. Proszę niech panie tylko popatrzą na ten pionowy spadek wprost do morza drapieżnej, prostopadłej skały, na której samym czubku żyją orły morskie. Na tym niesamowitym kawałku skały nikt nie mieszka i nic nie rośnie. Jest trochę kozic, podobno, no i te orły. Oj zła to wyspa, niebezpieczna i smutna jak los biednych ludzi. Pytamy o nazwę wyspy skały. — Nazywa się Vedra — odpowiada kapitan.

Statek zaczyna naraz niespokojnie kołysać, ale lawiruje zręcznie między małymi wysepkami, podobnymi do raf. Słońce parzy, fala wznaga się, jakaś niemiecka turystka ucieka w popłochu do prymitywnej kabiny na dnie kutra. Huśta coraz gorzej, ale Barbara i ja

(Ciąg dalszy na str. 18)

zachowujemy się dzielnie. Stoimy przy burcie, patrzymy na ciemny fiolet morza, który w miarę oddalania się steczku od brzegów Ibizy pogłębia się coraz bardziej, staje kolorem z nieprawdziwego zdarzenia, kolorem z kartki wakacyjnej o przesadzonych barwach.

—Panie na Formenterę po raz pierwszy? — pyta kapitan. — Niewielka to wyspa, zaledwie 16 kilometrów długa, ale bardzo piękna.

I naraz... już. Rysuje się przed nami brzeg zupełnie płaski, którego jeszcze przed chwilą wcale nie było widać z pokładu. Formentera. Wsiadamy.

W porcie, cztery domki na krzyż i trzy rozklekotane taksówki. Takich taksówek nie widziałam od dawna. Ostatni raz zapewne w Łucku, podczas wojny. Tylko im sznurków brak do podwiązania drzwiczek, żeby pasażer nie wypadł. Wsiadamy do jednego z tych okazów. Szofer, jak większość Hiszpanów mówi nieco po francusku. Na imię mu Antonio i chętnie posłuży nam za przewodnika. „Piękna jest nasza wyspa — zobacz panie“, uśmiecha się. „Nie mamy co prawda ani jednej kawiarni, nie mamy też elektryczności, ale to nic, dobrze nam tutaj i bez tego...“

Rozpędzamy się po szosie na niere-sorowanych kołach i naraz... co to? Rozwija się przed nami księżycowy krajobraz. „To saliny — powiada szofer — wspaniałe formenterańskie salinas, solanki, jezioro przy jeziorze, płaskie, srebrne, ciche, ogromne. Daleko na widnokręgu rysuje się ciemny brzeg lasu. I cisza. Niczego i nikogo nie uwidzisz przez zakurzone samochodowe okienka. Nawet ptak nie zanuci, nawet wiatr nie zawieje. Doprawdy wyładowaliśmy na księżycu.“

Wyjeżdżamy wreszcie z rejonu Las Salinas. Teraz droga prowadzi zadrzewioną wąską drogą, a ptaki między krzakami jałowca odzyskały nagle głos. W wyřębie lasu, zdaleka, bieli się jakieś ogromne domisko,

—To nasz hotel — mówi dumnie Antonio — piękny hotel, jedyny jaki mamy, stoi, jak panie widzą nad samym brzegiem morza.

Antonio po kawalersku objężdża hotel, który jest rzeczywiście wspaniały.

—Każdy pokój ma własną łazienkę — informuje nas nasz opiekun. No i tutaj mają własną elektryczność, pędzą dynamo... my w głębi wyspy nie mamy elektryczności, ale będzie, będzie...

Potem Antonio wiezie nas na sam koniec wyspy, na cypel zwany La Mola, na którym stoi latarnia morska. Ale to szmat drogi — szesnaście kilometrów po wybojach, więc odpoczywamy po drodze w dwóch fondach, czyli zajazdach, rozsiadłych u progu białych miasteczek — San Fernando i San Fran-

cisco Jevier. San Francisco jest stolicą Formentery. Na głównej ulicy bawią się dzieci, spacerują kury i kozy, biegają prześliczne psy „ibizencos“ płowe, podobne do sarenek. W zajazdach nie jest bardzo czysto, niestety, ale zato odnosi się wrażenie, że za zamówioną oranżadę czy kawę uprzejmy El Padrone tylko z największym oporem bierze zapłatę. Goście, miejscowi i przybysze tak jak my — pozdrawiają nas życzliwie, z zaciekawieniem: a wy skąd? Z Anglii? To smutny kraj bez słońca, u nas przyjemniej, prawda?

—Spokojniej tu niż na Ibizie — mówi Antonio. — Bo o nas to właściwie jeszcze nikt nie wie, chociaż wskazuje na ukryte w lesie fragmenty białych budowli. — Ludzie już się zwiedzieli, zaczynają przyjeżdżać. Nad morzem cała ziemia wykupiona... Ale to inni goście, inni letnicy niż na Ibizie. Pisarze, artyści... O, tam pod lasem to willa holenderskiego dramaturga. A tam dalej wie pani... Antonio zwraca się teraz specjalnie do mnie, już się wywiedział, że jestem Polką z Londynu — o tam, daleko, prawie nie widać jego domu między drzewami — mieszka pewien Polak. Dawno temu przyjechał, nazwisko ma bardzo trudne, ale to nadzwyczajny człowiek. Żyje jak Święty Franciszek, otoczony zwierzkami. Dom sobie wybudował spory, biedaków różnych przygarnia i tak żyje... A jak idzie się kąpać, to kaczuszki sznureczkiem za nim maszerują.

Chciałabym się dowiedzieć nazwiska polskiego Świętego Franciszka, ale dla Antonia to już za wiele, nie potrafi powtórzyć.

Jedziemy dalej, aby po kilku kilometrach wysiąść w lesie na polanie. Las spada w tym miejscu łagodnie ku plaży. Na kilometry w koło ani jednej ludzkiej twarzy. Biogospławiony, śródziemnomorski gorący świat leży przed nami w całej swej zawrotnej, niezaputej krasie. Barbara patrzy na mnie, a ja na Barbarę. „Czy to prawda? — pytamy się wzajemnie. — Czy to możliwe — ta cisza, to słońce, ta życzliwość, ci prości, mili ludzie, którzy nie czekają na napiwek, ta dotykalna, przejmująca bliskość natury? Czy to możliwe, aby takie miejsca uchowały się jeszcze na mapie Europy, w rozkrzyczanych, gwałtownych, niespokojnych czasach, w tempie życia, przed którym wydawało się nam, że już nigdzie uciec nie można?“

„Lovely, lovely“... szepce Barbara i odchodzi ścieżką w las, ku prześwitującemu poprzez pinie morzu.

Z drugiej strony piaszczystej ścieżki ktoś mozolnie pedałuje na rowerze. Ksiądz, zapewne proboszcz z San Fernando. Jedną ręką uczeplił się kierownicy, drugą ociera spoczone czoło chustką

Leżę pod piną i coś mi się zaczyna majaczyć, coś mi się przypomina. Gdzie to ja już widziałam takiego księdza na rowerze, pozdrawiającego mnie życzliwie imieniem Bożym? Gdzie to już było — i ten ksiądz i ta cisza i to dalekie gdakanie kur z chłopskiej zagrody? Gdzie tak kiedyś, dawno — pachniała macierzanka? Na jakiej zapomnianej a najbliższej sercu polanie leśnej? Gdzie?

Już wiem. Podobnie, ale nie taksamo. Już wiem dlaczego naraz serce ścisnęło mi się radością i tęsknotą. Bo tu — podobnie jest — do domu. Tyle, że o krok ode mnie szumi ciepłe morze, że język obcy, że afrykański upał leży po za kręgiem leśnego cienia. Ale element ciszy, spokoju, bliskości — to wszystko jest stamtąd, z opuszczonego dawno temu świata.

Inny świat... O pół godziny stąd w modnej Ibizie piękne letniczki piją cocktaile z lodem, a szafograje wydzierają się modną melodią. Człowiek dwudziestego wieku pędzi przed siebie w oszalałym biegu, dzień przestaje być dniem, zmienia się w chwilę, która szybko mija, jedna za drugą, jedna za drugą — aż do progu śmierci. Gdzieś, kiedyś było inaczej, ale zgubiliśmy się w wyścigu, nie potrafimy się nigdzie zatrzymać.

Może kiedyś powrócę tu jeszcze na kurację, ciszą. Na to, abym odnaleźć mogła w niewygodzie prymitywnego zajazdu, w gdakaniu kury pod oknami, w zabawach dzieci na placu przed kościołem — swój stracony, najpiękniejszy czas. Czas wsi wileńskiej, czas młodości.

Dochodziła szósta. Pora wracać do portu na ostatni kuter, który odwiezie nas na Ibizę. Cienie w lesie wydłużały się ostrymi palcami piniowych gałązek. Na plaży fala uderzała o brzeg monotonnie, od strony St. Francis Javier sygnaturka kościelna zagrała na Anioł Pański, Antonio zdjął czapkę, przeżegnał się szerokim krzyżem. Oczy protestantki Barbary zaślniły nagłym zdziwieniem. Otworzyła usta, aby wypowiedzieć jakąś niefrasobliwą uwagę i zamilkła w pół słowa. — Ave Maria — powiedział Antonio — Ave Maria — odpowiedziałyśmy razem z Barbarą.

Wracałyśmy w zachodzącym słońcu przez księżycowy krajobraz Salinas. Obejrzałam się za siebie. Pożegnałam latarnię morską na wzniesieniu La Mola, gdzie dwa morza zlewają się z sobą: jedno liliowe, a drugie niebieskie i obejmują wyspę w swe śliskie ramiona.

Wchodzimy na kuter. Antonio powiewa ręką na pożegnanie. — Au revoir — woła Barbara i szepce do mnie. — Raj utracony, co? Więc ona także zrozumiała.

Zofia Junosza

STANISŁAW NOAKOWSKI

(W stuletnią rocznicę urodzin)

„Nie jestem architektem. Jestem po prostu malarzem zakochanym do szaleństwa w architekturze. Wiaściwie umiem tylko szkicować. Jestem człowiek-szkic.“ Było to jedno z charakterystycznych powiedzeń profesora Noakowskiego, z których tyle krąży po Warszawie jeszcze do dnia dzisiejszego. Utrwalone niedawno w Kraju wydanym zbiorem wspomnień jego byłych uczniów, ukazują nam postać tego wielkiego artysty nie tylko w powadze jego profesorskiej godności, ale też w szarej codzienności życiowej drogi. Przez 30 lat, jakie spędził na obczyźnie, nie zszedł nigdy z duchowej wysepki swej polskości, podkreślając ją stale zarówno w rozmowach jak i w twórczości.

Urodzony w 1867 r. w Niszawie, Stanisław był przedostatnim z pięciorga dzieci miejscowego rejenta, Władysława Noakowskiego. Plebania, którą w owym okresie rodzice jego wynajmowali od rezydującego w niedalekim Włocławku proboszcza, stała na skraju nadbrzeżnej skarpy i przypominała wyglądem typowy dworek szlachecki. Spokojny i łagodny krajobraz ziemi kujawskiej kształtował charakter przyszłego wizjonera architektonicznych mirażów, a wcześniej rozwinięta wrażliwość chłonęła koronkową lekkość gotyckich łuków stojących obok domu fary. W jednej z bocznych naw kościoła, na czerniałym od wieków grobowcu, leżała na wpół uniesiona postać rycerza w pełnej zbroi. Z jakąż ciężką podchodził Staś do tego w marmur zakutego wspomnienia bohaterskiej przeszłości Rzplitej, o której tyle nasłuchiwał się od ojca. ...U stóp wzniesienia różnorodnych budynków otaczały starożytny ratusz, a wysmukłe topole trzymały straż nad srebrną wstęgą leniwie płynącej Wisły.

Wyjeżdżając w 1878 r. do Włocławka, gdzie ojciec umieścił go w szkole realnej, Staś unosił ze sobą pamięć tych stron rodzinnych, które tak często będą mu natchnieniem w latach dobrowolnej rozłąki.

Nagła i zupełnie niespodziewana śmierć ojca w 1879 r. była pierwszym, głębokim bólem tego młodego serca a drobne przedmioty należące niegdyś do tego mądrego i wyrozumiałego przewodnika lat chłopięcych, można było jeszcze zobaczyć na biurku sławnego profesora politechniki warszawskiej.

Niezwykłe zdolności rysunkowe młodego Noakowskiego, zwróciły uwagę jego nauczycieli, którzy doradzali mu usilnie, żeby po zdaniu matury, wybrał architekturę, jako swój przyszły zawód.

Ostateczna decyzja wyjazdu do petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych zapadła dopiero po ślubie najmłodszej i bardzo ukochanej siostry Zofii, która zostawszy w 1886 r. żoną inżyniera Kazimierza Balińskiego, wyjechała z nim do północnej Rosji. „Mieszkając tak blisko, będzie mogła często mnie odwiedzać“ — pocieszał się Stanisław, żegnając pozostałą rodzinę.

Po ukończeniu Akademii, mianowany kustoszem, a następnie profesorem moskiewskiej Szkoły Sztuk Pięknych Strogonowa, Noakowski spędzał corocznie wakacje w Europie, gdzie z niegasnącym entuzjazmem, zachwycał się wspinał się na królewskie pałace Wersalu i Loary, podziwiał klasyczny wdźwięk greckich świątyń oraz surową powagę włoskiego renesansu, a gorące umiłowanie przeszłości prowadziło go śladem ludzi, którzy tam niegdyś żyli. Po każdej z tych artystycznych kąpieli, wracał zawsze odświeżony i promieniejący radością życia, którą zresztą mimo późniejszych niedomagań, zachował niemal do ostatka.

Ofiarowaną mu w 1918 r. katedra historii architektury na politechnice warszawskiej, była urzeczywistnieniem wieloletnich marzeń profesora Noakowskiego. Zlikwidowawszy pośpiesznie swoje spartańskie mieszkanie, pożegnał bez żalu starą kucharkę, „z którą nie lubił rozmawiać, bo miała brzydki głos“ i wyjechał, żeby w Niepodległej Polsce przeżyć ostatnie dziesięć lat swej ziemskiej wędrówki.

Nie był to już wówczas ten młody człowiek o ciemnych, bujnych włosach i marzycielskim spojrzeniu, który miał niegdyś takie powodzenie u kobiet. Resztki siwych włosów okalały teraz mocno zaawansowaną łysinę, a zagrożone ślepotą oczy patrzyły niepewnie spoza grubych szkielec. Pozostał jednak dawny urok i wdźwięk uśmiechu, który zjednywał mu wszędzie tylu przyjaciół. Słuchacze jego wydziału uwielbiali profesora „Noaka“, a kiedy pojawiał się na dorocznym balu architektów, porzucali najpiękniejsze panny, żeby go doprowadzić do wygodnego krzesła lub uchronić od przeciągu. A „Noak“ dzięki kawałkowi im uradowany, gdyż mimo swej ewangelicznej prostoty i wielkiej skromności cieszył się zawsze dowodami szczerzego uznania czy życzliwości. Bo ten sławny profesor i niezwykle miary artysta, miał w sobie coś z dziecka, które czasem bywało nawet rozgrymaszone. Zapytany kiedyś, dlaczego nie chce przyjmować herbatkowych „zaproszeń jednej ze swoich podstarzałych

wielbicielek, tłumaczył się z rozbrajającą szczerością: „Kiedy ona chce za mnie prowadzić takie mądre rozmowy a mnie to strasznie nudzi. A przytem jest taka brzydka“. — dodawał z nieukrywaną odrzą.

Nienawiść do wszystkiego co brzydkie, było chyba jedynym negatywnym uczuciem tego człowieka o gołęmb sercu. Natomiast piękno w każdej formie przemawiało do jego przesubtelnionej wrażliwości. Siedząc przy swoim małym, kryształkowym radiu, wzruszał się nieraz do łez, słuchając jakiegoś koncertu czy choćby tylko bardziej melodyjnej piosenki. O tym zamiłowaniu Noakowskiego do muzyki dowiedziała się panna, z którą chciano go swatać. Zaproszona pewnego dnia równocześnie z profesorem do wspólnych znajomych, usiłowała swoim niezbyt dźwięcznym sopranem zdobyć jego starokawalerskie serce.

Planująca to małżeństwo pani domu, chciała się dowiedzieć, jak się jej protegowana podobała. — „Panna śliczna, owszem — powiedział profesor, kierując się szybko ku wyjściu“ — „Tylko śpiewa zbyt głośno...“ I taki był koniec swatów.

Czytając te po kartkach wspomnień gęsto rozsiane „powiedzonka“ Noakowskiego, mamy wrażenie, że patrzyliśmy własnymi oczami na jego wysoką, nieco pochyloną postać, jak wszedłszy do Gmachu Architektury przy ul. Koszykowej, idzie przez długą kreslarnię powolnym, przeciążonym tuszą krokiem, zatrzymując się po drodze przy tym lub owym stole, aby rzucić jakiś żart odpowiedzieć na zadane pytanie. — „Co pan profesor myśli o współczesnym malarstwie?“ — chciał się dowiedzieć jeden z entuzjastów modernizmu. — „Może to i ładne“ — mruknął niechętnie Noakowski i przeszedł do znajdujących się obok dwóch pokoiów, które zostały mu przydzielone jako mieszkanie. Jeśli któryś z uczniów odwiedził go w tej samotni — w której zresztą czuł się najlepiej, kiedy już zapadła wieczorna cisza — pokazywał mu chętnie świeżo wykończone akwarele, a widząc szczerzy zachwyt młodzieńca, powtarzał uszczęśliwiony: „To nieźle, panie, co? Prawda, że nieźle?“

Wykłady Noakowskiego były czymś zupełnie niezwykłym. Tablica, kreda i gąbka wystarczyły mu do opisanego każdego stylu i wieku i ułatwiały słuchaczom zrozumienie tajników powstawania wielkich dzieł światowej architektury. Z natury niezbyt wymowny, profesor rzucał od czasu do czasu krótkie, urwane zdania, które były uzupełnieniem jego rysunków. Wyczarowane szybkimi pociągnięciami kredy, pojawiały się na tablicy starożytne zamki,

(Dokończenie na str. 20)

tryumfalne łuki i rokokowe wnętrza, które po wyczerpaniu tematu jednym pociągnięciem gąbki strącał w przepaść nicości.

Żeby uratować przed zagładą te architektoniczne wizje, uczniowie uzyskali po długich naleganiach zgodę profesora na ustawienie obrotowej tablicy na wzniesieniu katedry. Umożliwiało to fotografowanie kredowych arcydzieł, podczas kiedy Noakowski kontynuował swój wykład na odwróconej ku niemu stronie. Zdarzało się jednak niekiedy, że zniecierpliwiony tą obrotową manipulacją profesor ścierał niepostrzeżenie swój ledwo zakończony rysunek, tłumacząc potem z miną skruszonego winowajcy, że zrobił to „przez zapomnienie”.

Kiedy latem wyjeżdżali za granicę na architektoniczne studia, zjawiał się zawsze na dworcu bardzo wcześnie, żeby mieć dość czasu na pożegnalne przeprosty i wskazówki. Choć na ogół nie dąbił o swój zewnętrzny wygląd, na tę uroczystą okazję ubierał się wyjątkowo starannie, a pięknie zawiązany „fontaż” w groszki świadczył o dłuższym posiedzeniu przed lustrem.

Był rok 1928. Zbliżał się koniec letniego semestru, a zarazem kres życia wielkiego artysty. Zdumienie i podziw ogarniały jego młodych przyjaciół, widząc jak ten niemal zupełnie już ociemniały i upadający pod brzemieniem śmiertelnej choroby człowiek, stanąwszy przed nimi na katedrze, zmieniał się w tytana wiedzy, który pewną ręką otwierał przed nimi skarbnicę swej mądrości.

Wyjeżdżając jesienią na zwiedzanie włoskich zabytków architektury, słuchacze profesora „Noaka” byli niezwykle smutni i milczący. Naprawdę profesor siłił się na swoje pożegnalne żarciki, naprawdę młodzi ludzie udawali, że nie słyszą jego ciężkiego oddechu, przeczuć ostatecznego rozstania wisiało nad nimi, jak czarna chmura.

W pierwszych dniach października gromadka studentów znalazła się w Rzymie, gdzie w nadybrzańskim konwencie „degli Cento Preti” znaleźli wygodne pomieszczenie. Po spożyciu kolekcji pozostali jeszcze przy stole refektarza, układając plany na dzień następny, kiedy nadeszła depesza donosząca o śmierci Noakowskiego.

Nagła cisza, jaka zapanowała na sali, była bardziej wymowna niż najgwałtowniejsze objawy żalu. Nikt nie myślał już o wyjściu na miasto.

W czasie barbarzyńskiego zniszczenia Warszawy przepadły fotografie i stenogramy jego wykładów. Jednak szczególnie uratowane akwarele i rysunki świadczą o bogactwie artystycznych wizji tego genialnego architekta, który właściwie był malarzem.

JANINA ORLOWSKA

OSTATNIE SPOTKANIE

Kawiarnie Groppi'ego w Kairze, w czasie ostatniej wojny, były świadkami niejednego spotkania przyjaciół i znajomych różnych narodowości, których chwilowym miejscem postoju był Egipt.

Stacjonowali tam żołnierze wszystkich ras, od hebanowych Senegalczyków do czekoladowo-kremowych Hindusów i chyba cała wolna Europa, w najrozmaitszych formacjach i broniach, nie wyłączając oczywiście Polaków, którzy przyjeżdżali na różne kursy i przeszkolenie pancerne oraz przygotowywali się do dalszej walki z Niemcami.

Dlatego Kair wrzał nie tylko od upału, ale kipiał młodością, zapałem i niecierpliwością, a wieczorami bawił się wesoło.

Pewnego gorącego popołudnia, w ogródku Małego Groppi'ego, kiedy chłodziłam się ogromną porcją lodów — nagle z baru wyskoczył Józek. Chwycił mnie w ramiona i całując siarczyście podniósł do góry, ku uciechu zatłoczonej kawiarni.

Był w mundurze lotnika, na rękawie miał dwa paski, wyglądał świetnie. Przysiadł się do stolika i już po chwili opowiadał, śmiał się, tryskał szampańskim humorem; porywał mnie po prostu swoją rozruchaną żywotnością.

— Idziemy na szaleństwo — oświadczył, a zobaczywszy w moim wzroku pytanie, ściszył głos.

— Widzę, że pamiętasz. Naturalnie, sprawę tego haniebnego „zobowiązania” poleciłem opiece II-go Oddziału zaraz w Pahlevi. Bez trudności udowodniłem, że miałem — dosłownie — nóż na gardle. Resztę „kuracji oczyszczającej” przeszedłem w Anglii. Musiałem zmienić nazwisko — by the way — mów mi Joe — i jestem jakby pod nadzorem, czy opieką, jak wolisz. Słusznie zresztą, bo wyobraź sobie — na krótkim urlopie w Londynie — jakiś niepozorny człowiek miał dla mnie rzekomo wiadomość od rodziny i upierał się, że tylko na osobności może mi ją przekazać.

— Byłem uprzedzony, że nie uniknę tego rodzaju kontaktów, co potwierdzała słowa komendanta wojenkomatu w Ojrot-Tura, który wydając mi bilet do Jangi-Julu powiedział „gdziekolwiek pojedziecie — znajdziemy was zawsze”.

— Sam nawarzyłem piwa i sam muszę je wypić, zakończył bez humoru.

Wygląd Józka świadczył o tym, że jest w jak najlepszej formie i doskonałym nastroju. Propozycja szaleństwa była nie do odrzucenia.

A dwa lata wstecz?

Jakże odmienne było nasze spotkanie w Krasnowodsku, gdzie koczowałam z rodziną, czekając na statek do wymarzonej wolności.

Józek przyjechał z grupą młodych chłopców, ale że na wcielenie do wojska nie było już czasu, jechali z ludnością cywilną. Chudy był, jak przysłowiowy patyk, w pociemniałej od przebytych chorób twarzy paliły się gorączką oczy, które określiłam dawno temu, jeszcze w szkole, jako stalowe, choć były prawie czarne. Ale emanowała z nich jakaś siła już wtedy, gdy ciskał „gromy i błyskawice” i groził, że zahypnotyzuje niesfornych urwisów, którzy mu dokuczali.

Siedząc w porcie na zebranych tobołkach, opowiadał o swoich przeżyciach w kampanii wrześniowej, o przedzieraniu się do Rumunii i wylądowaniu na Kółmie. Przeszedł koleje losu, jak tysiące innych towarzyszy niedoli, w długiej wędrówce do wojska. Wspominał także o przygodzie z córką profesora uniwersytetu w Leningradzie, wywakuowanego z uczelnią do małej mieściny w Altajskim Kraju.

Domyślałam się flirtu, a może romansu; mężczyźni przecież uważają, że każda kobieta, szczególnie podczas wojny, jest fortecą, którą należy zdobyć... albo obejść zdaleka.

Ciszę zakłócał tylko płacz głodnych dzieci, a Józek oglądał się niespokojnie, jak gdyby w ciemnościach nocy czaiło się niebezpieczeństwo. Co prawda, wszyscy byli zastraszeni i niepewni, czy jeszcze czegoś nie wymyślą nasi gospodarze, żeby odjazd opóźnić, lub w ogóle wstrzymać. Ale była to już raczej cicha rezygnacja, niż głośnie biadania.

Po trzech dniach wreszcie żegnaliśmy brzegi „niehumanitarnej ziemi”. Józek stał nieruchomo, bez śladu radości na twarzy.

— Nie cieszysz się? — spytałam.

Wówczas, po chwili milczenia wyznał, że wyjazd swój okupił podpisaniem „zobowiązania współpracy”. Ponieważ urodził się w Rosji, naczelnik łagru powiedział, że amnestia go nie obejmuje.

Pomimo, że słyszałam już o podobnych wypadkach — nie mogłam wykształcić z siebie nawet banalnych słów pocieszenia, a Józek chwycił moją rękę i omal nie zmiażdżył jej w żelaznym uścisku.

— Ohydna rzecz zrobiłem, ale rozumiesz dlaczego? Czy wyobrażasz sobie, że mogłem patrzeć obojętnie na radość, gotowych do drogi towarzyszy,

KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,

LONDON, S.W. 7.

Great Britain

POLSKA KSIĄŻKA W POLSKIM DOMU:

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,
- to kulturalna rozrywka i odpoczynek,
- to najlepszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

POLSKIE PISMO W POLSKIM DOMU:

- to najlepsza łączność z polskim życiem,
- to jedyny kontakt z rodakami w całym świecie,
- to polskie okno na świat i jego sprawy!

KSIĘGARNIA S. P. K.

- jest zaopatrzona we wszystkie książki wszystkich wydawców emigracyjnych,
- prowadzi kolportaż wszystkich pism niepodległościowych wydawanych na emigracji,
- posiada na składzie podręczniki dla szkół nauczania przedmiotów ojczystrych.

KSIĘGARNIA S. P. K.

- jest składem głównym (na prawach wyłączności):
GRYF PUBLICATIONS LTD.,
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO
IM. GEN. SIKORSKIEGO,
POLSKIEGO TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO W W. BRYTANII,
POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,
- jest bogato zaopatrzona w wydawnictwa krajowe.

KSIĘGARNIA S. P. K.

- zamówienia pocztowe załatwia odwrotnie,
- kołom S.P.K., szkołom i bibliotekom udziela rabatu,
- działa w oparciu o największą organizację społeczną, jaką jest Stowarzyszenie Polskich Kombatantów.

Wszelkie zamówienia i wpłaty (czeki, P.O. i I.M.O. należy wystawiać na: P.C.A. PUBLICATIONS LTD.), prosimy kierować na adres:

KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,

LONDON, S.W.7.

Great Britain.

U w a g a : Przy przesyłaniu należności prosimy o podawanie numeru rachunku.

słuchać ich planów i rozmów o tworzącej się armii? Czy wyobrażasz sobie piekło, jakie przeżywałem na myśl, że zostanę niewiadomo jak długo?

— Popatrz na moje nogi — podciągnął rozpaczliwym ruchem spodnie — nogi miał sine i wyżarte wrzodami po awitaminiozie. Takie mam całe ciało, zgniłbym za życia...

— Przysięgłem sobie, że zapłacę im za to poniżenie, ach jak zapłacę — zgrzytnął zębami, aż mnie ciarki przechodziły, a oczy gorzały mu nienawością straszną, jak przekleństwo.

— Józek — odezwał się — wiesz co masz zrobić, prawda?

— Kochana — ucieszył się — wiedziałem, że mnie zrozumiesz, oczywiście, że wiem. Jakżeby mógł żyć z tym balastem?

Nie mieliśmy już okazji do rozmowy. Morze Kaspjskie rzuciło naszą barką z taką wściekłością, jakby chciało zatopić i pozbyć się niepożądanych świadków, przeżytego piekła na ziemi. Wyczerpani morską chorobą, głodem, brudni i cuchnący, wylądowaliśmy w Pahlevi.

Józek przyszedł pożegnać się i zapewnił mnie, że zaraz po zakwaterowaniu zgłosi się do Oddziału II-go.

— Nie mogłbym patrzeć prosto w oczy żadnemu Polakowi — powiedział.

— Do zobaczenia — krzyknęłam za nim...

Od tego czasu upłynęło dwa lata i oto spotkaliśmy się znowu.

Uradowani wiończyliśmy się nad Nilem, trzymając się za ręce śmieliśmy się — jak dawno, dawno temu — często i z byle czego. Było nam swojsko i dobrze z sobą; bawiły nas natarczywe Arabiatka, proszące o bakszysze.

Oglądaliśmy wieczystego Sfinksa i zgodziliśmy się, że worki piasku, podpierające brode, pozbawiają go tajemniczej zadumy; piramidy przytaczają ogromem i że tylko zakochani widzą inaczej, niż zwykli śmiertelnicy. Bo przez różowe okulary miłości, Egipt może wydawać się jednym z najczarowniejszych zakątków świata. Wreszcie zmęczeni usiedliśmy w kawiarni pod palmami.

Ogromny księżyc wisiał na czarnym aksamicie nieba i gwiazdy drżały, jak kobiety pragnące miłości. Za zasłoną z błyskotek i słomki tańczyły zawołane dziewczęta, dzwoniąc bransoletami w takt egzotycznego rytmu... Powietrze przesyczone zapachem tuberozy przyprawiało o zawrót głowy, a wino oszałamiało. Joe patrzył na mnie, jak nigdy przed tym...

Przymknęłam oczy w oczekiwaniu miłych słów... pocałunku... marzył mi się Kair uroczy, Sfinks tajemniczy, a noc długa i miłość obiecująca...

— Musimy stąd wyjść — szepnął

nagle. Nie oglądaj się. Za fontanną siedzi osobnik w fezie, który wczoraj u fryzjera prosił mnie o ogień — po rosyjsku. Wyszedłem szybko, ale on bardzo natarczywie depece mi po piętach od kilku dni.

I choć później wziął mnie w ramiona i tulił, gdy drżałam z zimna — nie rozgrzał uściskiem. Czar nocy prysnął.

* * *

Ostatni raz spotkaliśmy się po zakończeniu wojny, w Londynie. Józek nie miał trudności z otrzymaniem pracy; był inżynierem-górnikiem i znał kilka języków. Został zaangażowany przez ogromny, amerykański koncern Lamowar i wyjeżdżał krótko do Południowej Ameryki. Żegnaliśmy się wtedy nie przeczuwając, że to nasze ostatnie spotkanie.

Był znowu zdenerwowany i niespokojny. Robił wrażenie zaszczutego zwierzęcia. Uciekał. Może przed konsekwencjami kroku — trudno osądzić właściwego, czy nie — kroku, który zrobił hen — tam, w Ałtajskim Kraju.

Pisywał później krótkie, zdawkowe listy, przysyłał bajecznie kolorowe kartki z Argentyny, Chile, Brazylii, ale ostatnio nie dawał znaku życia o sobie.

Niedawno uwagę moją zwróciła wiadomość o sensacyjnej aferze na terenie Brazylii, gdzie w kopalni blendy uranowej, wykryto brak ogromnych ilości tego czarnego minerału. Jeden z inżynierów, Polak, wykrył sprawców, którzy potajemnie sprzedawali go agentom państwa, nie wymienionego z nazwy. Po kilku dniach, zwłoki jego znaleziono w starym szybie. Inżynierem tej kopalni był Joe.

A teraz, z filozoficznym spokojem patrzę na czarny nekrolog i wiem, że gdzieś, kiedyś skończy się droga życia każdego człowieka. Lecz żal mi, Joe, że zapłaciłeś za chwilę słabości śmiercią okrutną, ale czy nieoczekiwaną?... Czy zginałeś, mszcząc się za przeżyte upodlenie?...

Janina Orłowska

DOM POLSKI W WIEDNIU

Klub — Czytelnia —
Restauracja

Przyjemna atmosfera
Dobre miejsce spotkań

SHELLEINGASSE 2
WIEN IV.

ROCZNIK POLITYCZNY I GOSPODARCZY 1966

Czytanie rozpraw ekonomistów (zwłaszcza krajowych) doprowadza raczej do rozpacz niż przynębienia. Nic konkretnego z tej propagandowej pisaniny nie można się dowiedzieć. Dochodzi do tego jeszcze ta okoliczność, że gdy się raz złapie na oczywistym i grubym kłamstwie w nie się już nie wierzy. Ponadto w większości wypadków nie wiadomo na jakich podstawach opierają się wskaźniki, procenty, skala, liczby porównawcze itp., przy uzasadnieniu tez i wyników badania.

Takim jest „Rocznik polityczny i gospodarczy 1966“.*)

Z danych statystycznych dowiadujemy się, że w 1965 r. spożyto 140,7 kg. zboża, „przeliczeniu na przetwory“, na 1-go mieszkańca Polski. Wiadomą jest rzeczą, że w Polsce je się chleb przeważnie czarny, a więc razem z otrąbami, przy czym podczas wypiekania dodaje się poważny procent wody, która powoduje wzrost wagi „przetworzonego“ produktu. Stąd oczywisty wniosek, że spożyto w tym okresie mniej zboża na głowę ludności niż 140,7 kg. Z drugiej strony statystyka podaje, że w tymże roku samego tylko żyta i pszenicy wyprodukowano 371,6 kg. na 1, mieszkańca. Ponadto ludzie spożywają dużo „przetworów“ z takich zbóż jak jęczmień, owies, gryka, proso i inn., co poważnie obniża spożycie żyta i pszenicy. Po dodaniu do tego 1 miliona 863 tys. ton zboża (głównie pszenicy) importowanego z krajów „kapitalistycznych“, powstanie olbrzymia nadwyżka zboża nad jego spożyciem.

Rocznik nie ujawnia co się stało z tą nadwyżką. Można tylko snuć różne domysły: może ją skrycie sprzedano, może oddano pod przymusem silniejszemu sąsiadowi ze Wschodu, może są to fałszywe dane statystyczne itd. W każdym razie jest się tak samo mądrym i oświeconym po przeczytaniu tych bredni, jak się było przed przeczytaniem.

Mimo to nie można zaniechać badania tego przedmiotu z powodu braku do dobrego materiału do badania. Badacz powinien wykorzystać posiadany materiał do ostatnich granic i wysnuć, tak dalece jak to jest możliwe, logiczne i poprawne wnioski. Produkt takiej pracy będzie, oczywiście, niedoskonały, albowiem „tak krótkie kraje jak mu materii staje“.

Rocznik określa dochód narodowy na 1, mieszkańca Polski na 650—680 dolarów rocznie. Byłby to poważny dochód (dorównujący dochodowi Włoch), gdyby podano w przekonujący sposób, od czego i jak go obliczono, chociaż nikły w porównaniu z Ameryką, gdzie dochód narodowy wynosi ponad 2,500 dolarów rocznie. Rząd Polski „ludowej“ wypłaca emerytom i za przekazy PKO 72 złote za dolara. Jest to kurs wymiany odpowiadający w przybliżeniu wartości i sile nabywczej złotego, chociaż nieco poniżej parytetu albowiem przy wymianie część dolarów „władza ludowa“ przywłaszcza sobie. Niemniej jednak można ten kurs przyjąć jako miarodajny przy porównaniach statystycznych i wyciąganiu ekonomicznych wniosków. Z drugiej strony, aby mieć możliwość oszukiwania na wymianie pieniędzy przy każdej nadarzającej się sposobności istnieje kilka kursów złotego a między nimi kurs tzw. „złotego dewizowego“, według którego dolar jest równy 4 złotym. Zdaje się, że dochód narodowy został obliczony według tego kursu, czyli fałszywie podany w statystyce jako 18 razy większy niż jest w rzeczywistości. Wniosek ten wypływa stąd, że wszystkie inne obliczenia, zestawienia i porównania, dotyczące międzynarodowych stosunków gospodarczych, podane są w Roczniku według kursu „złotego dewizowego“.

Jeżeli tak jest polski dochód narodowy wynosi 35-38 dolarów na głowę ludności rocznie, czyli jest niższy od najuboższych krajów gospodarczo nierozwiniętych w Azji i Afryce, gdzie najniższy dochód narodowy wynosi 40 dolarów. Jest to perspektywa przerażająca.

Z dochodem narodowym mają duży związek płace i zarobki ludności. Według Rocznika przeciętne płace wszystkich kategorii pracowników w Polsce wynosiły w 1965 r. 24,072 zł. obiegowe (brutto) rocznie, czyli 334 dolary według kursu 72 zł. za dolara. Przyjmując, że dochód narodowy na głowę ludności był wtedy 35-38 dolarów, okazuje się, że płace i zarobki były 9-krotnie wyższe niż dochód narodowy. W W. Brytanii, gdzie w tym czasie płace były bardzo wygórowane w stosunku do dochodu narodowego (świadczą o tym pożyczki zagraniczne na cele konsumpcyjne) stosunek ten wynosił tylko 1 do 2. Normalnie stosunek ten jest mniejszy. Z drugiej strony, przyjmując niewiarygodny dochód narodowy 650-680 dolarów na mieszkańca rocznie

okaże się, że dochód narodowy był dwukrotnie większy niż płace i zarobki, co jest również absurdalne i absolutnie niemożliwe, albowiem dochód narodowy przypada na wszystkich mieszkańców kraju, a zarobki tylko na tych, którzy pracują, tj. na ludzi zdrowych oraz dorosłych i będących w sile wieku. Przeliczenie zarobków według kursu „złotego dewizowego“ również nie miało by sensu, gdyż zarobki nie byłyby zgodne z materialną rzeczywistością. Wypadałoby bowiem, że w 1965 r. przeciętne płace w Polsce wynosiły 6 tys. dolarów rocznie, czyli były dwukrotnie wyższe niż przeciętne zarobki robotników brytyjskich.

Z powyższego wynika, że jeżeli chodzi zarówno o dochód narodowy jak i płace. Rocznik podaje fałszywe dane statystyczne, wyrażające się w niezmienne wygórowanych cyfrach, przy czym autorzy jego nie zadali sobie trudu ułożenia tych danych w granicach teoretycznych i praktycznych możliwości ekonomicznych, aby stworzyć choćby pozory prawdopodobieństwa. To samo dotyczy produkcji i spożycia zboża w Polsce.

Oczywiście, nawet gdyby przeciętne płace rzeczywiście wynosiły około 334 dolarów rocznie byłyby one przerażająco niskie. W W. Brytanii przeciętne zarobki robotników wynoszą obecnie około 3 tys. dolarów rocznie i jest ona pod tym względem na 8-mym miejscu w skali światowej. Fakt, że są one napewno dużo niższe wywołuje uczucie troski i beznadziejności, owiane ciężką melancholią.

* * *

Ciężar budownictwa mieszkaniowego jest stopniowo przerzucany na barki osób prywatnych. Już w 1965 r. na 132 tys. mieszkań wybudowanych przez państwo osoby prywatne wybudowały 41 tysięcy. Według ostatnich obliczeń Głównego Urzędu Statystycznego w 1966 r. państwo wybudowało 77.500 mieszkań, a osoby prywatne aż 98.500. Według planu „perspektywistycznego“ budownictwo państwowe całkowicie ustanie. Państwo oczywiście udziela osobom prywatnym pomocy przy budowie domów, zarówno finansowej (udzielanie pożyczek) jak i moralnej.

Z gospodarczego punktu widzenia jest to tendencja zdrowa i praktyczna, albowiem budownictwo prywatne jest tańsze, lepsze i szybsze, a ponadto ludzie dbają o swoje budynki oraz utrzymują je tanim kosztem w należytym porządku i w stanie używalności. Po-

*) Rocznik polityczny i gospodarczy 1966. Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne. Stron 967.

nadto jeżeli chodzi o sprawiedliwość społeczną, nie bez znaczenia jest fakt, że inni ludzie nie muszą płacić (w postaci podatków) częściowo komorne za tych, którzy mieszkają w domach państwowych.

Obecnie w Anglii istnieje wprost katastrofalna sytuacja w tym względzie. Wskutek represyjnej i wstecznej w stosunku do prywatnych właścicieli domów polityki rządu, budownictwo prywatne prawie zupełnie ustało, a kosztowne i nieudolne budownictwo i administracja samorządowa (biurokracja) nie mogą zaspokoić potrzeb rynku mieszkaniowego.

W związku z tym w Polsce od maja 1965 r. tylko osoby zarabiające nie więcej niż 800 zł. miesięcznie (dotąd górna granica była 1.500 zł.) będą mogły mieszkać w domach państwowych. Więcej zarabiający muszą znaleźć sobie mieszkania w domach prywatnych i płacić za nie wysokie komorne według cen wolnego rynku mieszkaniowego, albowiem w Polsce nie ma ustawy o ochronie lokatorów. Jest to słuszną polityką mieszkaniową, albowiem gdyby ustawowo ograniczono dochody właścicieli domów, ludzie przestaliby budować domy i wskutek tego nie byłoby gdzie mieszkać.

Jednocześnie podwyższono komorne w domach państwowych, które obecnie wynosi od 2,10 zł. do 4,25 zł. za 1 metr kwadratowy powierzchni użytkowej mieszkania. Przy tych stawkach za jeden pokój średniej wielkości z używalnością kuchni, łazienki, ustępu itp. czynsz wynosi od 50 do 100 zł miesięcznie. Na nasze warunki jest to bardzo tanio. Powstaje tylko kwestia, skąd wezmą tych kilka szylingów na zapłatę nawet tego komornego ci, którzy zarabiają około 15 szylingów tygodniowo, a zwłaszcza ci, którzy z braku mieszkań w domach państwowych muszą płacić wysokie komorne w domach prywatnych. Nawet dla najlepiej zarabiających komorne w domach prywatnych jest rujnujące.

Powstaje też pytanie, skąd ludzie, nawet najlepiej uposażeni, przy tak niskich zarobkach mają pieniądze na masową budowę bardzo kosztownych domów. Odpowiedź na to jest jasna i nie budząca wątpliwości. Pieniądze pochodzą z masowej i nagminnej kradzieży „mienia społecznego“. Z pieniędzy tych są budowane całe dzielnice, powszechnie zwane „złodziejówkami“. Nawet Rocznik nie pominął tego problemu, ubolewając, że „średnia przestępczość gospodarcza“ (zagarnięcia mienia społecznego wartości od 5 tys. do 50 tys. zł.) jest stosunkowo duża. Statystycznie wyraża się ona liczbą około 4 tys. skazań rocznie. Rocznik nie podaje ilości wyroków skazujących za

kradzież mienia wartości powyżej 50 tys. i poniżej 5 tys. złotych. Nie podaje też Rocznik (bo nie mógł tego podać) ile faktycznie popełniono „przestępstw gospodarczych“, które nie zostały ujawnione. Ilość ich musi być fantastyczna, albowiem gdy wszyscy od góry do dołu kradną, nie ma komu złapać złodzieja. Nawet Rocznik nie zataja tego oczywistego faktu, stwierdzając, że kradzieże „przybierają szczególnie szkodliwy charakter w wypadku zaboru mienia społecznego przez zorganizowane grupy przestępcze (afery)“.

W warunkach „państwa socjalistycznego“ należy jednak uznać te olbrzymie kradzieże za zjawisko podatne. Złodzieje budują za skradzione pieniądze domy, a bolszewicy zmarnowaliby je.

Pozostaje jednak pytanie bez odpowiedzi, jak mogą żyć ludzie najmniej zarabiający, którzy nie mają dostępu do „mienia społecznego“. Np. motorowy tramwaj, lub robotnik kopiący rowy nie może nic ukraść, ale w jakiś przedziwny sposób żyje.

Propaganda bolszewicka od zarania istnienia „państw socjalistycznych“ przechwala się do znudzenia swymi osiągnięciami na polu ubezpieczeń społecznych. Z treści jej naiwny i nie znający świata mógłby zrozumieć, że przedtem nigdy i nigdzie ubezpieczeń społecznych nie było i że nie ma widoków, aby państwa „kapitalistyczne“ mogły je kiedykolwiek wprowadzić.

W gruncie rzeczy nawet obecnie ubezpieczenia społeczne w Polsce niewiele się różnią od przedwojennych, z tą tylko zasadniczą różnicą, że przed wojną składki ubezpieczeniowe płacili wyłącznie pracodawcy i państwo częściowo pokrywało koszty leczenia ubezpieczonych, a obecnie płacą je wyłącznie pracownicy, przy czym państwo „socjalistyczne“ zarabia na tym interesie. Np. w 1965 r. ściągnięto 32,1 miliarda złotych składek ubezpieczeniowych, a wydano na ubezpieczenia społeczne 30,8 miliarda, czyli państwo przywłaszczyło sobie pieniądze społeczne na sumę 1 miliard 300 tysięcy złotych.

W dalszym ciągu ubezpieczenie nie jest powszechne, albowiem ludność wiejska i zarabiający na życie prywatnie, lub z tych czy innych powodów nie pracujący, nie są ubezpieczeni. Ponadto zakres ubezpieczenia tych, co są ubezpieczeni jest bardzo wąski, gdyż nie obejmuje dużo świadczeń, do których już przywykliśmy w krajach „kapitalistycznych“.

Na tle powyższego Rocznik pisze z dumą i entuzjastycznie o ustawie z marca 1965 r., wprowadzającej ubezpieczenie społeczne rzemieślników, jak gdyby było to nigdzie nieznane dobrodziejstwo „państwa socjalistycznego.“

W myśl tej ustawy rzemieślnicy otrzymują „bezpłatne“ leczenie, reBOIC starczą, inwalidzką i rodzinną oraz zasiłek pogrzebowy. Nie otrzymują zasiłków chorobowych, połogowych, rodzinnych i wiele innych, które są wypłacane w krajach „kapitalistycznych“. Muszą płacić w pełni za lekarstwa i środki opatrunkowe. Ponadto ubezpieczenie rzemieślników opiera się również na samowystarczalności w tym sensie, że całość wypłacanych świadczeń musi być pokryta przez składki ubezpieczonych. W praktyce oczywiście państwo „socjalistyczne“, tak samo jak w wypadku ubezpieczenia innych pracowników, na tym zarobi. Wobec takiego stanu rzeczy lepiej byłoby dla „ubezpieczonych“ gdyby „ubezpieczeń społecznych“ w ogóle nie było, a tylko przymus wpłacania składek na P.K.O., która zachowałaby nienaruszony kapitał i płaciłaby od niego procenty, aby ludzie mogli mieć swoje nieuszczerplone i powiększone o odsetki pieniądze w razie nieprzewidzianej potrzeby.

Wiedząc jak dużo państwa „kapitalistyczne“ dodają pieniędzy, stanowiących własność publiczną, do ubezpieczeń społecznych nie można uniknąć wniosku, że państwo „socjalistyczne“, które zarabia na tym interesie, jest narzędziem bezlitosnego i haniebnego wyzysku szarego człowieka.

Autorzy Rocznika nie są zadowoleni z obecnego systemu planowania i melancholijnie stwierdzają, że trudno stworzyć doskonały system, albowiem gospodarka to żywy, zmienny organizm. Mimo to we wszystkich zestawieniach statystycznych dane liczbowe z wieloletnich planów traktują jak gdyby były już one wykonane, a co najmniej była absolutna pewność, że będą dokładnie wykonane. W dodatku planuje się nawet to, co absolutnie nie nadaje się do planowania, jak np. produkcję rolną, która w wysokim stopniu zależy od nie dających się z góry przewidzieć warunków atmosferycznych, epidemii wśród zwierząt domowych itp. Rozwój nauki, literatury i sztuki itp. jest również planowany, jak gdyby można było produkować według planów Einsteinów, Mickiewiczów i Matejków.

Zdaje się, że ten bezsens jest wynikiem studiowania i traktowania poważnie doktryny Marksa. Nasycenie bowiem umysłów tą doktryną rodzi podświadome poczucie i wewnętrzne przekonanie, że jeżeli Marks był prorokiem może nim być również każdy marksista. Obojętną jest rzeczą, że większość prorocत्व Marksa nie sprawdziła się i dużo nie sprawdzi się. Nie ma też znaczenia, że ich prorocтва mogą również się nie sprawdzić. Wystarczy, że się czuje, iż się jest prorokiem. Jest to obsesja o patologicznym wydziewku.

Tak urobione umysły nie mogą zrozumieć, że nawet przy najlepszym systemie planowania Polska obecnie nie może wyprodukować więcej niż 20.000 tysięcy samochodów rocznie, a Ameryka bez żadnego planowania może załatwić wypuścić na rynek ponad 20 milionów. Chodzi tylko o to, aby byli na nie nabywcy.

Na tle ogólnego entuzjazmu, zadowolenia i przechwałek Rocznik zawiera więcej biadań i utyskiwań, że nie wszystko jest doskonałe w „raju socjalistycznym”. Dotychczas nie stworzono dobrego systemu ustalania cen fabrycznych i detalicznych. Wskutek tego tak bardzo reklamowany „motyw zysku” stanowi puste słowa, albowiem „obecne rozwiązania, chociaż wprowadzają szereg zmian na lepsze i porządkują wiele problemów cenowych, nie atakują jednak bezpośrednio kluczowej sprawy cen — ich zgodności z „prawem wartości”. Jedynym „rozwiązaniem” byłoby wprowadzenie wolnego rynku, na którym w wyniku podaży i popytu ceny ustalają się same przez się zgodnie z wartością towarów. Byłoby to jednak „rozwiązanie” według systemu „kapitalistycznego” na co chyba państwo „socjalistyczne” nie pójdzie. Z drugiej strony teoria wartości Marksa, według której produkt jest tyle warty, ile włożono w niego pracy, jest zbyt absurdalna, aby mogła mieć praktyczne zastosowanie, albowiem nawet dziecko wie, że można długo nad czymś pracować i stworzyć rzecz bezwartościową, podczas gdy są tacy, którzy przy minimalnym nakładzie pracy tworzą arcydzieła o ogromnej wartości pieniężnej. W tej beznadziejnej sytuacji nie pozostaje nic innego jak nadal wyznaczać ceny według systemu biurokratycznego, czyli na chybił trafił.

Do 1965 r. zagraniczna wymiana towarów między krajami „socjalistycznymi” odbywała się według cen określanych dowolnie. Obecnie stosuje się ceny „obowiązujące na głównych rynkach światowych w ostatnich 4-5 latach”, które odzwierciedlają istotną wartość towarów. W związku z tym powstaje kwestia jakie ceny będą stosowane w obrocie zagranicznym jeżeli według prorocтва Marksa zwycięski komunizm opanuje cały świat. Trudno nie będąc prorokiem dać na to konkretną i zadawalającą odpowiedź: może nastąpi nawrót do systemu sprzed 1965 r., przy czym wskutek uczestniczenia w tym bałaganie setek państw „socjalistycznych” powstanie jeszcze większy chaos; może bałagan będzie tak wielki, że nastąpi zgodnie z przepowiednią innych proroków koniec świata; a może zgodnie z proroctwem Marksa wraz z towarem zniknie pań-

stwo, a mimo to świat dalej będzie ja-koś istniał? Kto wie?

Potępionym przez Marksa „fetyszizmem towarowym” nie przejmują się władcy Polski. Wręcz przeciwnie produkcję towarową wysuwają na czoło zagadnień gospodarczych, a przede wszystkim czynione są wysiłki, aby produkcja rolna stała się bardziej towarowa niż jest obecnie.

W ostatnich czasach oprocentowano „środki trwałe” przedsiębiorstw. Posunięcie to Rocznik uzasadnia zgodnie z klasyczną teorią ekonomii „kapitalistycznej”, sięgającej czasów gdy Kalwin pozwolił pobierać procenty od pożyczek na zakładanie i prowadzenie przedsiębiorstw. Rocznik dosłownie powtarza argumentację Kalwina stwierdzając, że „wprowadzenie oprocentowania środków trwałych wywodzi się z prostej zasady ekonomicznej, że ten kto użytkuje cudzą własność i osiąga w ten sposób korzyści materialne powinien oddać część otrzymanej korzyści właścicielowi”.

Rozumowanie to aczkolwiek nieoryginalne, niemniej jednak jest prawidłowe i słuszne, jako oparte na logicznych przesłankach, przy czym świadczy o tym, że bolszewicy stopniowo otrzásają się z mentalności średniowiecznych scholastyków i Ojców Kościoła, wyrażającej się w przeświadczeniu, że pobieranie odsetek jest grzechem śmiertelnym. Niekonsekwencją tkwi tylko w tym, że państwo „ludowe” jako jedyny i wyłączny właściciel przedsiębiorstw przemysłowych bierze procenty od samego siebie, przekładając pieniądze z jednej kieszeni do drugiej.

Jest to oczywiście fikcja, bo z czego zaplacać odsetki tak liczne przedsiębiorstwa deficytowe, lub te które z trudem wiążą koniec z końcem. W krajach „kapitalistycznych” takie przedsiębiorstwa bankrutują i tym samym przekazują środki produkcji tym, którzy potrafią prowadzić gospodarkę z zyskiem. Według „socjalistycznego” systemu gospodarczego takie rozwiązanie jest niedopuszczalne, a nawet nie do pomyślenia. Zresztą nie wiadomo, które przedsiębiorstwa są opłacalne, a które deficytowe, albowiem fikcyjny „rachunek gospodarczy” nie odzwierciedla istotnego stanu rzeczy. Innymi słowy właściciel ubrania nie wie, które kieszenie zawierają pieniądze, a które są puste, aby mógł się bawić w świadome przekładanie z jednych do drugich.

Dużo więcej można wyluskać z prawie 1.000-stronicowego Rocznika niedomagań, niekonsekwencji, sprzeczności i zgoła absurdów gospodarki „socjalistycznej” w Polsce. Dość jest w nim wody i drętwej mowy. Najbardziej przynębiająco działa, jednak wyzieraająca z jego kart straszna nędza ludności i

świadomość, że nie ma widoków na poprawę jej sytuacji materialnej. Nie można bowiem spodziewać się poprawy na lepsze dopóki umysły rządzących Polską „ludową” nie uwolnią się całkowicie uszytego na modłę Lenina marksistowskiego kaftana bezpieczeństwa i nie odzyskają swobody ruchów.

Drugim, równie ważnym, warunkiem poprawy sytuacji zarówno pod względem materialnym jak i moralnym jest wyleczenie się z typowo bolszewickiej choroby psychicznej patologicznego kłamstwa, nawet wtedy gdy oczywiste i namacalne fakty absolutnie uniemożliwiają ukrycie prawdy. Na zdrowy rozum, jakaż może być korzyść z tego, że statystyka podaje duży dochód narodowy, którego nie ma. Przecież wskutek tego fałszu dochód narodowy nie wzrośnie. Wartość propagandowa tego jest minimalna, albowiem mądrych w ten sposób się nie przekona, a z dalszego oglupiania głupich nie może być żadnej korzyści.

Z drugiej strony fałsze te uniemożliwiają badania zagadnień gospodarczych i rzetelną pracę ekonomistów zarówno na polu teoretycznym jak i praktycznym, co walcie się przyczynia do stagnacji procesów ekonomicznych, a nawet do pogorszenia się sytuacji gospodarczej. Słowem, nie istnieją przesłanki, z których można byłoby wywnioskować gdzie tkwi zło i jakie należałoby zastosować środki zaradcze.

Aleksander Stambrowski

N O W O Ś Ć !

Kazimierz Sosnkowski MATERIAŁY HISTORYCZNE

Autor, jedna z czołowych postaci naszego życia wojskowego i politycznego przed r. 1939 i w czasie ostatniej wojny, znany najszerzszemu ogółowi polskiemu w Kraju i na emigracji.

Tom „Materiały” jest zbiorem rozkazów, wypowiedzi politycznych i wojskowych, artykułów i wywiadów z okresu wojennego i powojennego, poprzedzonym zarysem biograficznym ujętym w formie artykułu encyklopedycznego.

Stron 720.

Oprawa płócienna

Cena: 63/-; \$ 9.00; F. 45.00

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.
20, Queen's Gate Terrace,
London, S.W. 7

i we wszystkich księgarniach polskich

JAK TO BYŁO POD NARVIKIEM

Zamieszczamy poniżej dalszy ciąg szkicu o wyprawie norweskiej, którego druk rozpoczęliśmy w poprzednim numerze.

Wreszcie 8 maja pododdziały brygady zostały wylądowane częściowo w Harstad, głównym porcie na Lofotach, przy bombardowaniach niemieckich z powietrza, częściowo zaś w Salangen, skąd pododdziały 2-ej półbrygady i IV batalion rozwieziono kutrami norweskimi wzdłuż brzegów Sagfjord.

Ze względu na konieczność zabezpieczenia rejonów przed akcją nieprzyjaciela, zwłaszcza spadochroniarzy niemieckich, pododdziały brygady na skutek rozkazów dowództwa sprzymierzonych zostały rozrzucone na przestrzeni 60 do 70 km. Pododdziały te po osiągnięciu marszem pieszym wyznaczonych im rejonów przystąpiły do wykonywania swych zadań ubezpieczenia oraz akcji rozpoznawczej patrolami, które wymagały od żołnierzy dużego wysiłku fizycznego, zwłaszcza, że większość ich po raz pierwszy chodziła po górach. Ponadto białe noce wpływały ujemnie na samopoczucie żołnierza, który czuł się stale zmęczony i niewyspany.

Stan liczebny brygady w dniu 9 maja wynosił: 191 oficerów (w tym 11 ofic. franc.), 45 aspirantów, 755 podoficerów (w tym 13 franc.) oraz 3.882 szeregowców (w tym 73 franc.). Razem — 4.873 ludzi.

NATARCIE NA BJERKVIK I DZIAŁANIA WSTĘPNE

Celem operacji w rejonie Narviku było opanowanie miasta i kolei aż do granicy szwedzkiej, w razie konieczności zaś opanowanie siłą kopalni rudy w Gällivare w Szwecji, posiadanie których było głównym celem wszystkich operacji w Skandynawii (Winston Churchill — „The second Wold War — Vol. I, str. 569).

W związku z zajmowaniem podstaw wyjściowych do natarcia na Narvik II. batalion Strzelców Podhalańskich miał wykonać w dniu 13 maja natarcie od zachodu na Bjerkvik przy współdziałaniu z 13-tą półbrygadą legii cudzoziemskiej i 6-tą brygadą norweską, działającymi desantem od strony Herjansfjordu wprost na Bjerkvik i od północy. Batalion ten wykonał w 16-tu godzinach marsz po trasie 19 km. w linii powietrznej, najcięższym bezdrożem po urwistych i ostrych krawędziach, brnąc w półmetrowej warstwie

topniejącego śniegu. Dodajmy do tego, że żołnierze musieli nieść na swych barkach nie tylko ciężką broń maszynową i moździerze, wraz z dużą ilością amunicji do nich, lecz także całą zawartość taboru bojowego, a więc sprzęt sanitarny, kuchenny, a nawet zapas żywności, co było połączone z niesłychaną udręką ludzi. Pomimo to batalion ten przybył na skrzydło nieprzyjaciela zagrażając jego tyłom o dwie godziny wcześniej niż było przewidziane, czym ułatwił frontowe natarcie od strony fiordu. Oddziały niemieckie po zaciętym oporze zmuszone zostały do wycofania się w góry, położone na wschód i południowy wschód od rejonu Bjerkvik i Meby. II. batalion Strzelców Podhalańskich kompletnie wyczerpany przeszedł do odvodu 13-tej półbrygady legii cudzoziemskiej zyskując za swój wyczyn pisemne uznanie tegoż do wódcy. Batalion ten został następnie przerzucony na kilkunastu kutrach rybackich do miejscowości Skoerviken, celem zlurowania angielskich oddziałów na półwyspie Ankenes, dokąd przybył o godz. 4.00 dnia 16 maja.

1-szej półbrygady Strzelców Podhalańskich. Obrona więc grzbietu górskiego Ankenasfj przesłała całkowicie do rąk polskich.

Walki zaczepno-obronne w okresie od 17 do 22 maja dla uchwycenia i utrzymania przez II. baon Strzelców Podhalańskich pozycji na grzbiecie Ankenesfj na południowym brzegu Bejsfjordu i zaatakowania m. Ankenes, a następnie uderzenia przez Beisfjord na Sildvik, aby odciąć odwrót npl i dążyć do zagrożenia jego tyłów obitowały w heroiczne czyny żołnierskie pełne bezgranicznego poświęcenia, uporu i brawury w warunkach terenowych jak najtrudniejszych jak np. 30-godzinna dramatyczna walka wysuniętego do przodu plutonu por. C. Szaszkiewicza w rejonie bezimiennego wzniesienia, nazwanego „wzgórzem Szaszkiewicza“.

BITWA O PÓŁWYSEP NARVIK

Dowódcą wojsk niemieckich, które walczyły w północnej Norwegii był gen. por. J. Dietl, osobisty przyjaciel Hitlera, dowódca 3-ej dywizji górskiej. W rejonie Narviku walczyły oddziały



Dnia 17 maja przybył tu również kutrami I. batalion Strzelców Podhalańskich, który po zlurowaniu 12-go baonu Strzelców Ałpejskich nawiązał natychmiast styczność z nieprzyjacielem i rozpoczął rozpoznawanie jego stanowisk. Zaczęło się długie — dziesięciodniowe działanie wstępne, w czasie którego przygotowywano się do natarcia na Narvik.

Dowódcą wszystkich wojsk alianckich na półwyspie Ankenes — rozkazem dowództwa Lekkiej Dywizji został wyznaczony pik. dypl. B. Cłusewicz, dowódca

139 pułku strzelców górskich, których żołnierze rekrutowali się przeważnie z aktywu nazistowskiej młodzieży z Tyrolu i z południowej Bawarii, z samych górali, którzy po całkowitym przeszkoleniu w Alpach brali udział w walkach górskich w Tatrach, w kampanii wrześniowej 1939 r. i zaliczali się do wyobrowych oddziałów Rzeszy. Pod względem wyszkolenia przewyższali oni bezprzecnie i to znacznie, żołnierza polskiej brygady, podczas gdy nasz żołnierz górował swoją bojowością, inicjacja (Ciąg dalszy na str. 26)

tywą, sprytem i poświęceniem. Pozycje niemieckie na półwyspach Narvik i Ankenes były organizowane i umacniane od 6-ciu tygodni i naszpikowane wszelkiego rodzaju środkami ogniowymi. Ponadto stosowali oni rozmaite chwytły propagandowe, aby osłabić psychicznie zdolności naszej brygady do walki jak np. fałszywe komunikaty radiowe, rozrzucanie rozmaitej treści podłych i kłamliwych ulotek, wywieszanie na widocznych miejscach transparentów w skażonym języku polskim, wzywających naszych żołnierzy do porzucenia broni i poddawania się. Posługiwali się też w szerokiej mierze akcją dywersantów i siecią służby informacyjnej.

W nocy z 22 na 23 maja sztab brygady strzelców podhalańskich otrzymał rozkaz operacyjny dowódcy lekkiej dywizji, gen. Bethourt, do natarcia na Narvik, według którego Samodzielną Brygadą Strzelców Podhalańskich miała wykonać uderzenie pomocnicze, celem zdobycia półwyspu Ankenes, wiązania nieprzyjaciela w tym rejonie, następnie odcięcia drogi jego odwrotu do Szwecji przez opanowanie rejonu m. Beisfjord i wzgórz w rejonie Sildvik. Uderzenie główne z półwyspu Oijord na Narvik miała wykonać 13-ta półbrygada Legii Cudzoziemskiej, wzmocniona batalionem norweskim i 39-tym plutonem czołgów, przy wsparciu ogniem 2-go samodzielnego dywizjonu artylerii kolonialnej. Zadaniem jej było przeprawić się przez fiord Rombaken, zdobyć przyczółek między miejscowościami Orneset i Fornesneset, zdobycie miasta Narvik, okrążając je od zachodu i południa, wreszcie pościg za Niemcami przez m. Beisfjord na Sildvik i dalej ku granicy szwedzkiej.

Ubezpieczenie północnego skrzydła przypadło 14-mu baonowi Strzelców Alpejskich. Odwód dywizji stanowiły 6 i 12 bataliony Strzelców Alpejskich oraz III. baon Strzelców Podhalańskich. Wsparcie natarcie miała artyleria floty, artyleria francuska (jedna bateria artylerii kolonialnej), lotnictwo myśliwskie zaś osłaniać działania.

Natarcie miało rozpocząć się w nocy z 24 na 25 maja, godz. 24.00. Termin ten jednak został przesunięty o 24 godziny, tj. w nocy z 25 na 26 maja, wreszcie na godz. 24.00 z 27 na 28 maja. W międzyczasie oddziały brygady przeprowadzały działania rozpoznawcze.

Dnia 25 maja wieczorem został wysłany oddział rozpoznawczy w sile jednej kompanii tj. 1-ej kompanii III. batalionu wzmocnionej sekcją motocyklistów, drużyną ciężkich karabinów maszynowych, francuskim plutonem zwiadowców-narciarzy oraz patrolami łączności i sanitarnymi na tyły nieprzyjaciela w kierunku na Hunddalen, dolinami, celem rozpoznania nieprzyjaciela

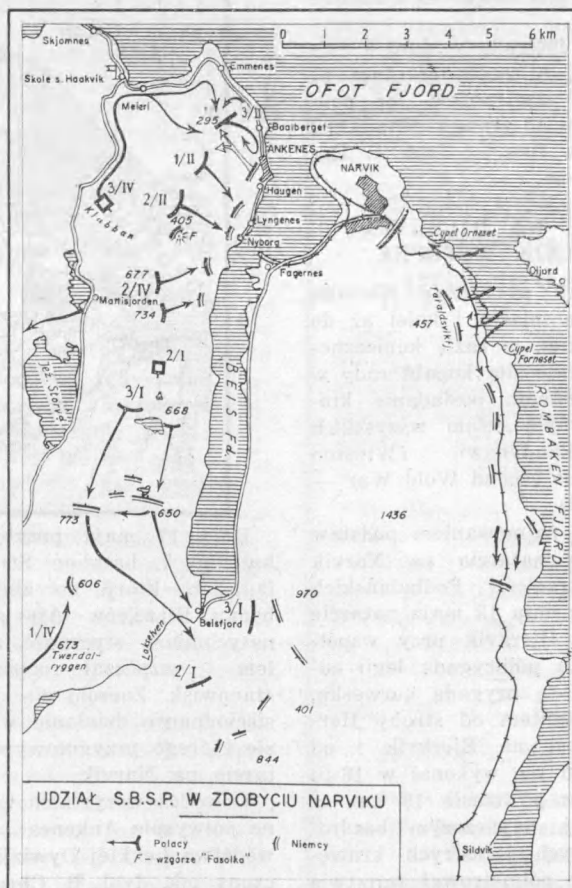
od południa oraz zagrożenia jego tyłom z dążeniem do przerwania lub utrudnienia jego łączności ze Szwecją oraz nie dopuszczenia do przenikania drobnych oddziałów i patroli na południe. Oddział ten jednak w połowie drogi w dniu 27 maja otrzymał rozkaz wycofania się z doliny Skamdalen i przeprawy się następnie do Skjoerviken.

Pozatem na rozkaz dowódcy Brygady Podhalańskiej wysłany został oddział rozpoznawczy, w sile jednej kompanii tj. 1-ej komp. IV batalionu w góry na 20 godzin przed rozpoczęciem natarcia z zadaniem skrytego obejścia pozycji niemieckich od południa i uderzenia z rejonu wzgórza 673 na skrzydło i tyły nieprzyjaciela w kierunku wzgórza 606, by utrudnić mu wycofanie się sprzed odcinka nacierającego naszego I batalionu. Oddział ten wyruszył dnia 27 maja o godz. 14.00 i po blisko 10-cio-godzinny uciążliwym marszu osiągnął rejon wzgórza Lacsfoslet tj. 3,5 km. na południe od jeziora Storvd.

Kiedy już wszystkie elementy do natarcia były przygotowane, w dniu 25 maja admirał Cork and Correy zapoznał gen. Bethourt z depeszą z Londynu z dnia 24 maja, zarządzającą niezwłoczną ewakuację korpusu ekspedycyjnego z Norwegii, a to w związku z krytyczną sytuacją, jaka się wytworzyła na froncie zachodnim i w Norwegii. Dnia 22 maja bowiem port Mo odległy

300 km. w linii powietrznej od Narviku został zajęty przez wojska niemieckie, które po opanowaniu rejonu Namnos posuwały się przeciętną szybkością około 20 km. na dobę w kierunku Narviku. Holandia już skapitulowała. Sytuacja w Belgii oraz w północnej Francji była w tym czasie już bardzo ciężka. Armia brytyjska została zepchnięta z terenu Europy i zbliżał się upadek Dunkierki. W rejonie Bodø w Norwegii przygotowywała się do skoku na północ niemiecka 2-ga dyw. strzelców górskich gen. Auerbacha wsparta silną grupą czołgów; na przeszkodzie stał jedynie ciężki teren pustkowią wysokogórskiego, położonego na północ od Bodø. Do Narviku mogła ona nadejść około 10 czerwca. W depezy tej podano kolejność ewakuacji poszczególnych elementów korpusu ekspedycyjnego z końcową klauzulą, że „ewakuacja całego sprzętu, wszystkich pojazdów i magazynów zajęłaby oczywiście zbyt wiele czasu“, co oznaczało po prostu ich pozostawienie, zniszczenie lub zatopienie w morzu. Depesza z Londynu kończyła się zdaniem: „Rząd norweski nie został jeszcze powiadomiony; jak najściślejśza tajemnica powinna być zachowana“. (Minister spraw zagran. rządu norweskiego został poinformowany o zarządzonej ewakuacji w dn. 1 czerwca).

Gen. Bethourt po półgodzinnym namyśle zameldował jednak admirałowi



swe postanowienie natarcia i odrzucenia wprzód Niemców w głąb kraju, przed ewakuacją, na co admirał przyrzekł mu swoje wsparcie.

27 maja o godz. 23.40 artyleria okrętowa z trzech krążowników i pięciu niszczycieli oraz artyleria lądowa rozpoczęły artyleryjskie przygotowanie do natarcia niszcząc kompletnie umocnienia niemieckie na północnym cyplu półwyspu Narvik oraz na południowym brzegu fiordu Rombaken. O godz. 0.01 dnia 28 maja oddziały 1-ej Lekkiej Dywizji Strzelców ruszyły do natarcia. Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich nacierała w dwu rozbieżnych kierunkach, a to: II batalion i część IV na rejon Ankenes i Nyborg, zaś I batalion (dca mjr. dypl. Wacław Kobylński) w kierunku Beisfiord-Sildvik; III batalion prowadził stałe, intensywne rozpoznanie oraz ubezpieczał składy intendentury. Francuska Legia Cudzoziemska i oddziały norweskie nacierały na półwysep narvicki. Zacięte walki obfitujące w dramatyczne i bohaterskie epizody trwały jednym ciągiem przez 36 godzin.

Podczas gdy na lewym skrzydle nacierająca na miejscowość Ankenes 3 kompania II batalionu zaskoczona morderczym ogniem zaporowym niemieckiej artylerii, moździerzy i karabinów maszynowych poniosła duże straty i musiała wycofać się w kierunku na Emmenes, obsada punktu obserwacyjnego na wzgórzu 295 prowadziła bohaterską, nierówną walkę z dobrze uzbrojonym nieprzyjacielem, który wykonał przeciwnatarcie w kierunku tego wzgórza i po zadaniu bolesnych strat naszej obsadzie opanował go, zaś nacierająca 1-a kompania II-go batalionu zaskoczona ogniem z kierunku zachodniego i z rejonu wzgórza 295 zwolniła tempo posuwania się do przodu i w końcu przeszła do obrony, rażona przy tym bombami lotniczymi i zagrożona od tyłu pożarem lasu, 2-a komp. II batalionu wsparta ogniem 2-ej komp. IV batalionu kontynuowała natarcie w kierunku na Nyborg i już o godz. 09.15 dnia 28 maja osiągnęła południowy brzeg Beisfiordu naprzeciw Fagernes. Placówki obu tych kompanij panując ogniem nad główną przeprawą nieprzyjaciela na północny brzeg Beisfiordu, kiedy Niemcy na kilku barkach odpłynęli na znaczną odległość od brzegu, zaskoczyły ich gwałtownym ogniem z ciężkich i ręcznych karabinów maszynowych, zatapiając dwie barki załadowane kilkudziesięcioma ludźmi i sprzętem.

Natarcie I batalionu przy bardzo wydatnym wsparciu artylerii francuskiej i należyтым wykorzystaniu ognia własnych moździerzy i karabinów maszynowych rozwijało się normalnie, 1-a komp. (dca por. Roman Utnicki) tego

batalionu o godz. 18.00 dnia 28 maja zdobyła szturmem wzgórze Skantura 650, a następnie o godzinie 21.30 zostało zdobyte wzgórze 773 przez 3-ą kompanię i 1 pluton z 1-ej kompanii I batalionu. Całe natarcie na przestrzeni 3—4 km. trwało 21 godzin.

Współdziałająca z natarciem I batalionu 1-a komp. IV baonu po 3-godzinym natarciu opanowała wzgórze 606, czym ułatwiła zdobycie wzg. 773 przez 3-ą komp. I baonu.

W dniu 29 maja w godzinach popołudniowych kompanie I baonu opanowały miejscowość Beisfiord. Nieprzyjaciel wycofał się w kierunku na Sildvik i Hunddalen.

Na lewym skrzydle natarcia Samodzielnej Brygady Strz. Podhalańskich 3-a komp. IV baonu opanowała o godz. 02.00 dnia 29 maja wzgórze 295. Również w godzinach rannych tegoż dnia Ankenes i Narvik znalazły się w rękach sprzymierzonych.

Niemcy walczyli dzielnie broniąc uparcie swych stanowisk. Mimo swej dzielności oraz pomocy sprzymierzeńca, jakim był teren, a także mimo silnego wsparcia lotniczego, zostali oni wyparci ze wszystkich stanowisk, będących naprzeciw Polaków. Podobnie działo się na odcinku Legii Cudzoziemskiej, w której służyło około 10% Polaków i na odcinku Norwegów. Pobite oddziały Dietla w największej panice i w nieładzie wycofały się około 20 km. w linii powietrznej ku granicy szwedzkiej osiągając nowe stanowiska obronne wśród lodowców i wysokich maszynów górskich blisko tejże granicy.

Oddziały sprzymierzonych osiągnęły nakazane przedmioty natarcia do południa dnia 30 maja. Wzięto do niewoli sporo niemieckich jeńców. Wszystkich rannych żołnierzy brygady wywieziono do W. Brytanii. Bezpośrednio po bitwie o Narvik o godz. 21.30 dnia 30 maja, na skromnym cmentarzu wiejskim obok osady Meieri pochowano wszystkich zabitych żołnierzy brygady we wspólnej bratniej mogile, na której postawiono brzozy krzyż z podhalańską kapliczką i wrytym na niej wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej oraz napisem: „Żołnierzom polskim, poległym pod Ankenes — koleczy“. Mszę św. żałobną odprawił kapłan 1-ej półbrygady kpt. ks. Józef Król (poległ w 1944 r. we Włoszech, spalony żywcem w katastrofie przy starcie samolotu, na którym leciał do Kraju). W pogrzebie wzięła gromadny udział miejscowa ludność wraz ze swoim kapłanem.

Straty polskie wynosiły 2 oficerów i 72 szeregowych zabitych, 132 rannych i 16 zaginionych (według danych, uży-

skanych od b. szefa sanitarnego ppłk. dra T. Pasiecznego). Nieprzyjaciel stracił w pasie natarcia polskich oddziałów 190 zabitych, w tym około 60 zatopionych i 60 poległych przed odcinkiem 2-ej kompanii kpt. Andrzeja Stańczyka z II batalionu pod dtwem ppłk. dypl. Władysława Deca i 2-ej kompanii kpt. Bolesława Kudelskiego IV batalionu pod dtwem mjr. Arnolda Jaskowskiego.

Dnia 30 maja oraz w ciągu następnych kilku dni samoloty niemieckie przeprowadziły ciężkie bombardowania Narviku, który w białej nocy polarnej płonął jak pochodnia i uległ kompletnemu zniszczeniu.

Zgodnie z rozkazem dowódcy 1 Lekkiej Dywizji Strzelców generała Bethourt i dowódcy Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich generała Szyszko-Bohusza I batalion Strzelców Podhalańskich rozpoczął o godz. 00.00 dnia 30 maja dalsze natarcie w kierunku wzgórza Sildvik 788. Natarcie to utrudniała gęsta mgła i śnieżyca. W działaniu tym I batalion osiągnął ostatecznie wzgórza 844, 776 i 971 na wschód i północny wschód od m. Beisfiord. W czasie wydawania rozkazów I. baonowi do dalszego natarcia w kierunku na Sildvik w dniu 31 maja o godz. 23.30 dowódca 1-ej półbrygady Strzelców Podhalańskich płk. dypl. B. Chłusewicz otrzymał ze sztabu brygady telefoniczne zarządzenie przerwania dalszych działań zaczepnych, co było w związku z nakazaną już ogólną ewakuacją oddziałów z Norwegii. Kompanie I. baonu zostały na swoich stanowiskach, dowódca zaś IV baonu major Arnold Jaskowski obsadził jedną kompanią grzbiet Skantura-Hesteff i nawiązał łączność z 13-ą półbrygadą Legii Cudzoziemskiej.

W dniu 31 maja na prośbę dowódcy tejsze 13-ej półbrygady, skierowaną do dowódcy Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich i na rozkaz tegoż dowódcy I baon Strz. Podhal. przeprowadził natarcie w kierunku wzgórza 618 i wypad w kierunku wzgórza 635, w wyniku czego linia własnych placówek wysunięta została na wzgórze 660 i do rejonu na południe od wzgórza 635 około 15 km. w linii powietrznej od granicy szwedzkiej. Dnia 1 czerwca zaś Oddziały Legii Cudzoziemskiej wsparte ogniem artylerii opanowały rejon Klubnes, wzgórze 657 na południowy zachód od Klubnes. Było to ostatnie natarcie na terenie Norwegii.

I batalion Strzelców Podhalańskich otrzymał zadanie osłony ewakuacji pododdziałów brygady z rejonu półwyspu Ankenes.

(Dokończenie w następnym numerze)

Władysław Witrylak

Różnice poglądów

Ustrój demokratyczny pozwala na swobodne głoszenie różnych poglądów, dotyczących polityki państwa. Umożliwia też publiczne wypowiadanie się obywateli na wszystkie tematy związane z życiem społecznym. W systemie demokratycznym ludzie mogą oficjalnie krytykować rząd i prowadzić agitację w celu zastąpienia go innym, lepszym, bez uciekania się do konspiracji lub gwałtów. Choć rządzi większość, mniejszość o odmiennych poglądach ma zapewnione prawo istnienia i działania.

Różnice zdań między ludźmi są wynikiem wychowania, wykształcenia i otoczenia. Niektórzy twierdzą, że dziedziczy się je po przodkach razem z innymi genami. Wynikiem różnych poglądów jest dyskusja i polemika. W ścieraniu się przeciwieństw rodzi się często prawda. W polemice wyrabia się indywidualność, kształtuje umysł i tworzy zdrowa opinia publiczna, która wpływa na rząd. O ile chodzi o różnice w poglądach politycznych to mają one inne jeszcze źródła. Wypływają z poznania różnych systemów rządzenia oraz oceny programów ruchów politycznych i ich praktycznego działania. Często mogą też być następstwem ignorancji, uprzedzeń i nieznajomości rzeczy.

Ustroje państw przeszły w czasie znanych nam dziejów wiele zmian. Po przez despotyzm, absolutyzm, monarchie konstytucyjne, oligarchie, plutokracje do dyktatury i demokracji. To pobieżne wyliczenie nie wyczerpuje oczywiście wszystkich form ustrojowych. Daje jednak pojęcie co już było. Nie wiemy, tylko, co nastąpi później, gdyż odezwały się już głosy, iż system demokratyczny przeżył się i nie spełnia dziś dobrze swego zadania. Nie możemy jednak odrzucić form demokratycznych, dopóki nie zostanie wytworzony inny, lepszy sposób rządzenia państwami.

RUCHY POLITYCZNE

Nieodzownym instrumentem działania demokracji i publicznego wyrażania różnych poglądów są, jak dotychczas, stronnictwa polityczne. Możemy je lubić lub nie. Możemy je zwalczać lub popierać. Nie możemy ich jednak ignorować. Brak ruchów ideowych i polemiki programowej prowadzi w konsekwencji do upadku systemu demokratycznego i utraty wolności obywatelskich. Dlatego tzw. szary człowiek powinien mieć pewne minimum wyrobienia politycznego i orientować się w grze czynników, które wpływają decydująco na bieg życia narodu i państwa. Obywatele winni interesować się zagadnieniami po-

litycznymi, popierać tę partię, która ich zdaniem najlepiej spełni swoje zadanie. Nie znaczy to, iż każdy członek społeczności musi należeć do stronnictwa. Wystarczy, by miał pojęcie o ich programie i udzielał poparcia tej partii, która jego zdaniem najbardziej nada się do rządzenia, oraz wyraził swoje zdanie w chwilach ważnych dla państwa, to jest w powszechnych wyborach. Są one dzisiaj zasadniczym sposobem wypowiedzenia się obywateli na temat formy rządów, przyszłości narodu i kierunku polityki państwa. Nie możemy, niestety, powrócić do pierwotnej, bezpośredniej formy demokracji. Była ona praktykowana w starożytnej Grecji, gdzie miasta-państwa z ludnością około 10 tys. rządzone były przez wszystkich obywateli. Ważne decyzje pobierano większością głosów mężczyzn, gdyż kobiety, dzieci i niewolnicy byli z tego przywileju wyłączeni. Dziś, gdy państwa liczą po kilka, kilkadziesiąt a nawet kilkaset milionów, sposób pobierania zasadniczych uchwał musi siłą rzeczy być inny. Stąd potrzeba ruchów politycznych, które formułują i głoszą różne programy, powszechne wybory i wola większości, decydująca o losach społeczności.

Polacy są, niestety, narodem politycznie niewyrobionym. 150-letnia niewola nie sprzyjała rozwojowi myśli politycznej. Decydowano o nas bez nas. Głos zasadniczy mieli zaborcy i w ich rękach były losy Polski. Niepodległość trwała zbyt krótko, by nadrobić stracony czas i uświadomić szerokie rzesze obywateli o istocie ustroju demokratycznego. Skutek jest taki, że 95% rodaków na emigracji zapytanych o poglądy, odpowiada, iż są apolityczni i apartyjni. Z drugiej strony widać jednak powszechne zainteresowanie losami kraju i przeszłością. Objawia się to w ten sposób, że każdy Polak ma bardzo dużo do powiedzenia w sprawach politycznych. Wystarczy wspomnieć jakieś wydarzenie z naszych dziejów, by posypały się obfite komentarze na ten temat. Czy chodzi o czasy rozbiorów, czy też bliższą nam przeszłość, jak np. wypadki majowe, śmierć gen. Sikorskiego, każdy rodak wie doskonale, jakie były przyczyny tych wydarzeń, zna ich sprawców i środki zaradcze. Dziwnie brzmią te apodyktyczne osądy i bezapelacyjne twierdzenia słyszane od osób apolitycznych i apartyjnych. Polityka podobnie jak inne dziedziny życia społecznego wymaga pewnego przygotowania, przeszkolenia. Nie można być ekspertem od spraw politycznych będąc apolitycznym. By zrozumieć zasady gry politycznej

i podstawy systemu demokratycznego musi się interesować zagadnieniami politycznymi i brać udział w miarę możliwości w życiu politycznym. Tylko wtedy można mówić o pełnej demokracji i ścieraniu się poglądów. Pozostawienie tych spraw w rękach zawodowych polityków, lub polityków apolitycznych nie wyjdzie na dobre ani im, ani narodom, którymi rządzą.

GRANICE RÓŻNIC

Różnice poglądów na kwestie polityki państwowej nie mogą jednak wychodzić poza pewne dopuszczalne ramy. Odmienny punkt widzenia na każdy temat i każdą okoliczność zniszczyłoby podstawy organizacji społeczeństw. Życie zbiorowe stałoby się koszmarem. W polemice z przeciwnikami ważny jest też sposób ich krytykowania. W publicznej wymianie poglądów atakować się powinno punkt widzenia oponenta, a nie jego osobę. Argument w rodzaju „kto nie myśli tak jak ja — jest kretynem, oszustem i w ogóle podejrzany osobnikiem — nie jest ścieraniem się poglądów, lecz napaścią i anarchią.

W ustroju demokratycznym musi też istnieć pewna więź, łącząca wszystkich obywateli i wszystkie ugrupowania. Siły odśrodkowe podziału na różne poglądy muszą być mniejsze niż siła dośrodkowa — wspólne dobro ojczyzny. Inaczej ani system demokratyczny ani kraj się nie ostoł. Czasy wolnej elekcji i liberum veto w przedrozbiorowej Polsce są doskonałym tego przykładem. Z zagadnieniem różnicy zdań i polemiki łączy się inny jeszcze aspekt. Ostatnio dużo się mówi i pisze o tolerancji zarówno religijnej jak i politycznej. Tolerancja to dopuszczenie do głosu przeciwnego punktu widzenia i wzięcie go pod rozwagę. Można o niej mówić, oczywiście, tylko wtedy, gdy istnieją różne zdania. Obojętne wzruszenie ramion na dyskutowane zagadnienie nie jest tolerancją, lecz indyferentyzmem. Indyferentyzm w polityce prowadzi do zaniku demokracji.

Jak dotychczas najlepszym rozwiązaniem jest system demokratyczny, ścieranie się poglądów i podporządkowanie woli większości. I choć nie jest on idealny, to jednak daje praktyczne możliwości rządzenia państwem i zapewnienia wolności obywatelską. Kraj, który nie podporządkuje się większości, wcześniej czy później popadnie w anarchię, stanie się dyktaturą jednostki lub partii.

Ustrój demokratyczny nie jest na pewno ostateczną formą rządów. Przyszłość przyniesie niewątpliwie nowe zasady organizacji państwowej, które lepiej odpowiadać będą wymogom czasów.

Nurty polskiego życia kulturalnego

Podniósłszy głowę z ponad drobiazgowych rejestrów codziennych wydarzeń, trzeba coraz dalej sięgać okiem, aby znaleźć nad odległym horyzontem miejsce, na którym można zatrzymać spojrzenie na chwilę wytchnienia. Tak jest przede wszystkim w naszym życiu literackim. Nie mogąc się zdobyć na należyte uczczenie rocznicy Sienkiewiczowskiej zadowolić się musieliśmy, pożytecznym zresztą, przeglądem dorobku polskich pisarzy z odległej Ameryki Łacińskiej.

Znów z zamorskich zasobów zaczerpnięto siły w wypadku gościnnego odczytu seniora polskich historyków literatury, krytyków i komparatystów — Zygmunta Lubicz Zaleskiego. Mimo już przekroczonej osiemdziesiątki z wigorem i swadą, na które żaden z młodszych nie byłby w stanie się zdobyć, mówił o swym bogatym, chlubnym i nieraz tragicznym, ale zawsze twórczym życiu. Mówił ze świadomością — jak sam wyznał — że może mówić po raz ostatni, nie więc dziwnego, że w tym co powiedział brzmiał ton testamentu. Mocno brzmiała nuta wiary w powołanie emigracji, w etyczne walory walki ideowej o wolność, i jasno brzmiało przypomnienie, że jednak Polska jest nad Wisłą (z domyślnym „nie tu“). A Polska jest dla nas też za morzem.

Wszystkich przedstawicieli rzetelnej kultury polskiej z tego „za morza“ zwykliśmy witać jak najserdeczniej. Przed paru miesiącami, w osobie prof. Bogdana Zakrzewskiego z Wrocławia mieliśmy powołanego rzecznika sprawy Sienkiewiczowskiej, który pozwolił literatom na emigracji wyprzedzić, ale w zamkniętym gronie, inne obchody jubileuszowe Pana Henryka. Zdawało się, że przyjazd prof. Józefa Krzyżanowskiego, uważanego za największego znawcę Sienkiewicza, do Anglii, był sposobnością jedną, jeśli z powodu jego wieku nie ostatnią, do urzędzenia z należytych blaskiem obchodu zalegającego od listopada ubiegłego roku. Niestety nadzieje pozostały płonne. Szcześliwszy od nas był Oxford, Nottingham czy Glasgow. Trudno rozstrzygnąć, czy zabrakło należytej inicjatywy, czy też na przeszkodzie stanęły „anioły opiekuńcze“, czy wreszcie nie mogło przyjść w sukurs Towarzystwo Polsko-Angielskie, jako neutralne miejsce spotkań. Podobnie żałować należy, że nie udało się wyzyskać sposobności do podzielenia się z nami swym ostatnim dorobkiem naukowym przez prof. Władysława Stankiewicza z Vancouveru, który w tym samym mniej więcej czasie objechał kilka angielskich miast uniwersyteckich na zaproszenie tamtejszych zakładów naukowych.

Tak czy inaczej, wizyty gości i ich ożywiona działalność, zdaje się coraz bardziej przesłaniać poczynania (lub brak pocynań) gospodarzy polskich. Dlatego trzeba co najmniej przypomnieć, że lada chwila powinna by się pojawić przygotowana przez prof. dra W. Guenthera monografia zbiorowa pt. „Sienkiewicz Żywy“, z którego grona autorów dawno można byłoby urządzić obchód Sienkiewiczowski, byle nie gonić za nieuchwytnymi „gwiazdoram“.

Stosunek starszych do młodszych i vice-versa przechodził już tutaj po wojnie kilka etapów. Była nieufność, separacja, obojętność i były odstępstwa i nawroty. Aż doszło do ustalenia się pewnego modus vivendi. Dzięki Polskiemu Ośrodkowi Społeczno-Kulturalnemu w Londynie, młodzi uzyskali swą niezależną siedzibę. W „Dzienniku“ swą osobną kolumnę pn. „Kontury“ co dwa tygodnie. Od czasu do czasu pojawia się „Merkuriusz“. Młodzi stali się samowystarczalnymi organizacyjnie. Mają, według zrozumiałej taryfy ulgowej dostęp do takich związków starszych, jak Związek Pisarzy, Związek Dziennikarzy czy ZASP., ale największe i najżywsze ich skupienie jest w łączącej starszych z młodszymi Polskiej YMCA.

Doskonałą okazję do wejrzenia w stosunek starszych i młodszych dało zebranie urządzone przez Związek Pisarzy, a właściwie przez najmłodszego członka jego Zarządu, w formie dyskusji między członkami zespołu „Konturów“ a „Starszymi“ (pod dowcipnym) przewodnictwem red. Karola Zbyszewskiego, który od pewnego czasu nadaje mini-ton naszej mini-prasie codziennej. Barwne grono młodych miłośników prasy i literatury, złożone z pedagogów, aktorek, handlowców, itp. Nikt z obecnych na tym wieczorze nie zdobył się na okrucieństwo, aby powiedzieć młodym jasno, że „król jest goły“, czyli że nasza opinia publiczna chodzi bez właściwego przyodziewka dziennikarskiego. Że jeden dziennik, zdający sobie sprawę ze swych skromnych możliwości, nie stanowi prasy codziennej, a kilka periodyków tygodniowych czy miesięcznych stanowi niewiele szersze pole do popisu publicystycznego czy literackiego. Padły więc w dyskusji ogólne opinie, że można tu mówić co

najwyżej o hobby lub amatorstwie. B.D.M.C młodzi dawali silny wyraz ograniczonym możliwościom pisania, jakie stoją przed nimi. I tu trzeba postawić kropkę nad i: jakkolwiek dziennikarstwo, jak i pisarstwo, należy do tzw. zawodów otwartych, to jednak aby się do nich dostać trzeba albo przejść terminatorstwo w rzetelnej prasie, albo otrzymać odpowiednie wykształcenie wyższe, co w Anglii można uczynić bądź na wyższej uczelni, bądź tylko w pismach angielskich i w niejednym piśmie angielskim mamy lub mieliśmy polskich dziennikarzy. Warunkom wykształcenia pisarskiego i pisania do prasy angielskiej odpowiadał z dyskutujących tylko jeden Krzysztof Rowiński. Reszta zespołu składała się z miłych, pełnych zapału, miłośników dziennikarstwa polskiego. I przynależność do tego czy innego związku nie w tej sytuacji nie zmieni. W zakresie pisarstwa starsi młodym nie wiele mogą pomóc, bo sobie samym nie mogą nic pociesającego poradzić, chyba, że należą do ciasnej grupy wybranych, ale to już inna sprawa, na inną okoliczność.

„ŻOŁNIERZ“ HOCHHUTHA

Tymczasem rozpalila się na łamach całej prasy tuziemskiej sprawa, koło której trudno Polakowi przejść obojętnie. Sztuka „Żołnierze“ Niemca Rolf Hochhutha została zdjęta z repertuaru angielskiego Teatru Narodowego z tego powodu, że zawierała m.in. zarzut odpowiedzialności W. Churchilla za katastrofę Gibraltarską, w której zginął gen. W. Sikorski. Nie sposób tutaj wchodzić w spór administracyjny między Radą artystyczną teatru i jej dyрекcją. Natomiast pewnym jest, że nie po raz pierwszy przedstawiciele polskiej wojskowości i dyplomacji wypowiadali się w tej sprawie i ostatnio gen. M. Kukiel udzielał informacji dziennikarzom angielskim. Według opinii polskiej, zgodnej bodaj ze stanowiskiem Victora Zorzy, śledztwo ani nie potwierdziło, ani nie wykluczyło możliwości sabotażu, natomiast Churchill jest wolny od odpowiedzialności za tę śmierć.

Nie od strony politycznej, ale od teatralnej można spojrzeć na tę sprawę. Gdyby autor niemiecki chciał przedstawić brytyjskiego bohatera od strony jego dążeń dogodzenia rosyjskiemu sojusznikowi, to miałby dużo mocniejsze argumenty, gdyby sięgnął do wcześniejszych pism politycznych Churchilla, w których wypowiadał się on przeciw stanowisku polskiemu w sprawie granic na wschodzie, a za tzw. Linią Curzona, bodaj wtedy, kiedy nawet bolszewicy z Leninem na czele nie kwestionowali jeszcze linii granicznej wytyczonej w

(Dokończenie na str. 30)

Dochoǳą mnie słuhy (to bardzo ładne stařopolskie powiedzenie) o nadzwyczajnej wprost energii, jaka z natchnienia zbawidowo - paksowskiego, ogarnęła „Polonię Wielkobytryjską”. Z urywków wiadomości gazetowych, z szeptanego „czy słyſzał Pan?” z powaſznego kiwania głowami nad małą (wystygłą) czarną wylania się przed mymi strwoſzonymi oczami obraz groźnej infiltracji...

Urywki prasowe są pochodzenia warszawskiego, bo innych nie miewam teraz w ręku, słowa szeptane wciekają w moje uszy z okazji przygodnego spotkania u rybiarza na Turnham Green lub u „Adamsa” (który w zasadzie nazywał się Barszcz, później Grzesik a wſpółcześnie Brodziński) z okazji zamawiania całotygodniowych „groceries”. A także przy pobieraniu benzyny na stacji obsługi popierającej koncern Shella, który to koncern ja z kolei popieram nie tylko z uwagi na doskonałość jego produktów lecz także z uwagi na znaczki „Green Shields”, które, gdy ich uzbierasz odpowiednią ilość pozwolą twojej żonie kupić „mixer”. Podobno jeśli będziesz kupował Shella przez dwa tysiące lat nabzieraszn znaczków tyle, że starczy na zakup futra z gronostajów.

Ale nie o gronostajach chciałem mówić, tylko o infiltracji. A więc do dzieła, jako że „zwalczanie i przeciwstawianie się” jest dziełem a nie zwykłym sobie, ot takim, na codzień zajęcim.

GROŹNY OBRAZ CAŁKOWITEGO TRIUMFU

W tym właśnie sek. Żeby to było, ot także sobie zwykłe codzienne zajęcie, może z tym przeciwstawianiem się byłoby lepiej. Z „dziełem” jest natomiast gorzej. Bo dzieło zamiast cierpliwiej codziennej dłubaniny wymaga zrywu, wymaga konferencji, wymaga planowania na długą metę, wymaga co najmniej „biura studiów”.

Taki sobie zwykły człowieczek co się rano melduje z łopatą na robotę wie od czego zacząć i wie kiedy skończyć. Kopie sobie dziurę w ziemi, albo zasypuje dziurę, którą wczoraj wykopał i już po wszystkim, już swoje zrobił. Albo urzędniczna licha przychodzi rano do swego urzędu pocztowego czy jakiego tam, siada, wzdycha i nuże rażno sprzedawać znaczki na listy, stemplować co jest polecione, wypłacać,

Traktacie Ryskim. Wiemy, jak działając po wiodącej do uznania linii Curzona, lub czegoś do niej zbliſzonego, doszło się nie do katastrofy jednego samolotu, lecz do oddania w niewolę, czy odebrania możliwości swobodnego decydowania o sobie całemu narodowi, czyli do jego moralnego zabójstwa. Rzecz jasna, że wprowadzenie momentu zabójstwa daje u słuchacza wydźwięk znacznie bardziej dramatyczny i sensacyjny, niż jakieś dialektyczne uzasadnienie oddania narodu sojuszniczego w niewolę jego wschodniego sąsiada. Teatr wymaga skrótów symbolicznych, interpretacja ich należy do wyobraźni widza. I tu powstaje pytanie, czy przekonywające będą dla widza motywy, jakimi kierował się autor niemiecki, wprowadzając tego rodzaju skrót, czy był do tego uprawniony?

J. Ostr.

MIĘDZY PŁOTKĄ I A NEGDOTĄ

inkasować. I tyle tego. I już po wszystkim. Takim to dobrze. Z ich kopania i z ich dłubania nie powstaje nic nadzwyczajnego ale powstaje coś co jest bardzo potrzebne. Mało tego, powstaje coś o czym można powiedzieć bez przesady, że funkcjonuje.

Natomiast „dzieło”... O, to zupełnie co innego. Dzieło musi albo być wielkie albo żadne. Albo da w wyniku ogromny sukces albo nic nikomu po nim. Jak powiedziałem, wymaga zrywu. Trudno się zrywać codziennie i co godzinę. Więc zamiast tego „zrywamy się do dzieła” raz na sześć tygodni. Albo raz na osiem. Z dłuższymi oczywiście przerwami w okresie wakacyjnym, lub gdy ważniejszy jeszcze zryw powoduje nas na ważniejszą od zapowiedzianej (przed ośmioma tygodniami) konferencję.

Otóż dzieło walki z infiltracją wtedy się spełni, gdy za jednym zamachem, raz na zawsze, teſże infiltracji się pozbedzimy. Uchwalimy coś tak ogromnie mądrego (coś tak potężnego, że infiltracja weźmie ogon pod siebie i czmychnie skąd przyszła, zamiast się nam pętać pod nogami raz tu raz tam, a właściwie wszędzie).

Takie dzieło, i tylko takie, natchnie nasze piersi zasłużoną dumą i być może przyozdobi w jeszcze jedną oznakę pamiętkową.

Tylko jak tego dokonać, by dzieło powstać mogło? Trudna sprawa.

Pocieszmy się. Początek już jest. Podobno w „biurze studiów” już ktoś przeczytał „Trybunę Ludu” z przed sześciu tygodni jako wstęp do zgłębienia zamiarów przeciwnika. „Położenie npla” to przecież najważniejszy punkt rozkazodawstwa wojkowego.

ZART NA STRONĘ...

Nie wolno mi właściwie napisać takiego tytułiku. Bo niby co z sobą i z „plotkami” poczęć, gdy się żart na stronę weźmie? Przecież wszystko co piszę jest żartem, a jeśli nim nie jest to być nim powinno.

Ponieważ jednak jak dotychczas nie plotkarskie żarty ale mnie na stronę wzięto, więc zaryzykuję. Pozostawiam ten tytułik i przydługi pod nim wstępik, po to by powiedzieć co mam do powiedzenia.

Nie będzie to wesołe. Ani nie zabawne. Mówi się dziś dużo o „policentryzmie” o „polaryzacji” o „likwidacji monolitu”, odnosząc te przemądre słowa do degrengolady, w którą popadł świat komunistyczny. Słuszne słowa, wymarżona degrengolada. Ale nawet skłócony wewnętrznie, policentryczny, sześćo-ośrodkowy, po rumuńsku niezależny — komunizm zupełnie wystarczy na to, by się żyć odechciało. Nieobecność Rumunii na konferencji w Karlowych Warach nie wynagrodzi faktu, że społeczność polska w Wielkiej Brytanii daje się jak stado baranów wlatzać w ramy „Polonii Wielkobytryjskiej”.

Dlaczego tak się dzieje? Dużo o tym pisano, dużo mówiono. Wymieniano przy-

czyny różne i trafne, obok zupełnie głupich i nieprawdziwych.

Ja, odrzuciwszy żart na stronę, wymienię tylko jedną. Na imię jej nuda. Znudziło się ludziom na każde zapytanie słyszeć tę samą odpowiedź. Zamiast wyjaśnienia sytuacji i wszelkich jej szczegółów dowiadywać, że się „nic się nie zmieniło” ani w celach emigracji, ani w położeniu Kraju, ani w naszych obowiązkach, ani w naszych nadziejach. A gdy się ktoś kimś znuǳi, to przestaje na niego zwracać uwagę.

Kto ponosi winę za to, że coś złego dzieje się z nastrojami wśród Polaków w Anglii? Odpowiedzcie sobie sami panowie przywódcy, panowie dziennikarze, panowie działacze społeczni.

SZCZYPTA SOLI

Posypawszy sobie głowy popiołem, posypmy teraz solą panikarskie wieści o skutkach infiltracji. Juści, z „Życia Warszawy” wynika, że tłum nieprzebrany Polaków słuſza z rozdziawioną gębą każdego zbawidowego objawienia.

Wcale tak nie jest. Bo nawet ten co słuſza z ciekawości, ot, tak jako otrutki na nudę, jeszcze się w niczyje szeregi nie wpisał i żadnych szeregów nie porzucił. Może dlatego, że „bujać to my a nie nas”. Może dlatego, że wbrew pogładowi działaczy emigracyjnych i działaczy „polonijnych” — „Polacy nie gęsi i swój rozum mają”. Mają go tu, mają go i w Kraju i wiele jeszcze farby drukarskiej przepłynę przez walce, zanim Polak da się urobić na niepolskie podobieństwo.

Czyja w tym zasługa, że nie jest tak źle z nastrojami wśród Polaków w Anglii jak się zdaje zmartwionym z naszej i uradowanym z tamtej strony? Odpowiedzcie sobie sami panowie przywódcy, panowie dziennikarze, panowie działacze społeczni.

Z INNEJ BECZKI

Nie o inną beczkę soli chodzi.

Chodzi o dar wielki, którym dobry Bóg nie każdego uszczęśliwił. O dar odpoczynania.

Im dalej człowiek w lata zajǳie tym trudniej się bez tego daru obyć. I tym więcej cierpi.

Piszą dziś ludzie po obu stronach Atlantyku, i nie tylko po angielsku lecz i w innych pośledniejszych językach, czego to trzeba dokonać, by się nauczyć (i innych nauczyć) pożytecznego spędzania czasu wolnego od pracy. Jest go rzekomo coraz więcej. Tak to na pewno wygląda na papierze w statystykach, które jak wiadomo służą do oglupiania tych ludzi, którzy z natury głupimi nie są. (Kto głupi z natury temu statystyka nie potrzebna). Rzekomo coraz mniej godzin pracy, coraz więcej pieniędzy i coraz więcej czasu, z którym nie wiadomo co robić.

A jakże. Niechby się uczone statystyki przypatrzyły jak to naprawdę wygląda. Skrócony dzień pracy oplacasz dłuższym wyczekiwaniem na światłach, zanim do domu z pracy dojeǳiesz. Gdy tak sobie stoisz ze dwadzieścia minut tuż za fabryką, na Battersea Bridge na przykład, w oparach spalin i z kurczem w łydece od naciskania sprzęgła, to przestajesz się radować z krótszego dnia pracy.

Niemniej, tak czy owak, kiedyś wreszcie dorywasz się do tego czasu wolnego i zaczynasz odpoczywać. Nie każdemu się udaje. Przeszkód jest więcej niż się zdaje.

(Dokończenie obok)

STEFAN LEGEŻYŃSKI

WIELKI UCZONY

Jan Czekanowski to nazwisko, które znane jest wśród antropologów całego świata. Przyczyną tego faktu jest, że nie tylko był on uczonym tej specjalności, a antropologów nie brakuje, ale wprowadził do tej nauki zasady statystyczno-matematyczne, które były przełomem w metodyce tej nauki, i tworzą początek szeroko znanej w świecie, tzw. lwowskiej szkoły antropologicznej.

Kiedy na kilka lat przed drugą wojną światową znalazłem się na lwowskim uniwersytecie, jednym z moich profesorów był Jan Czekanowski, który objął katedrę antropologii łącznie z drugą, etnologią, w roku 1913, na lwowskim uniwersytecie, i piastował ją do 1944 roku.

Znałem kilka nazwisk uczonych tego uniwersytetu znacznie wcześniej, że wymienię Romera, Artcowskiego, Nankego, Grabskiego, Longchamps de Berier — który był moim wujem, no i Czekanowskiego.

Wrażenie, kiedy zobaczyłem Czekanowskiego na jego pierwszym wykładzie, było mocne. Wysoki blondyn, mówił o sprawach specjalności (antropologia i statystyka) jasno, od czasu do czasu rzucając jakieś krótkie wspomnienie ze swego bujnego życia, które miało siłę anegdoty i zawsze celną poetę. Studia uniwersyteckie przy takim profesorze traciły swą ciężkość jaką

przecież mają, a nabierały nowych, atrakcyjnych walorów. Ale cały kunszt profesora ujawniał się dopiero przy egzaminach, które składały się z krótkich pytań, a na nie trzeba było odpowiadać błyskawicznie, i granica między dobrym a niedostatecznym stopniem była bardzo bliska. Studenti (i studentki, które go uwielbiały) gdy wychodzili z jego gabinetu, gdzie egzaminował, mieli zwykle wypieki na twarzy, i nie wiedzieli jaki im stopień przypadł w darze, a był on ważny. Stopień bardzo dobry czy dobry mógł zdecydować o stypendium, stopień niedostateczny to zdawanie po raz drugi, za co się płaciło kilka złotych, a o te złote studentowi nie było tak łatwo.

Był to więc człowiek olbrzymiej inteligencji co nie zawsze można powiedzieć o wszystkich profesorach wyższych uczelni i czaru osobistego, a również i dyplomata, co się okazało w czasach przełomowych, choćby wojny 1939 roku.

Jan Czekanowski urodził się w październiku 1882 roku, w Głuchowie pow. Grójec. Uczęszczał do gimnazjum św. Wojciecha w Warszawie, a następnie w Libawie, gdzie też w r. 1901 uzyskał maturę. Studia wyższe w zakresie antropologii odbył w latach 1902-1906 w Zurychu, gdzie otrzymał stopień doktora filozofii.

Zostaje asystentem w dziale dla Afryki i Oceanii przy Muzeum Sztuki Ludowej w Berlinie, a jednocześnie jako stypendysta bierze udział w ekspedycji naukowej księcia Adolfa Meklemburskiego, do Afryki środkowej w obszarze między Nilem a Kongiem. Wyniki tych badań z lat 1907-1909, opublikował Czekanowski w 5-cio tomowym dziele pt.: Forschungen im Nil-Kongo Zwischengebiet (Lipsk 1917-1927), wносиły one tyle nowego i cennego materiału do nauki światowej, że otworzyło mu to drogę do późniejszej świetnej kariery naukowej.

Od roku 1909 do 1913 jest kustoszem Muzeum Antropologii i Etnografii Akademii Nauk w Petersburgu. Senat Uniwersytetu Lwowskiego zaprasza go do objęcia katedry po Stanisławie Ciszewskim. Powołano go na stanowisko profesora nadzwyczajnego bez habilitacji, na podstawie zasług naukowych. Było to wyróżnienie.

W r. 1916 Rada Wydziału i Senat Akademicki mianują go profesorem zwyczajnym.

Lata lwowskie to najpiękniejszy okres życia tego wielkiego uczonego i wychowawcy. Do „szkoły lwowskiej“

należą m.in. tacy antropologowie jak ks. Bolesław Rosiński, Stanisław Klimek, Żejmo-Żejmis i inni. Większość tych ludzi znam, znaczna część ich żyje. Klimek poległ na czele batalionu w bitwie pod Umiastowem, Żejmis został zamęczony w Oświęcimiu.

W tych latach publikuje Czekanowski dzieła o charakterze zasadniczym: „Wstęp do historii Słowian“ (1927-57), „Zarys antropologii Polski“ (1930), „Człowiek w czasie i przestrzeni“ (1934, 1937), „Człowiek, jego rasy i życie“ (1939), „Zarys metod statystycznych w zastosowaniu do antropologii“ (1913).

Organizował życie naukowe. Członek Polskiego Tow. Przyrodników im. Kopernika, Polsk. Tow. Ludoznawczego, Tow. Naukowego we Lwowie i

(Dokończenie na str. 34)

Na przykład telewizja. Kto powiedział, że przed piekielnym ekranem można odpocząć? To ciężka robota! Nie tylko wyczerpuje nerwy, ale męczy ci kark i oczy, i inne części ciała. Siedzisz dobrowolnie w przykurczu, na który byś się za żadne skarby nie zgodził, gdyby ci kazano w tej pozycji pracować. Nerwy ci szarpie wyzwanie, że wreszcie coś się na tym ekranie przydarzy na co warto popatrzeć. Na szczęście telewizja nie wyczerpuje ci umysłu.

Stanowczo, telewizja rozprawiła się na dobre z wypoczynkiem ludzkim. Czekanie nie jest wypoczynkiem. A ty siedzisz i czekasz. Nawet gdy ci powiedziano „dobranoc“ i zapowiedziano burzę koło Rockal a dobrą widzialność na wysokości Heligolandu, czekam dalej. Nawet gdy na ekranie zostaje maleńki punkcik, który ucieka gdzieś w głąb piekielnej maszyny, ciągle czekam w nadziei, że może coś z niego ciekawego wyskoczy.

Nie wyskoczyło.

Można czytać... Ano można. Można pójść do teatru. Można i to; wszystko można tylko się niczego nie chce.

Więc z westchnieniem technokratyczny(?) człowiek dwudziestego wieku idzie spać, zażywając przed tym odpowiednią dawkę pigułek. Na trawienie, na nerwy, na ciśnienie, na wątrobę i na sen. Idzie spać, zasypia ciężkim snem niesprawiedliwego i budzi się o czwartej rano. Suchy jak wiór i cholernie zmęczony.

Czego nikomu, nawet wrogowi nie życzę, z doświadczenia własnego słowa te piszący, z „Orłem“ na zasadzie udzielonej obietnicy w ciągu dalszym lecz w odmienny sposób współpracujący

„The same good old“

J. P. H.

BILETY

KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street

Tel. MID 1526

ROZKWIĆ współczesnej filozofii polskiej przypadł na okres niepodległego 20-lecia między wojnami. Ale dopiero teraz, po drugiej wojnie, świat poza Polską może swobodnie korzystać z jego dojrzałych owoców. Są one dziełem grona wybitnych uczonych, których prace odbiły się głośnym echem w zagranicznych kołach fachowych, ale nie docierały do szerokich rzesz czytającej inteligencji zachodniej, gdyż w ujęciu książkowym były pisane w języku polskim, który nie miał i nie ma nadal zasięgu światowego. O docieraniu tej myśli na wschód nie mogło być w ogóle mowy. Wyjątek w tym względzie, o ile idzie o zachód, stanowiła praca najmłodszego z grona tych, którzy złożyli się na ten świetny okres, mianowicie książka o „Dziele literackim” pisana przez Romana Ingardena w języku niemieckim.

Dzieła innych wybitnych filozofów polskich zaczęły się ukazywać na zachodzie, a i — powoli — na wschodzie, dopiero po drugiej wojnie światowej. Jednym z pierwszych zwiastunów były wydane najpierw w Anglii, a potem w Ameryce „Granice Nauki”, wraz z innymi rozprawami Leona Chwistka. Podobnie zbiór rozpraw Alfreda Tarskiego. Potem przyszła książka o rewolucyjnym znaczeniu Jana Łukasiewicza o Syllogistyce Arystotelesa, która doczekała się w Anglii kilku wydań. W dziedzinie historii filozofii zjawily się prace O.I.J. Bocheńskiego i dr Z.J. Jordana.

W ostatnich czasach zaczęły się ukazywać książki Tadeusza Kotarbińskiego w przekładzie angielskim Olgierda Wojtasiewicza. O pierwszej z nich „Traktacie o dobrej robocie”, powstałej w ciągu 20-lecia, ale dopiero po wojnie ostatecznie wykończonej, była już mowa na tych łamach. Stała się ona na długi czas jednym z najoryginalniejszych wkładów do filozofii polskiej i obcej okresu powojennego. „Traktat o dobrej robocie” przełożony został na język angielski pt. „Prakseology — Introduction to Science of efficient action” (Patrz „Orzeł Biały”, Marzec 1966 r., str. 35-37).

Po rocznej przerwie przyszła kolej na drugą książkę tegoż autora pt. „Gnosiology”, będącej prosto przekładem 2-go wydania powojennego „Elemen-

JAN OSTROWSKI

GNOSEOLOGIA*)

tów teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk”, jakże popularnych wśród studentów wydziałów filozoficznych, czy seminariów pedagogicznych! Angielska firma Pergamon w Oxfordzie wspólnie z Książnicą im. Ossolińskich we Wrocławiu, wydały ten okazały tom, liczący około 550 stron dużego formatu, zresztą identycznego z formatem wydania polskiego. Do czasu ukazania się podręcznika uniwersyteckiego Tadeusza Czeżowskiego i podręczników Kazimierza Ajdukiewicza, utrzymywanych na poziomie licealnym, „Elementy...” Kotarbińskiego były właściwie jedynym, całkowicie nowoczesnym compendium nauk filozoficznych w Polsce przez co najmniej dwa dziesięć lat.

Obecnie z podręcznika, po dokonanych zmianach i uzupełnieniach w drugim powojennym wydaniu polskim, książka nabrała charakteru dużego traktatu, obejmującego w pewnym sensie całokształt zasad systematycznej wiedzy filozoficznej, wyłączając działy specjalne, jak etyka, estetyka i praktyka. Nie stała się przez to bynajmniej okazem popularyzacyjnej literatury filozoficznej dla dyletantów. Nie mniej talent dydaktyczny jej autora niewątpliwie sprawił, że przy pewnym wyrobieniu i zaprawie umysłowej, każdy kto posiadać będzie dość wytrwałości, może z zainteresowaniem ją czytać. Wyniesie on z tej lektury wiele pożytku dla siebie i nabędzie wiedzę na poziomie obecnych osiągnięć na zachodzie. W zakresie bowiem kierunku ogólnie zwanego filozofią analityczną, w którym przewodziła przez dłuższy czas myśl anglosaska obok tzw. Koła wiedeńskiego neopozytywistów, przy współzawodnictwie twórczym tzw. polskiej szkoły filozoficznej, zwanej również lwowsko-warszawską, książka Kotarbińskiego śmiało może zająć miejsce reprezentacyjne.

Nie może być zadaniem recenzji w periodyku ogólnym wchodzenie w szczegóły rzeczowe poszczególnych działów czy zagadnień składających się na to potężne tomisko. Natomiast obowiązkiem jej jest poinformowanie najszerszych kół czytelniczych o pozycji, jaką zajmuje w świecie naukowym to powstałe z wolnego ducha dzieło filozoficzne, nie nacechowane żadnymi ograniczeniami jakiegokolwiek doktryny politycznej. Trzeba uświadomić sobie, jak dzięki tego rodzaju pracom, polska myśl filozoficzna stara się wyjść poza opłotki rodzimego języka i wejść na arenę światową, aby się skonfrontować

z osiągnięciami narodów, których przedstawiciele pracują w warunkach nieskrępowanej myśli twórczej. Nadto należy podkreślić również i tę okoliczność, że paradoksalną drogą, poprzez przekład angielski, książka ta łatwo dotrzeć może do umysłów młodego pokolenia Polaków kształcących się na obcych uniwersytetach i tą drogą wesprzeć ich poczucie narodowe i dumę z poziomu, jaki m.in. nauki filozoficzne zdołały tam osiągnąć. Bo naprawdę jest z czego być dumnym.

Przedstawiając w kilku punktach, jakiego rodzaju jest wkład omawianej książki, należy podkreślić, że charakteryzuje ją wysoka troska o metodyczny porządek myślenia i jego duża ścisłość logiczna, w przeciwieństwie do często literacko rozwichrzonych produktów niektórych kierunków współczesnej filozofii, z egzystencjalizmem na czele. Poza tym utrzymuje się ona w tradycji neopozytywistycznej, jeśli nie zrzekając się, to co najmniej unikając raczej mniej uchwytnych postaci dywagacji metafizycznych, przy wyraźnym formułowaniu swego zasadniczego — a więc metafizycznego — stanowiska.

I w tym zakresie prof. T. Kotarbiński jest zdeklarowanym przedstawicielem tzw. reizmu, zwanego też konkretyzmem, czyli pewnej uwspółcześnionej postaci materializmu filozoficznego. To też głównym wątkiem „Gnoseologii” jest właśnie nieublagana walka z wszelką postacią hypostaz, rzekomych bytów, lub jak to się w angielskiej wersji o tym mówi z wszelką postacią „onomatoidów”, czyli nazw pozornych. Ma to duże znaczenie metodologiczne w zakresie wdrażania w konkretne myślenie, nie mniej ta redukcja wszystkich wyrażen do takich, które mówią jedynie o rzeczach fizycznych prowadzi niekiedy do zawilosci i nie ma żadnej pewności, że da się ona konsekwentnie do końca przeprowadzić.

Książka ta jest oczywiście wyłącznym dziełem swego autora Tadeusza Kotarbińskiego. Nie mniej ma ona znaczenie ogólniejsze. Jest ona bowiem wyrazem dość solidarnego stanowiska całej polskiej szkoły filozoficznej. Z przedmowy do pierwszego wydania w 1927 r. wynika, że nad jej kołyską pochylony był już cały wianuszek zatroskanych głów, które współdziałały w jej powstaniu. Wspomina się Twardowskiego, Łukasiewicza, Ajdukiewicza, Leśniewskiego, Landego i ówczesną asystentkę autora, a później jego żonę

(Dokończenie obok)

*) „Gnosiology — The scientific Approach to the Theory of Knowledge” by Tadeusz Kotarbiński, translated from the Polish by Olgierd Wojtasiewicz, Translation edited by G. Bidwell and C. Pinder. Pergamon Press. Oxford, London, Edinburgh, New York, Toronto, Braunschweig. Zakł. Nar. im. Ossolińskich. Wydawnictwo Wrocław, 1966, str. XIII+548.

— Dinę Szeinbarg. Do drugiego wydania dołączona jest cała rozprawa krytyczna K. Ajdukiewicza o „Elementach...”. Wszystko to stwarza z „Gnoseologii” dzieło reprezentacyjne dla całej polskiej szkoły filozoficznej. Solidarność ta przeniosła się niejako poza grób tych, którzy odeszli, i wyraża się w trosce tych, którzy pozostali, o zabezpieczenie całego dorobku przedstawicieli tego okresu rozkwitu polskiej szkoły filozoficznej. Nie obywa się to bez cicho staczanych bojów, jak w wypadku przygotowywanych do druku 4 tomów spuścizny po Kazimierzu Twardowskim i dzieł Stanisława Leśniewskiego.

W tym sprowadzaniu niejasności do rzeczy uchwytnych, hypostaz do przedmiotów fizycznych, Polacy wyprzedzili poniekąd autorów angielskich. Pod podobnym hasłem „wypędzania widma z maszyny” podjął na szerszą skalę pracę po wojnie prof. Gilbert Ryle w swej, dziś już klasycznej pracy „The Concept of Mind” (Pojęcie umysłu) idąc po drodze redukowania wyrażen dotychczasowych umysłu-ducha lub duszy — do wyrażen mówiących o zachowaniu się ciał ludzkich. Ma to istotnie posmak materialistyczny, nie mniej dzieje się to, bez wiązania się z rozważaniami ścisłe metafizycznymi. Wobec pożyteczności tego rodzaju zabiegów metodycznych, wypada w ich związku przypomnieć znane powiedzenie Norberta Wienera, twórcy współczesnej cybernetyki, gdzie również występowało zagadnienie redukowania procesów umysłowych czy duchowych do czysto mechanicznych: „im więcej ze spraw ducha zepchnie się na barki procesów materialnych, tym wyraźniej wystąpi to, co do mechanizmu nie da się sprowadzić”.

J. Ostrowski

P.S.: Aby uniknąć nieporozumień, na temat istnienia czy nie istnienia książek w językach obcych innych autorów, aniżeli tych, którzy należeli do polskiej szkoły filozoficznej, trzeba stwierdzić, że takie książki istniały przed i po tym okresie, ale należały one do innego nurtu myślowego, żeby tylko wspomnieć nazwiska takie, jak Wincentego Lutosławskiego, Heleny Kończewskiej, czy ostatnio Anny-Terezy Tymienieckiej, nawiązującej zresztą ściśle do fenomenologii uprawianej przez Romana Ingardena. I całego szeregu innych przedstawicieli filozofii katolickiej.

Czy jesteś członkiem SPK?

PAWEŁ HĘCIAK

Igrzyska Olimpijskie już za rok...

MAM nadzieję, że przez najbliższych kilka miesięcy — do sierpnia — nie będę pisał o piłce nożnej. Gdy w innych krajach sezon piłkarski trwać będzie w całej pełni (zależnie od klimatu), w Anglii sezon piłkarski kończy się oficjalnie w maju. Najpierw zakończono rozgrywki o mistrzostwo I. ligi, gdzie tytuł mistrzowski zdobył sławny Manchester United. Była to słuszna nagroda za wielki cios, jaki klub ten poniósł przed laty, gdy drużyna, wracając ze spotkania międzynarodowego w Jugosławii, straciła na lotnisku w Monachium kilku świetnych graczy. Była to tragiczna katastrofa, w której wziął udział cały świat sportowy. Trzeba było wielu lat pracy, by wrócić do równowagi, by z roku na rok wyrównać straty i wychować nowy narybek. Kierownik klubu, legendarny Busby (szczęśliwie ocalał w katastrofie lotniczej) z trudem ukrywał wzruszenie, gdy na początku maja jego klub zdobył tytuł mistrza, a tym samym prawo do udziału w turnieju o Puchar Europy.

Drugie wydarzenie sportowe, którym pasjonowaliśmy się w tej ojczyźnie piłki nożnej, to finał o Puchar Anglii. Był to finał wyjątkowy, bo spotkały się w nim dwie znakomite drużyny londyńskie: Tottenham i Chelsea, (chciałoby się powiedzieć: moja Chelsea, gdyż mieszkam w pobliżu stadionu Chelsea, a poza tym mam do tego klubu weteranów czy pensjonariuszy — b. wojskowych, wyjątkowy sentyment, gdyż zawsze pamiętam występ jej przed wojną w Polsce). Tottenham posiada w swym zespole najlepszego od kilku lat piłkarza Anglii — małego Greavesa, asa nad asy, a Chelsea słynnego z żelaznej ręki menadżera Docherty, który przed laty „odkrył” talent Greavesa (choć musiał go później „sprzedać najpierw Włochom a potem Tottenhamowi), a obecnie wychował sobie młody zespół równie świetnych talentów, choć grających bardziej z entuzjazmem, aniżeli stylowo. Poruszenie było wielkie, bo nazwy obydwu klubów znane są w całym świecie, w dodatku każdy z nich ma swoich zaciskłych kibiców, no i brak było w finale choćby jednego klubu ze środkowej czy północnej Anglii, co miało także swoją wymowę.

Jak już wiemy zwyciężył 20 maja Tottenham 2:1. Zwycęstwo niewysokie, choć jak najbardziej zasłużone. „Czupurne koguty” (Tottenham Hotspurs) byli niewątpliwie lepsi, atak pracował lepiej i skuteczniej. Gra była żywa, choć żadnych cudów na boisku nie ogląda-

liśmy. Docherty liczył na swoich przebojowców — Tamblinga i wysokiego Hatleya, zakupionego za 100.00 funtów. Z powodu wysokiego wzrostu Hatleya „bije” głową wszystkich przeciwników i właśnie główkując zdobywa najczęściej bramki. Nic to jednak nie pomogło. Puchar wrócił po raz trzeci w ciągu ostatnich siedmiu lat do Tottenhamu.

* * *

Lecz dość o piłkę nożną. Spójrzmy w przyszłość, na rok 1968, w którym odbędzie się następna Olimpiada w Meksyku. Zainteresowanie tą Olimpiadą jest szczególne, gdyż odbędzie się ona w warunkach wyjątkowych: mianowicie na takiej wysokości, iż zachodzi obawa o zdrowie zawodników, zwłaszcza biegaczy i pięściarzy. Raz po raz czytamy, iż do Meksyku wyjeżdża taka czy inna ekipa lekarska czy nawet zawodnicy, by zbadać ciśnienie powietrza ogromnie rozrzedzonego na tej wysokości, zmiany jakie to ewentualnie powoduje w organizmie, no i co tu robić? Istotnie — z tego punktu widzenia będzie to na pewno poważna próba i niespodzianek może być wiele. Liczne ekipy wyjadą znacznie wcześniej aniżeli w innych latach, aby przystosować organizm do wysokogórskiego powietrza.

Problematyka olimpijski zajmuje się w pierwszym rzędzie Międzynarodowy Komitet Olimpijski, któremu od wielu lat — a chciałoby się powiedzieć, że nieco za długo — przewodniczy Amerykanin Brundage. Niedawno Komitet ten obradował przez 5 dni w Teheranie, podejmując szereg ciekawych uchwał, choć wiele spraw — zwłaszcza sprawę amatorsztwa — znowu nie załatwił w sposób wystarczająco jasny. Jedno z postanowień stwierdza, że w przyszłości wszystkie zawodniczki będą musiały się poddać badaniu lekarskiemu. Za wiele tu bowiem niespodzianek, gdyż raz po raz okazuje się, że pod sukienką ukrywa się mężczyzna, który wspaniale biega, znakomicie skacze o tyczce czy fantastycznie rzuca kulą lub dyskiem. Każda więc zawodniczka będzie musiała najpierw złożyć odpowiednie oświadczenie, że jest stuprocentową babką, a następnie — już w kraju, w którym odbywać się będzie Olimpiada — będzie musiała się poddać badaniu lekarskiemu. Trochę to kłopotliwe, lecz nieuniknione, jak to się w życiu okazuje. Nie są one temu winne, bo taki jest kaprys natury, do którego wstyd się przyznać. Zdarza się jednak, że o takich zawo-

(Dokończenie na str. 36)

LIZBONA — MIASTO KONTRASTÓW

NIEPRAWDA jest, że po trzech dniach pobytu można poznać nawet takie „małe miasto jak Lizbona, a coś dopiero skomplikowane problemy Portugalii. Prawdą jest natomiast, że mieszkańcy wielkich miast mają tendencję do protekcyjnego traktowa-

(Dokończenie ze str. 31)

Polskiej Akademii Umiejętności i inn. W latach 1926-1945 był prezesem Pol. Tow. Ludoznawczego.

Dowodem uznania jakim się cieszył w sferach uczonych całego świata były doktoraty „honoris causa“ uniwersytetów: Poznańskiego i Wrocławskiego, członkostwo Królewskiego Tow. Antropologicznego Wielkiej Brytanii, ordery i odznaczenia. Wygłaszał liczne referaty na kongresach i spotkaniach międzynarodowych antropologów i etnologów.

W roku 1925 piastował godność dziekana, a w r. 1934 rektora Uniwersytetu Lwowskiego. Opiekował się młodzieżą akademicką.

W delegacji pokojowej w Paryżu, po pierwszej wojnie światowej, brał udział jako ekspert, i opracował dla niej statystyki narodowościowe i wyznaniowe ziem polskich. Swe kontakty z uczonymi niemieckimi i rosyjskimi, wykorzystywał w czasie ostatniej wojny dla ratowania uczonych polskich i polskiej nauki. Współpracował z władzami Polski podziemnej.

Zanagazowany został przez władze Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego jako profesor zwyczajny, w listopadzie 1944 r., a wykłady na tymże uniwersytecie rozpoczął w maju roku następnego, i kontynuował je do końca roku akademickiego 1948/49.

Mianowany profesorem Uniwersytetu Poznańskiego, dojeżdża jeszcze jakiś czas z wykładami do Lublina, a od początku roku akademickiego 1949/50 wyklada już tylko w Poznaniu. W okresie powojennym ogłasza szereg prac, m.in. „Polska — Słowiańszczyzna“, „Antropologia polska w międzywojennym dwudziestolecu“ i inne.

Zakończył swe pracowite życie 20 lipca 1965 roku w Szczecinie, spoczął w Alei Zasłużonych na cmentarzu Powązkowskim.

Wśród swych licznych przyjaciół zostawił żal po sobie ten szlachetny człowiek i jeden z największych uczonych XX wieku. Zostały też jego prace i prace jego uczniów ze „szkoły lwowskiej“.

Stefan Legeżyński

nia tych mniejszych, może równie pięknych, ale innych. Oraz, że z biegiem lat oglądanie najwspanialszych nawet zabytków szybko męczy, pozostawiając galimatias w głowie. Wobec czego turysta w starszym wieku, a do takich zaliczam i siebie, „odwala“ obowiązkowe wycieczki krajoznawcze i z rozkoszą zasiada w kawiarni czy restauracji smakując tubylcze potrawy, chociażby nawet źle działały na jego przewód pokarmowy.

Takie mniej więcej myśli kłębiły mi się po głowie, gdy wygodnym autokarem zwiedzałam turystyczną Lizbonę, starając się skupić uwagę na słowach niezbyt inteligentnej, ale za to pięknie tlenionej przewodniczki, która rozbijała otwarte drzwi tłumacząc nam, że ten pomnik wspaniały, a tamten — jeszcze wspanialszy. Z trzydniowej wycieczki pozostały strzępy wrażeń, nastroje i zepsuty po rakach, żołądek.

Mimo oślepiającego słońca, Lizbona i jej mieszkańcy sprawiają smutne wrażenie. Smutni ludzie o oliwkowych cerach, na ogół smutnie ubrani, na czarno, szaro i brązowo. Lalkowate w dzień, kiczowate w nocy niebo patrzy z odwiecznym spokojem na niezliczonych żebraków, na nędznych sprzedawców ulicznych, czy robotników, którzy oglądają się z lękiem za licznymi policjantami w jasnych mundurach. Przeciągły gwizd policyjnych syren często przerzyna rozłożone na siedmiu pagórkach malownicze miasto.

Koło kilku luksusowych hoteli („Ritz“ — „najwspanialszy na świecie“, zapewne tleniona przewodniczka) wyciągają ręce wynędzniałe dzieci i starcy, którzy wcale nie są tacy starzy jak wyglądają. W prastarej dzielnicy „Alfama“ w maurytańskim stylu kute w żelazie balkони ki na krętych wąskich uliczkach i na brudnych podwórkach krzyczy rozwieszona bielizna: dziurawe gacie i koszule

szarawego koloru nędzy, spłowiałe kretony i łachmany prane niezliczone ilości razy.

Niewykwalifikowany robotnik zarabia 40-50 eskudos dziennie (koło 10 szylingów), wykwalifikowany — 100-120; chleb kosztuje 2 eskudy, a kilogram mięsa — 25-45. „Dużo żebraków? Żebrania jest w Portugalii zakazana. Ludzie nie muszą żebrać, mogą dostać zupę i nocleg, wszystko co chcą, w utrzymywanych przez rząd i filantropów przytułkach“, broni się przed moimi zarzutami śliczna Izabella, której ojciec, przemysłowiec i właściciel kilku domów, daje 600 funtów miesięcznie na drobne wydatki.

W dzień św. Antoniego, patrona kochanków, odbywa się w zabytkowej katedrze 61 bezpłatnych ślubów. W ten dzień, raz do roku, lizbońskie kopciuszki zamieniają się w bogaczy: najdroższe krawcowe i krawcy szyją im ślubne stroje, restauratorzy ofiarowują ucztę weselną, ludzie w karnałowych maskach święcą zbiorowe śluby, tańcząc na ulicach. A po szczęśliwym dniu — powrót do ciemnej rzeczywistości, w jasnym mieście, gdzie ręcznie haftowane bluzki czy obrusy dostaje się za grosze, bo najtańsze w tym kraju są robocze ręce.

„My tych haftów nie nosimy, to za ludowe“, mówi z odrobiną pogardy Izabella, pokazując mi paryską sukienkę, włoski sweter i londyński płaszcz. Poczem niemieckim autem zawozi mnie do Estorilu, nadmorskiej perły w luksusowej oprawie, siedziby królów i magnatów, z imponującymi hotelami, cudowną zielenią i jak jedwab miękkim piaskiem na złotych plażach. „Tu mieszka król Umberto“, pokazuje Izabella, „a tam w tym zamczku-twierdzy nasz Prezydent Salazar, wybitny człowiek, chodzi po parku bez straży, nie-

(Dokończenie obok)

A. J. NARBUT-ŁUCZYŃSKI U KRESU WĘDRÓWKI

Pamiętnik wojskowy i polityczny z okresu 1870—1946 w którym autor, jeden z wybitnych oficerów legionowych daje świadectwo prawdzie swojego czasu, bez ambicji historyka czy stratega.

464 stron druku, 20 stron ilustracji oraz szkice w tekście.

Cena: 52/6; \$ 7.00; F. 35.00

Do nabycia: GRYF — KSIEGARNIA S.P.K. — 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W. 7.

oraz we wszystkich księgarniach polskich

zwykle sympatyczny, wybudował największy most na świecie na rzece Tagus i...“

Przerywam zachwyty, zadając nie-delikatne pytania, co wedle niej znaczą przepełnione więzienia, dyktatura, wolność, przymusowa emigracja w poszukiwaniu chleba? „Przyzwyczajaliśmy się“, szybko likwiduje rozmowę Izabella. „Kiedy byłam ostatnio w Monachium, spotkałam wielu studentów wypędzonych z Portugalii za nieodpowiednie zachowanie. Rozmawialiśmy jakby nigdy nie, ale nie na tematy polityczne“. I żeby pokazać mi, jacy są postępowi, opowiedziała, że ojciec jej prowadzi interesy z krajami „zza żelaznej kurtyny“, sprzedając i korek i maszyny. „Stosunków dyplomatycznych nie mamy z nimi, ale handel, zarabiać, dlaczego nie?“

Luksusowe wille w „dzielniczy milionerów“, z basenami i garażami na kilka aut. W sercu miasta stacja kolejki w stylu „manuelino“, istny pałac. W tymże stylu, z którego Portugalczycy są bardzo dumni, piękny kościół i klasztor św. Hieronima: barokowo rzeźbione kolumny podtrzymują koronkowe krużganki, grobowce książąt i mężów stanu opasane typowymi dla stylu „manuelino“ marmurowymi „sznurami“ i morskimi motywami. W filigranowych esach-floresach barokowi święci; uroczyscie, figlarnie biją dzwony i sygnaturki; na klasztornym podwórczku biało, zielono, koronkowo; tanecznym krokiem przesuwają się korowód mnichów w ciemnych habitach. Pod nogami, na murach, kolorowe mozaiki charakterystyczne dla całej Lizbony.

O dawnej świetności, o romansach, zbrodniach i epokowych odkryciach myśli się w Muzeum Powozów, ponoć największym tego rodzaju w Europie (według naszej platynowej!). Na olbrzymich drewnianych kołach wspaniałe rzeźbione karoce, karety, lektyki. Śmieją się poszlacane aniołki, wypinają obnażone biusty złote boginie, wdzięczą się kwiaty. Ta karoca to dar dla królowej Izabelli Kastylijskiej, a tę, z rzeźbami na wzór Fontanny del Trevi, ofiarował Papież portugalskiemu ambasadorowi. Osiemnaście miesięcy jechał nią ambasador z Rzymu do Lizbony, w drodze zmieniono 500 koni. Przymkniesz oczy, a w stęchłym powietrzu Muzeum Powozów usłyszysz szelest jedwabiu, zza spłowiałej firanki lektyki spali cię wzrokiem piękniejsia w drodze na zakazaną randkę z nadwornym malarzem.

Jak chochoł albo strach na wróble wygląda w Muzeum Folkloru wieśniak z Północy Portugalii w „deszczówce“ z kilku warstw słomy. Zdjęcia i prymitywne narzędzia pracy mówią o nędzy i ciemnocie ujętych w cudowne ramy natury. Czas stanął tam w biegu przed

wiekami i stoi oporny na wszelkie nowinki. Kilka dni temu kobieta wykuła oko starej ciotce, żeby nie rzuciła uroków na jej chore dziecko.

W liczącej 10 milionów mieszkańców Portugalii (plus 11 milionów w „prowinacjach“, Angoli i Mozambiku) istnieje 4 uniwersytety. Szkoła jest obowiązkowa dla dzieci od lat 6 do 12, ale większość wymiguje się z tego obowiązku, dzieciom trzeba przecież dać jeść, niech więc lepiej żebrzą, albo pracują, choć tylko za łyżkę zupy i napiwki. A co z dziećmi po obowiązkowej szkole? „Mogą uczyć się zawodu“, wzrusza ramionami przewodniczka. Móc mogą, ale gdzie, jak i za co?

Mina Tomkiewicz

ZE ŚWIATA FILMU...

MARTINE CAROL

Wielki blask i nagła ciemność. Oto w skrócie kariera francuskiej aktorki teatru, a następnie filmu: Martine Carol. Przez kilka lat była ona symbolem seksu francuskiego filmu, ery przed — BB. Bo obecnie bezapelacyjnie panuje pod tym względem Brigitte Bardot.

Martine Carol urodziła się 10 maja 1920 roku w miejscowości Saint-Mandé pod Paryżem. Jej prawdziwe nazwisko: Maria Luiza Mourer. Uczyła się gry scenicznej u Rolanda Manual i Rene Simon. Jej zdolności aktorskie ocenił pierwszy, Gaston Baty, który zaangażował ją do teatru objazdowego gdy miała 17 lat. Dał jej pseudonim sceniczny: Maryse Arley.

Otrzymała też szereg maleńkich ról w filmach. Dopiero jednak rola w sztuce „Tobacco Road“, która odniosła olbrzymi sukces w jednym z teatrów paryskich, otworzyła jej w pełnym znaczeniu tego słowa, drogę do dużych ról w filmie. Szczytem, najślawniejszą rolą jaką kreowała była „Caroline Cherie“. Jej mąż reżyser Christian Jaque szukał odpowiednich ról dla jej uwypuklenia, i kreowała takie sławne postacie jak: Du Barry, Lizistrata, Lukrecja Borgia, Nana.

Jej kariera kończy się mniej więcej 10 lat temu. Ma wtedy jeszcze dwa wybitne filmy, w komedii Rene Claire'a „Piękności nocy“ i „Lola Montes“ Meksa Ophulsa. Później już tylko małe role i choroba, rozwód z C. Jaque, dwa kolejne małżeństwa, ostatnie z przedsięwzięciem londyńskim. Trzy ostatnie lata życia spędza w Londynie, mieszkając w arystokratycznej dzielnicy Londynu, tuż przy Regent Parku. Gwiazda zgasła po zażyciu lekarstw, w hotelu nad morzem Śródziemnym. Wieść o tym dotarła do wielu, którzy jej filmy oglądali i dla których była symbolem francuskiego uroku.

S.L.

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

KAZIMIERZ SCHLEYEN

LWOWSKIE GAWĘDY

„Przeczytałem LWOWSKIE GAWĘDY nie raz, nie dwa, za każdym razem od początku do końca, za każdym razem z tym samym wzruszeniem“.

Marian Hemar

Cena: sh. 30

Do nabycia:

Gryf — Księgarnia SPK,

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

MOŻESZ WYSŁAĆ

WSZYSTKO

przez

Grabowskiego

**Lekarstwa
żywność
Pieniądze
Owoce
Ortaliony**

(bez podpink i z podpinką)

i tak dalej

Każdy artykuł do wyboru

JEŚLI LEKI TO Z APTEKI

M. B. GRABOWSKI

175, DRAYCOTT AVENUE,
London, S.W.3. Tel.: KEN 0750

POPIERAJ POLSKIE FIRMY

W dniu 3 maja 1967 roku Delegacja Zgromadzenia Europejskich Narodów Ujarmionych (Assembly of Captive European Nations — ACEN), w składzie: przewodniczący ACEN Stefan Korboński (Polska), oraz członkowie Komitetu Głównego ACEN Vaclovas Sidzikauskas (Litwa) i Constantin Visoianu (Rumunia), została przyjęta w

(Dokończenie ze str. 33)

dniczkach“ wiedzą kierownicy ekipy i mimo to ukrywają to czego ukrywać by nie należało. Wydarzyły się takie historie na niedawnych lekkoatletycznych mistrzostwach Europy, które — jeśli się nie mylę, odbywały się w Budapeszcie. Tam los sprawił figla zawodniczkom sowieckim, które trzeba było wycofać.

Drugim ważnym postanowieniem było, iż wszyscy zawodnicy będą musieli poddać się badaniom lekarskim (po zawodach) dla sprawdzenia, czy nie użyli środków podniecających. W tej sprawie panował od dawna duży bałagan, bo jedni twierdzili, że używali jedynie środków „uspokajających“, inni twierdzili, że to był tylko proszek „na ból głowy“. A potem okazywało się — jak to było na Olimpiadzie w Rzymie — że kolarze padali jak muchy z powodu nadużywania środków podniecających. Był to oczywisty skandal, który zresztą trwa od lat i o którym wszyscy doskonale wiedzą. Podane zostały nazwy środków, których nie wolno użyć, a mianowicie wszelkiego rodzaju alkohol, amphetamine, ephedrine, kokaina, haszysz, środki nasenne, środki zmieniające ciąża krwi, męskie hormony powiększające mięśnie itp. Środków tych jest obecnie tak wiele, iż wątpię, aby ta lista wyczerpała wszystkie. Tu wszystko zależy od kierownictwa ekip, od poczucia odpowiedzialności za zdrowie zawodnika, co winno być ważniejsze niż zwycięstwo, i wreszcie od zawodników także, którzy na pewno będą usiłowali lyknać w ciichości taki czy inny proszek. Ryzykują jednakże wiele, bo mogą być „na wyrwyki“ przekazywani lekarzom, którzy z łatwością — zbadawszy moc zawodników — wykryją czy ktoś lyknął jakiś środek, czy nie.

Były i inne problemy, zwłaszcza zagadnienie amatorstwa wśród olimpijczyków. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że na Olimpiadzie nie znajdziesz czystego amatora za żadne skarby świata. Tu panuje wielkie zakłamanie, któremu patronują wszyscy. Ale o tym może w następnym felietonie.

Paweł Hęciak

Z ŻYCIA POLSKIEGO

Departamencie Stanu przez dyrektora Biura Wschodniej Europy, dr. Raymonda Lisle, występującego w asyście referentów tegoż biura. W toku dyskusji została omówiona sprawa pozbawienia przez reżymy komunistyczne narodów Wschodniej Europy prawa samostanowienia i praw obywatelskich i w związku z tym potrzeby odpowiedniej akcji w Organizacji Narodów Zjednoczonych, — dalej sprawa kulturalnej wymiany i handlu z krajami Wschodniej Europy, wreszcie wzmoczonej infiltracji komunistycznej wśród grup etnicznych amerykańskich.

Dr Lisle zapewnił delegację, że zgłoszone przez nią w powyższych sprawach postulaty zostaną poddane gruntownej rozprawie.

Z POLSKIEGO TOWARZYSTWA NAUKOWEGO NA OBCYZIŃNIE

W dniu 25 kwietnia br. odbyło się w sali Instytutu im. gen. Sikorskiego w Londynie, zwyczajne Walne Zgromadzenie Polskiego Tow. Naukowego na Obczyźnie. Przewodniczył prezes Br. Hełczyński. Po oddaniu hołdu pamięci zmarłych w okresie sprawozdawczym członków Towarzystwa Cezarii Baudouin de Courtenay Jędrzejowiczowej i Michała Sokolnickiego odczytał sekretarz generalny Towarzystwa sprawozdanie z działalności PTNO od czasu poprzedniego walnego zgromadzenia (25 grudnia 66), sprawozdanie kasowe i protokół Komisji Rewizyjnej. Zebranie udzieliło przez akklamację absolutorium ustępującemu Zarządowi.

Zarząd wybrano w składzie następującym: Prezes — Bronisław Hełczyński (ponownie), wiceprezi — M. Kukiel i J. Rżóska, sekretarz generalny — J. Załęski, przewodniczący Wydz. Przyrodniczego — R. Wajda, członkowie Zarządu — A. Laskiewicz, M. Danilewiczowa, A. Folkierski, T. Tchórzewski, wszyscy ponownie. Z dotychczasowych członków Zarządu ustąpił B. Wroński z powodu innych zajęć.

Z powodu wyjazdu do U.S.A. w celach naukowych ustąpił z Komisji Rewizyjnej J. Żarnecki. Wybrano Komisję Rewizyjną w następującym składzie: J. Rotblat, W. Stec-Rouppertowa (oboje ponownie), Zdz. Stahl.

Towarzystwo liczy obecnie członków: honorowych (narodowości niepolskiej) 23, czynnych miejscowych 84, czynnych zamiejscowych (poza granicami. W. Brytanii) 65, członków-korespondentów

miejscowych 20, zamiejscowych 25. Z członków zamiejscowych przebywa stale w U.S.A. 14, we Francji 11. Ogółem — po zgonie jednego członka zamieszkałego na ziemi tureckiej, posiada obecnie PTNO członków czynnych w 6 krajach kontynentu Europy, 2 w krajach Ameryki Półn., 2 w Amer. Południowej, 2 w krajach kontynentu Azji, na Hawajach, w Nigerii, N. Zelandii, Australii. W Meksyku mieszka jeden z członków-korespondentów.

Na publicznym zebraniu PTNO w grudniu 66 r. odczyt wygłosił J. Jasnowski pt. „Geometria w dawnej Polsce, Teoria i Praktyka“. Taktyka PTNO polega obecnie na urządzaniu o ile możliwości posiedzeń naukowych wspólnie z innymi instytucjami naukowymi zainteresowanymi danym zagadnieniem, co umożliwia wzięcie w nich udziału większej ilości słuchaczy i uczestników dyskusji. I tak w okresie sprawozdawczym odbyły się posiedzenia odczytowe: członka Fr. Goldschlaga „Przysięga Hipokratesa“ z koreferatem mgr. J. Ostrowskiego, prof. I. Wieniewskiego „Trylogia Sienkiewicza — Polska Iliada“ z przedśłowiem generała Kukieła, oba wspólnie z Pol. Tow. Historycznym, odczyt gościnny Andrzeja Nakowa z Paryża „Ciurlonis, zapomniany malarz litewski“ wspólnie z Biblioteką Polską w Londynie, a nazajutrz po walnym zgromadzeniu (26 maja 67) odczyt czł. S. Wyrobka, wspólnie ze Stow. Techników Polskich pt. „Geofizyczne zagadnienia przy poszukiwaniu gazu ziemnego na Morzu Północnym“ (cz. I-a). Wszystkie wspomniane odczyty cieszyły się dużą frekwencją i ożywioną dyskusją. Poza tym odbyły się odczyty prof. I. Kos-Ratcewicz Zubkowskiego z Kanady pt. „Sławni Polacy w Kanadzie w XVIII i XIX wieku“ i członka J. Żmigrodzkiego pt. „Struktura etniczna współczesnej Kanady“, a na Sekcji Lekarskiej naukowe odczyty czł. A. Laskiewicza i czł. St. Ostrowskiego.

Z terminem Walnego Zgromadzenia zesło się wyjście spod prasy drukarskiej tomu XVI. Rocznika PTNO (za rok 1965/66). Zawiera on prócz normalnego materiału sprawozdawczego, streszczeń odbytych zebrani odczytowych, wiadomości o innych stowarzyszeniach i instytucjach naukowych na uchodźstwie itp., odczyt publiczny Br. M. Śliżyńskiego „U Podstawy Życia“, dłuższą rozprawę prof. A. Laskiewicza „Stosunek Wiedzy Lekarskiej do Nauk Humanistycznych“, dłuższy komunikat prof. James St. Clair-Sobell z Uniwersytetu Brytyjskiej Kolumbii „Daleko sięgające wpływy Uniwersytetu Krakowskiego“, a w części oficjalnej zarys dziejów Pol. Instytutu Historycznego w Rzymie“ (w przemówieniu przyznanym prof. Br. Hełczyńskiego) i komu-

nikat o nadesłanej przez członka płk. Szumańskiego z Paryża matrycy nowej mapy Polski.

HONOROWA NAGRODA DLA POLSKIEGO FILATELISTY

W dniach 1 i 2 kwietnia br. odbyła się w Wiedniu zorganizowana przez Gildię austriacką Światowego Zrzeszenia Filatelistów „St. Gabriel“, wystawa znaczków pocztowych, na której m.in. członek wiedeńskiego SPK p. Karol Hojło zdobył honorową nagrodę Austriackiego Zrzeszenia Związków Filatelistycznych (VÖPHV) za swoje opracowanie tematyczne: „1000 lat chrześcijańskiej Polski“.

Nadmienić należy, że zbiór ten w ciągu ub. r. został na dwu wielkich austriackich wystawach filatelistycznych odznaczony srebrnymi medalami i był również wystawiony w Klubie SPK we Wiedniu

RADA WOLNYCH POLAKÓW WE FRANCJI

W sobotę, dnia 22 kwietnia br. odbyło się w Domu Kombatanta w Paryżu pierwsze tegoroczne zebranie Rady Wolnych Polaków. W części pierwszej po przywitaniu amb. Kajetana Morawskiego i zaproszonych gości usłyszeliśmy zapowiadany dwugłos. Pp. T. Rzewuski i T. Parczewski mówili o istniejących w obecnej sytuacji, mniej lub więcej wyzyskanych, środkach i możliwościach wzmocnienia udziału wspólnoty polskiej w walce o odzyskanie niepodległości Polski i powrotu jej do rodziny wolnych narodów europejskich.

Przeprowadzonej następnie dyskusji przewodniczył generał Józef Jaklicz z ustępującego Prezydium, w którym, jak wiadomo, przez dłuższy czas pełnił obowiązki nieobecnego w Paryżu prezesa.

W części drugiej, której przewodniczył pan Mieczysław Besiekiński, po sprawozdaniach władz i ożywionej dyskusji udzielono absolutorium ustępującemu Prezydium, dokonano wyboru nowych władz, uchwalono dwie zasadnicze rezolucje oraz zajęto stanowisko w sprawie zapowiadzanej wizyty w Polsce, Prezydenta Republiki Francuskiej.

Prezesem Rady został wybrany ponownie inż. Tadeusz Rzewuski, a jej członkami pp. Mieczysław Jurkiewicz, Stanisław Lach (ponownie), prof. Zygmunt Markiewicz, prof. Jerzy Nomarski (ponownie), Tadeusz Parczewski (ponownie), Mieczysław Werno. Na wniosek prezesa, w związku z zamierzeniami rozszerzenia podstaw Rady, zebranie upoważniło Prezydium do zwiększenia swego składu w ramach statutu drogą kooptacji.

Do komisji rachunków wybrani zostali pp. Władysław Gordowski, Józef Ja-

kubowski, Konstanty Szabelski (ponownie).

Rada uchwaliła następujące rezolucje:

1) Rada Wolnych Polaków we Francji wyraża swoją solidarność z Radą Jedności Narodowej w Londynie i ze wszystkimi Polakami w Kraju i na obczyźnie, których wysiłki zmierzają wytrwale ku Polsce wolnej i niepodległej.

2) Rada Wolnych Polaków we Francji kieruje swoje najwierniejsze myśli i uczucia ku pasterzom Kościoła Katolickiego, którzy pod najgodniejszym przewodnictwem Kardynała Prymasa bronią chrześcijańskiego ducha naszego narodu, bronią najwyższych wartości ludzkich.

MŁODZIEŻ URZĄDZA „BIBLIOBAL“ NA CELE BIBLIOTEKI POLSKIEJ

O powszechnym znaczeniu Biblioteki Polskiej w Londynie dla naszego społeczeństwa świadczy fakt gorącego zainteresowania się jej losem przez młode pokolenie zrzeszone w takich organizacjach, jak Polski Ośrodek Młodzieżowy i Zrzeszenie Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie. Chcąc przyjąć z jak najwydatniejszą pomocą Polskiemu Funduszowi Bibliotecznemu, zbierającemu środki na utrzymanie Biblioteki, organizacje te zakrzętnęły się o to, aby powołać do życia Komitet Honorowy i organizacyjny „Bibliobal“. Ta całonocna zabawa w pięknych salach Derry and Toms na Kensington High Street, która odbędzie się w sobotę dnia 10 czerwca br., zapowiada się jako najwytworniejsze polskie zebranie towarzyskie obecnego sezonu.

W Komitecie Honorowym, liczącym 21 osób znajdują się takie osobistości jak gen. W. Anders, poseł do parlamentu St. Oswald, amb. E. Raczyński, art. mal. F. Topolski i przewodniczący Polskiej Rady Bibliotecznej S. Zamoyski. O odzewie ze strony angielskich przyjaciół Polski świadczy dar w sumie £50.- przesłany na ręce organizatorów przez Lorda Devonshire, również członka Komitetu Honorowego. Zapewniona jest nadto obecność wielu czołowych przedstawicieli polskiego życia społecznego, artystycznego i liczny udział młodzieży. Do tańca przygrywać będą

dwie arkiestry „Domino“ i „Echo“. Z programem kabaretowym wystąpi Ref-Ren i Nina Oleńska, przybyli niedawno z Ameryki do Londynu. Na miejscu jest restauracja, bar i bufet. Listowne kupno biletów po £2.2.0 (£1.11.6 dla studentów) łącznie z kolacją i rezerwowanie stolików (opłata 5/-) należy kierować na adres: „Bibliobal“, 7, Cromwell Road, London, S.W.7. Nabywać bilety w kiosku „Ogniska Polskiego“, 55, Princes Gate (Exhibition Road), London, S.W.7.

Początek balu o godz. 22.00.

Z uwagi na to, że całkowity dochód z balu przeznaczony jest na cele Polskiego Funduszu Bibliotecznego, wskazany jest jak najliczniejszy udział w „Bibliobalu“. Wobec ograniczonej pojemności sali pożądane jest jak najwcześniejsze rezerwowanie biletów i stolików. „Bibliobal“ będzie dobrą sposobnością połączenia przyjemnego z pożytecznym i wydatnego przyjsia z pomocą zagrożonej w swym bycie polskiej instytucji kulturalnej, której znaczenie jest powszechnie znane.

(J.O.N.)

KOLONIE LETNIE W FAWLEY GOURT

Jak co roku tak i w tym, Księża Marianie organizują Kolonie Letnie dla chłopców, w okresie od 30 lipca do 27 sierpnia.

W razie odpowiedniej ilości zgłoszeń kolonie będą przedłużone do 3 września. Celem Kolonii jest danie chłopcom możliwości spędzenia wakacji w zdrowej i malowniczej okolicy Regat Królewskich w przepięknym Henley nad Tamizą, znanym ze sportu wodnego na cały świat, w środowisku polskim i katolickim.

Przewidujemy turnieje tenisa na nowo zbudowanym korcie, o nawierzchni twardej.

Szczegółowe informacje w prospektach, wysyłanych na żądanie:

Holiday Camp for Boys,
Divine Mercy College,
Fawley Court,
Henley on Thames, Oxon.
Tel.: 04-912-4506 and 4917.

W OBRONIE PRAWDY HISTORYCZNEJ

GŁOSY I OPINIE O KSIĄŻCE „LEWA WOLNA“

Już jest w sprzedaży, wydany staraniem Federacji Światowej S.P.K., zbiór interesujących referatów i wypowiedzi, które padły w dyskusji w Biurze Studiów S.P.K. nad książką J. Mackiewicza „Lewa wolna“.

Do nabycia:

KSIEGARNIA S. P. K.

20, QUEEN'S GATE TERRACE, LONDON, S.W.7.

oraz we wszystkich księgarniach polskich.

Cena: 7/6 — przesyłka 6d; \$1.10; F.5.00.

DOM Z DUCHEM

Opowiadanie bez mała prawdopodobne

Kilka lat temu kupiłem dom, jak wielu z nas. Dom był bardzo zaniedbany, ale tani. Agent wyjaśnił mi dyskretnie:

— Nie ma chętnych nabywców. W tym domu straszy.

Wzruszyłem ramionami. Nic nie mogło być straszniejsze od sum, które płaciliśmy z żoną za pokoje sublokatorskie. Zapłaciłem zadatek i wprowadziliśmy się.

Agent miał rację. Zaraz pierwszej nocy, gdy zgasił światło, zaczęły się jakieś szurania, szmery i tupania. Najpierw na piętrze, potem na korytarzu, a w końcu w sypialni. Żona schowała głowę pod kołdrę, szepcząc:

— Zrób coś! Chyba jesteś mężczyzną!

Zapaliłem nocną lampkę. W nogach łóżka stał jakiś facet w historycznym kostiumie, trzymając własną głowę pod pachą. Nawet zupełnie przystojną głowę, z małym wąsikiem.

— Hu! Hu! — powiedziała głowa.

— Proszę pana — odezwałem się stanowczo, siadając na łóżku — Nawet jeżeli pan mieszka w moim domu w ramach ustawy o ochronie lokatorów, o czym mnie nie poinformowano, zwracam panu uwagę, że już jest po dwunastej i powinien pan zachowywać spokój.

— Hu! Hu! — powiedziała znowu głowa, ale już z mniejszą pewnością siebie.

Machnąłem ręką.

— Panie, nie jesteśmy dziećmi. Uprzedzam pana, że nie wierzę w duchy, więc niech pan przestanie się wygłupiać i niech się pan zachowuje, jak poważny człowiek.

Głowa westchnęła, i nieznajomy usiadł na brzegu łóżka.

— Pan nie wierzy w duchy? — zapytała głowa. — Większość ludzi w nie nie wierzy, ale się ich boi.

— Przede wszystkim — powiedziałem surowo — Niech pan umieści głowę na właściwym miejscu, bo tego rodzaju sztuczki ogromnie utrudniają rozmowę. O, właśnie, nie można było od tego zacząć? A teraz niech się pan przedstawi — to jest moja żona — pokazałem na kołdrę.

Duch westchnął znowu.

— Niech pan nie myśli, że ja tak dla przyjemności — zaczął wyjaśniać. — rodzaj obciążenia historycznego. Nazywam się Walter Devreux, i z uwagi na podobieństwo nazwisk zostałem przez omyłkę uznany za zamieszanego w spisek Essexa przeciw królowej Elżbiecie pierwszej, wobec czego pozbawiono mnie głowy. A ponieważ mieszkałem tutaj...

— Niech pan nie oszukuje — przerwałem ostro — ten dom ma najwyżej siedemdziesiąt lat, a spisek Essexa był... zaraz, kiedyż to?

— W 1601 — uprzejmie podpowiedział duch. — Oczywiście, że nie mieszkałem w tej dziurze, ale na tym miejscu stał wtedy mój dom. Panie, co to był za dom!

— Panie Walterze — przerwałem znowu. — Mam wrażenie, że to chyba chwilowo wystarczy. Ponieważ moja żona nie jest w stanie z panem w tej chwili rozmawiać — tu poklepałem kołdrę w miejscu, gdzie według moich obliczeń powinna być jej głowa. — Niech pan teraz idzie spać, a jutro omówimy wszystko dokładnie. Dobranoc panu!

— Dobranoc! — powiedział duch i wyszedł, nie otwierając drzwi.

— Poszedł? — szepnęła z pod kołdry żona.

— Poszedł, poszedł — uspokoiłem ją.

Gdy następnego dnia wszedłem do sypialni, duch siedział przy stole i rozmawiał z moją żoną.

— Właśnie załatwiłam z Walterem sprawę jego mieszkania u nas — powiedziała żona, nalewając mi kawę.

— Oczywiście, Walter nie ma pieniędzy, ale będzie mi pomagał w domu. Wiesz, może sprzątać, zmywać talerze, a jeżeli przyjdą goście, może wystąpić jako lokaj. Trzypsztyckich szlak trafi, jak zobaczą, że mamy lokaja.

Zawahałem się.

— Mój drogi, za wiele nie możesz wymagać — skarciła mnie żona, podając owsiankę. — Walter nie potrzebuje jedzenia, ani łóżka, zresztą w każdej chwili może się zdematerializować, jeżeli nie będzie w domu potrzebny, więc nie można go traktować, jako normalnego sublokatora. A pomyśl, że kiedy wyjdziemy albo pojedziemy na urlop, zawsze ktoś będzie w domu.

Spojrzałem powątpiewająco na Waltera. Patrzył na mnie oczami, w których malowała się cicha prośba. Uległem.

— Dobrze — powiedziałem. — Niech Walter zostanie.

Walter okazał się nieocenionym nabytkiem. Zupełnie nie zajmował miejsca, prace domowe wykonywał szybko i starannie, a jako lokaj wzbudził zażyłość wszystkich naszych znajomych. Kupiłem mu używany, ale w dobrym stanie, ciemny garnitur, z którego był ogromnie dumny i w którym wyglądał bardzo reprezentacyjnie. Mielismy nawet kłopot, bo wpadł w oko żonom kilku naszych znajomych, które nie dawały mu spokoju. Zasypywano nas prośbami o wypożyczenie Waltera

na wieczór. Opieraliśmy się długo, ale kiedyś żona powiedziała do mnie:

— Dlaczego nie? Dajmy mu trochę zarobić i niech płaci za mieszkanie.

— Dajże spokój — zaoponowałem. Przecież pracuje za mieszkanie.

— No to co? Pieniądze zawsze się przydadzą, a on i tak nie będzie miał co z nimi zrobić.

Zaczęliśmy wypożyczać Waltera na przyjęcia u znajomych, a stopniowo także, jako baby-sittera do pilnowania dzieci podczas nieobecności rodziców. Walter robił to znakomicie: opowiadał dzieciom długie historie o królowej Elżbiecie Pierwszej i zabawiał je, zdejmując głowę z karku i nosząc ją pod pachą. Rodzice, naturalnie, traktowali sprawozdania dzieci o tej sztuce Waltera, jako wytwór dziecięcej fantazji. Nagle stało się coś, co się stać musiało. Walter wrócił do domu i powiedział:

— Odchodzę od pierwszego.

W nas jakby piorun strzelił.

— Ale dlaczego, co się stało?

Walter uśmiechnął się:

— Dostałem pracę u lady Hurstborough — piętnaście funtów na tydzień, pełne utrzymanie, mieszkanie z łazienką i telewizją, dwa dni wolne na tydzień.

— Jakim cudem, skąd? — wyjąkałem.

— Byłem w piwiarni — ja tam często zachodzę...

— Ale przecież Walter nie może pić — zaprotestowałem — Walter jest niematerialny!

— Wiem o tem doskonale, ale lubię towarzystwo. I nie ja jeden. Zauważył pan kiedy w piwiarni ludzi, którzy siedzą cały wieczór nad jedną szklanką piwa, nigdy jej nie tykając?

— Ile razy! — potwierdziłem. — Zawsze się dziwiłem, po co tam siedzą.

— Koledzy po fachu — zaśmiał się Walter.

— Duchy? — zapytała z niepokojem żona.

— A co pani myślała? — zapytał. — Nas tu przecież bardzo dużo, a lubimy towarzystwo. No, ale właśnie od kolegi dowiedziałem się, że wielu naszych pracuje w branży lokajskiej, bo mamy prezencję, potrafimy się zachować...

— Ale tu przecież stał dom Waltera! Tu Walter ma straszyć! — wystąpiła z nowym argumentem żona.

Skrzywił się.

— Pani w to jeszcze wierzy? Ja już nie bardzo. Zresztą, jak będę miał wy-

(Dokończenie obok)



Świat się śmieje

TURYSTYKA POŚREDNIA

Gwarząc na tematy wakacyjne, jeden z przyjaciół zwierza się drugiemu:

„Tak, Alpy Szwajcarskie! Zawdzięczać im najpiękniejsze chwile w moim życiu!”

„Alpy Szwajcarskie? Przecież ty nigdy tam nie byłeś!”

„Ja nie, ale moja żona jeździ tam co roku!”

ZABAWY LETNIE

—W ubiegłym roku oboje z żoną byliśmy nad morzem. Bawiliśmy się znakomicie. Najpierw żona mnie zagrzebała w piasku, a potem ja żonę. W tym roku jadę tam, by ją wyciągnąć z piasku.

DEFINICJE I REFLEKSJE

Zazdrość w miłości — mówi Orson Wells — jest jak pieprz w kuchni: trzeba go używać, ale w miarę.

* * *

Skąpiec — ktoś zauważył — to człowiek, który żyje w ubóstwie poto, aby umrzeć bogato.

* * *

Bernard Shaw twierdził, że nigdy nie mówi się tylu kłamstw co w czasie wojny, po polowaniu, w okresie kampanii przedwyborczej i w dziesięć lat po ślubie.

* * *

Z odczytu na tematy medyczne: „Statystyka wykazuje, że kobiety żyją dłużej od mężczyzn...” Głos z sali: „Szczególnie wdowy.”

* * *

Reżyser i scenograf Pietro Zuffi zapewnia, że na własne oczy widział u wejścia do jednego z kin nowojorskich napis:

„PIEKŁO — DANTEGO —
POWIETRZE KLIMATYZOWANE”

chodne, to może i wpadnę i postrasze dla wprawy.

Tak straciliśmy Waltera. I tylko czasami, kiedy po nocy skrzypią schody, i słysząc tajemnicze stapania po korytarzu, żona już nie wypycha mnie z łóżka, szepcząc:

— Zobacz, co to jest. Przecież jesteś mężczyzną!

Zamiast tego uśmiechamy się porozumiewawczo i szepcemy:

— To Walter!

A potem zasypiamy snem sprawiedliwych.

Wojciech Stefański

Przysłowie meksykańskie: Nie odkładaj do jutra rzeczy, których nie musisz robić.

RÓŻNICE JĘZYKOWE

Nauczyciel w szkole angielskiej otrzymał od pewnej matki-Polki list następującej treści:

„Szanowny Panie Profesorze, pragnę usprawiedliwić nieobecność mego syna na lekcji angielskiego. Gardło boli go tak bardzo, że nawet po polsku z trudem może mówić.”

KONTRATAK

Sprzedawca książek wręczając pani Braun książkę pt. „500 wykretów męża przychodzącego późno do domu”, zauważa: „Jestem pewien, że pani kupi tę książkę”. — „Dlaczego jest pan tak pewny tego?” — „Bo mmaż pani kupił ją kilka dni temu”.

PRECEDENS

Jean Cocteau dowiedziawszy się, że malarz hiszpański Salvador Dali nazaczył cenę 15 tysięcy franków za swój obraz „Chrystus”, powiedział: „Judasza zadowoliliby się trzydziestu srebrnikami”.

WARTOŚĆ NOMINALNA

Bogaty bankier odmówił zapłacenia malarzowi ustalonej kwoty £1000 za swój portret twierdząc, że jest niepodobny do siebie. W jakiś czas potem ten sam portret znalazł się na wystawie z podpisem „Złodziej”. Bankier, oczywiście, gorąco zaprotestował. „Sam pan stwierdził, że to nie pan” — powiedział artysta. W końcu bankier kupił swój portret pod zmienionym tytułem „Filantrop”.

GDY OSTATNI SPADNIE LIŚĆ...

Młoda londynianka wniosła do sądu skargę na swego narzeczonego za niedotrzymanie przyrzeczenia małżeństwa. Obiecał on, że poślubi ją, gdy z drzewa w jego ogrodzie spadnie ostatni liść. Narzeczona widząc, że jeden liść trzyma się na drzewie jakoś zbyt długo, zainteresowała się bliżej tym faktem i stwierdziła, że był to liść sztuczny, zrzęcznie przyczepiony do drzewa.

ŁATWY ZAWÓD

Niezadowolony z naprawionego przez mechanika samochodu lekarz protestował: „Gdybym ja tak leczył pacjentów, jak pan naprawia samochody, to dawno już siedziałbym w więzieniu.”

B.D.I.C

„Tak, ale drogi doktorze, pański zawód jest łatwiejszy” — powiedział niespieszony mechanik. „Łatwiejszy?” „Oczywiście, pan pracuje tylko na dwu modelach i do tego takich, które się nie zmieniają”.

JEDNOMYŚLNOŚĆ

Henryk Spaak przewodnicząc swego czasu na zebraniu Narodów Zjednoczonych powiedział pod koniec obrad: „Porządek rzeczy jest wyczerpany, Sekretarz Generalny jest wyczerpany, panowie są wyczerpani i ja jestem wyczerpany. A więc w końcu przecież osiągnęliśmy jednomyślność.”

Książki i wydawnictwa nadesłane

Kzajmierz Schleyen, **LWOWSKIE GAWĘDY**, ilustrował M. Gramski, opracowanie muzyczne C. Halski, GRYF — LONDYN 1967, str. 158 oraz plan Lwowa. Książka z rodzaju „przewodników serdecznych”, „nasycona mnogością nazwisk i nazw, zdarzeń i żartów, atmosferą dawności wiecznej w nas obecnej... zapachem i...blaskiem Lwowa”.

Juliusz Mieroszewski, **POLITYCZNE NEUROZY**. Instytut Literacki — Paryż, 1967, str. 192 Stawiając tezę, że polskie myślenie polityczne zabarwione jest szkodliwym emocjonalizmem, autor wskazuje na konieczność pragmatycznego traktowania zagadnień politycznych.

Borys Pasternak, **DOKTOR ŻIWAGO**, przekład Pawła Hostowca, Instytut Literacki — Paryż, 1967, str. 544. Nowe wydanie głośnej powieści wraz ze stenogramem ogólnego zebrania pisarzy moskiewskich z dnia 31 października 1958, na którym potępiono Borysa Pasternaka za wydanie za granicą „Doktora Żiwago”.

Jan Krok-Paszkowski, **EUROPA WSCHODNIA w OKRESIE PRZEMIANY**. Polonia Book Fund, Londyn, 1967. Krok-Paszkowski daje analizę zmian, które nastąpiły w krajach bloku sowieckiego w ciągu ostatnich 20 lat. W drugiej części książki autor wysuwa postulat utrzymania więzów gospodarczych między wschodnią i zachodnią Europą, co zwiększy szanse pokoju i bezpieczeństwa w świecie.

Wiktor Budzyński, **TAK ŻYŁEM**, rzecz o Józefie Piłsudskim w setną rocznicę urodzin — na podstawie pism, przemówień, rozkazów oraz utworów drogiego jego sercu, faktomontaż w jednym akcie, nakładem Komitetu Uczczenia Setnej Rocznicy Urodzin Józefa Piłsudskiego, druk GRYF Printers — Londyn, 1967, str. 39, studium portretu J. Piłsudskiego oraz winieta i okładka Tadeusza Terleckiego.

audycji była m.i. mowa o zamierzonym wysłaniu b. premiera Aleksandra Prystora z wizytą do Kowna. Moja uwaga na marginesie tej wizyty, wprowadziła nawet Marszałka w dobry humor. O wizycie Prystora i późniejszej — Anatola Mühlsteina pisałem również w „Spowiedzi Pokolenia”. Wiem, że Prystor natychmiast po powrocie z Kowna udał się do Marszałka, by złożyć sprawozdanie. Przygotowywał je pilnie, wypytując o różne sprawy. Nie znajduję więc wytłumaczenia, dlaczego p. Walewski pisze, że relacje Prystora i Mühlsteina „znane już były częściowo Marszałkowi”. Wycieczka Mühlsteina nie miała poważniejszego znaczenia, więc mógł ją znać „częściowo”. O wizycie Prystora wiedział wszystko.

Tadeusz Katelbach

DZIEJE GÓRNICICTWA I HUTNICTWA WOJCIECHA ZALESKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze;

Pan był tak uprzejmy, że umieścił w swoim czasie mój „List do Redakcji”, w którym apelowałam do społeczeństwa emigracyjnego o pomoc w wydaniu książki mego śp. Męża, Wojciecha Zaleskiego, „Dzieje Górnicztwa i Hutnictwa na Górnym Śląsku (do r. 1806)“.

Pragnę tą samą drogą zawiadomić teraz to społeczeństwo, że w wyniku apelu mojego, ogłoszonego w szeregu pism, otrzymałam całkiem sporą ilość zgłoszeń przedpłat, co skłoniło mnie do powzięcia decyzji rozpoczęcia druku.

Wprawdzie pozostaje jeszcze spory deficyt, ale mam nadzieję, że dalsze przedpłaty go usuną, lub zmniejszą.

Książka już się drukuje i obejmuje przeszło 400 stron dużego formatu. Cena w przedpłacie wynosi 6 dolarów amerykańskich, lub 2 funty angielskie, 30 franków francuskich, 24 marki niemieckie. Wpłacać można pod adresami pp.:

Juliusza Grzędziela, Box 124, Kraków, Wisconsin, USA;

Janiny Giertychówny, 16 Belmont Road, London, N.15;

W. Olszewskiego, 39 Av. de la République, 95 Bessancourt, Francja;

St. Czaplńskiego, Caixa postal 2378, Curitiba, Parana, Brasil.

Z dniem 1 sierpnia br. przedpłata zo-

stanie zamknięta, a cena podwyższona o 50 procent.

Łączę wyrazy poważania
A. Zaleska
Madryt

W NIEZGODZIE Z „REWIZJONISTĄ ZZA KRZAKA“

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 31/1178 z lutego 1967 roku „Orla Białego“ redakcja podaj: nam streszczenie artykułu i toczącej się wokół niego dyskusji na łamach miesięcznika „Wiadomości Polskie“ wychodzącego w Kanadzie.

Nie lubię zabierać głosu w dyskusji wywołanej artykułem napisanym przez anonimowego autora. W szczególności poglądy polityczne dotyczące nas i naszego kraju, drukowane w prasie a więc podawane urbi and urbi nie podpisane pełnym nazwiskiem ich wyznawcy, robią na mnie wrażenie, że wysunął je człowiek obdarzony podwójną dozą przezorności, aby określić to jak najdelikatniej.

W tym wypadku jednak trudno mi przejść do porządku dziennego nad „Rewizjonistą z za krzaka“, a to tylko dlatego, że jego poglądy dostąpiły zaszczytu przedrukowania w naszym piśmie, piśmie Polski Walczącej z dumnie wydrukowanym hasłem w nazwie wydawnictwa „ZWYCIĘŻYMY“.

Szcześliwa jest Redakcja naszego „Orla Białego“ żyjąc w środowisku, w którym tezy wysuwane w omawianym artykule i dyskusji mogą uchodzić za ciekawe i pożyteczne. My żyjący na antypodach, oddaleni o dziesiątki tysięcy mil od ognisk polskiego życia politycznego, mamy aż nadto dużo różnych „rewizjonistów“, wraz z ich poglądami o ewolucji komunizmu i od teże ewolucji uzależniających polski program polityczny.

Możemy pochwalić się nawet niebywałym sukcesem, bodaj czy nie jedynym na emigracji, kiedy to jeden z tygodników polskich wychodzących w Sydney w numerze z dnia 17-go lipca 1966 roku a więc w czasie kiedy naród w kraju manifestował jak najgoręcej swoje antykomunistyczne nastawienie, w czołowym swym artykule dochodził do konkluzji, aby nie przeciągać struny w dążeniu do niezależności Polski, bo tym samym kopie Jej grób.

Do tego już doszliśmy!

Powróćmy jednak do Kanady i jej „Rewizjonisty z za krzaka“. Krótko i zwięźle załatwia się on z programem politycznym naszej emigracji: „Na zewnątrz niepodległość, na wewnątrz ustrój demokracji parlamentarnej“. Ja osobiście jeszcze bardziej bym skrócił ten program: na zewnątrz i na wewnątrz NIEPODLEGŁOŚĆ a ustrój wybierze sobie wolny i niepodległy naród polski.

O programie takim nie można powiedzieć „nie wiadomo jak go realizować“, a w najgorszym razie nie wiadomo KIEDY go zrealizujemy. Na pewno nie zrealizujemy go nigdy szukając wymagowanych kompromisów ze strony komunistów i wykonywując z zachwytem cudackie prysydy przed nie istniejącą ewolucją wczorajszych zbrodniarzy.

Apodyktycznie stwierdza autor z Kanady, że Polacy w kraju odczyli się marzeń, że nawet sam temat niepodległości ich drażni. Otóż w tym krótkim zdaniu szanownego autora leży pies pogrzebany. Marzyć można o niebieskich migdałach, natomiast do rzeczy tak zwykłej, naturalnej jak wywalczenie niepodległości kraju, odbudowanie własnej państwowości, trzeba podchodzić nie przez marzenie, ale przez konstruktywną pracę całego zjednoczonego uchodźstwa politycznego, działającego ręką w rękę z Krajem, pod jednolitym kierownictwem świadomym swego celu i dostosowującym metody działania do danych okoliczności.

Naród w kraju, żyjący od przeszło dwudziestu lat w tak strasznych warunkach, gdyby oddawał się marzeniom a nie twardej bezkompromisowej walce o przetrwanie, przestalby istnieć. Lecz ten sam naród zobaczywszy nie marzenia, ale pożyteczną pracę emigracji, zmierzającej wszelkimi środkami do umożliwienia Krajowi swobodnego wypowiedzenia się w jakich warunkach chce on żyć, udzieli nam, w swojej ogromnej większości, poparcia. Wszak nie jest dla nas tajemnicą, tak zresztą jak i nie jest tajemnicą dla tow. Gomułki wraz z całą jego czeredą, jakie są prawdziwe uczucia narodu w stosunku do przybyszów z za Berezyny i Zbrucza. Poco więc okłamywać siebie i innych, że naród wyrzekł się niepodległości i wpada w rozdrażnienie nawet na wzmiankę o niej. Owszem wiemy, że w takie rozdrażnienie wpadł tow. Gomułka, na samą

(Dokończenie obok)

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, Editions ELKA S.A.R.L. c/c p. No. 5507-30 Centre Paris, oraz na pld. Francje — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.);

W BELGII: J. Korab Bzozowska-Csáky, 19, Rue Amédée Lynen, apt. 67, Bruxelles 3, konto poczt. 7315-20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen, Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTynie: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Biełkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, Ł. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

sugestię opuszczenia Polski przez wojska rosyjskie, no ale, ku chwale ojczyzny, Gomułka to nawet nie pięć procent narodu.

Zadziwiające jest, jak łatwo rozmaici rewizjoniści zarzucają nam nierealność w naszych dążeniach niepodległościowych a jednocześnie nie spostrzegają utopii w wymarzonej przez nich ewolucji komunizmu.

Autor z Kanady marzy o wprowadzeniu przez komunistów swobód obywatelskich, gwarantowanych przez konstytucję. Ma to nastąpić na skutek „zdecydowanej opozycji” wobec obecnych rządów dyktatorskich, w oparciu o wspaniałą konstytucję P.R.L., „która przecież gwarantuje poszanowanie godności człowieka, wolność publicznego wyrażania przekonań, wolność zebrań publicznych, tworzenia organizacji politycznych nie komunistycznych”... itp. itp.

Czyż, doprawdy, autor z Kanady poważnie traktuje swoje marzenia? Toż nawet niemowlę w Polsce a uczciwy człowiek na emigracji zdaje sobie sprawę, że stworzenie niekomunistycznej organizacji politycznej, byłoby końcem reżymu po pierwszych uczciwych wyborach sejmowych. Czy szanowny autor widzi choć najniższe oznaki, że reżym nawet pod naciskiem „zdecydowanej opozycji” mógłby urządzić zbiorowe samopalenie siebie samego? A jeżeli nawet zacni, uczciwi towarzysze z Komitetu Centralnego, którzy nie chcą nic innego tylko dobra Polski, dla tegoż dobra, zdecydują się urządzić wspaniałe barbecue na placu przed Pałacem Kultury to czy im Rosja nie przeszkodzi w urzędzeniu takiego spektaklu? Toż przecież jedyny przyjaciel i gwarant P.R.L. bratni naród radziecki straciłby wygodną i inatratną pozycję „protektora” i musiałby zamienić się albo w ordynarnego okupanta, albo spakować manatki i wynosić się z Prywilejów. Pierwsza alternatywa wydaje się nie bardzo wygodna w dobie antykolonializmu, druga wręcz nieprawdopodobna. Nie było wypadku w historii, aby ten twór państwowy poczynawszy od Iwana Trzeciego poprzez wszystkich Romanowych, Stalinów, Kruszczewów czy Breżniewych oddał dobrowolnie co raz zagrabili i przez swoich zauszników trzymali w pazurach.

I od nich rozmaici rewizjoniści oczekują ewolucji w kierunku odbudowania swobód obywatelskich. I ludzi rządzących Polską z woli i ramienia Kremla panowie ci chcą uznać za rząd polski, z którym można będzie pertraktować i opierając się na prawie konstytucyjnym, zażądać od nich wprowadzenia urządzeń demokratycznych w kraju.

Stanowsko takie, wraz z pobożnym życzeniem przekształcenia naszej niepodległościowej emigracji wraz z patriotycznym społeczeństwem w kraju, na najlojalniejszą opozycję jego komunistycznej mości namiestnika Gomułki wydaje mi się nie do przyjęcia przez nas, co więcej nasuwa ponurą myśl o jeszcze jednym wysiłku tow. Moczara skierowanym przeciw emigracji politycznej.

Stanisław Różycki
Melbourne, Mentone

Fraszki

B.D.I.C

Niezawodny sprawdzian

Szczyt aroganckiego zachowania:
Kiedy mi się kto pierwszy nie kłania.

Pytanie właściwie retoryczne

Przyszła wiosna, idzie lato.
I cóż wy na to?

Wszyscy jesteśmy wyjątkami

Człowiek do końca ma wciąż nadzieję,
Że on się jeden nie zestarzeje.

Trudności reformatora

Największe są z tym trudności,
Gdy się pragnie coś uprościć.

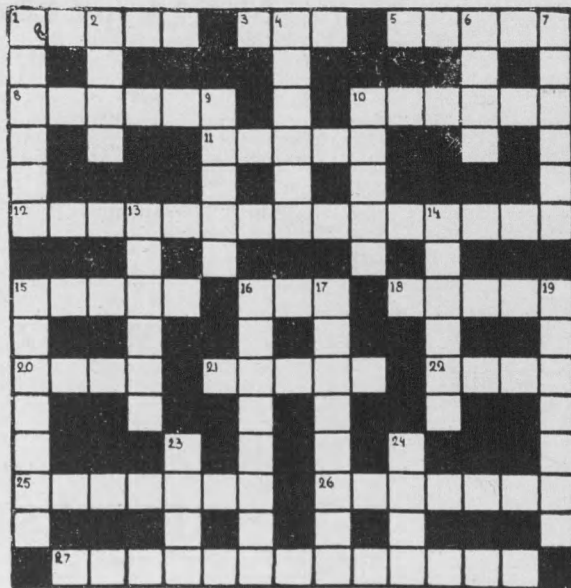
RAWICZ

KRZYŻÓWKA Nr 594/67

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) namiętność; 3) i 16) zderzenie; 5) dramat Racine'a (wspak); 8) styl XVIII wieku; 10) niech go Pocięć ma za dobrodzieja; 11) luki; 12) w obowiązku to nie na weselu (6, 3, 6). 15) regionalne okrycie; 18) pod rękę z deszczem?; 20) i 22) wilk w owczej skórce?; 21) o nich komiczna epopeja Krasickiego; 25) rzemień (wspak); 26) najwybitniejsza królowa Hiszpanii; 27) niedaleko Tamtej Strony? (1, 7, 5).

Pionowe: 1) góra Muz; 2) i 6) niszczy cudze mienie; 4) konie Achillesa; 7) niedolega muzyczny?; 9) symptom; 10) surowiec z Zambii; 13) grabież (wspak); 14) porozumienia; 15) pachnący desień?; 16) jasny i przejrzysty jak lza; 17) skutek paniki (wspak);



19) zamek w Toledo; 23) i 24) nigdy ich, mężu, od żony nie oczekuj!

PODZIĘKOWANIE

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę tą drogą serdecznie podziękować p. majorowi Stefanowi Grucy za sporządzenie mapki pola bitwy w Norwegii jako swój bezinteresowny, przyjacielski wkład do mojej pracy o bitwie pod Narvikiem.

Łączę szczerze wyrazy uszanowania

W. Witrylak
Londyn

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 593/67

Poziome: 1) i 5) siarczasty, 3) i 16) strach, 8) magiel, 10) caryca, 11) Urban, 12) Niewierny Tomasz, 15) i 18) zapaleń, 20 i 22) dyrektor, 21) chory, 25) biernik (wspak), 26) Delibes, 27) krok za krokiem.

Pionowe: 1) Samson, 2) i 6) Augustyn, 4) trybun, 7) zapasy (wspak), 9) Luter, 10) cnoty, 13) wianek, 14) Monika, 15) zadymka, 16) Alhambra, 17) harmider, 19) chrzest, 23) kret (wspak), 24) kula (wspak).

BIBLIOTEKA „KULTURY“

Wydawca: Institut Litteraire, S.A.R.L., 97, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par Maissons - Laffitte (Yvelines), France

posiada w swym dorobku wydawniczym 143 tomy utworów: powieści, poezji, esejów,
dokumentów, zeszytów historycznych.

Oto najnowsze publikacje Biblioteki „Kultury“:

Tom 138

WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK (1961 — 1966)

Operetka

Poza trzecim tomem Dziennika książka zawiera libretto Operetki. Jest to niezmiernie interesująca
próba wykorzystania formy scenicznej — od dawna należącej do lamusa bele époque.

Cena: 24/6, F.16.50, dol. 3.50

Tom 139

ALEKSANDER HERTZ

REFLEKSJE AMERYKAŃSKIE

Analiza współczesnej rzeczywistości amerykańskiej opracowana przez autora „Amerykańskich
stronniów politycznych“.

Cena: 24/6, F.16.50, dol. 3.50

Tom 140

SERIA „ZESZYTY HISTORYCZNE“

Styczeń 1967 — Nr 11

zawiera między innymi prace:

J. Weinsteina: Władysław Studnicki w świetle dokumentów hitlerowskich II wojny światowej,

St. Kota: Wspomnienia (cz. I),

M. Młotki: Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich (cz. I),

St. Lubodzieckiego: Wspomnienia oficera drugiej grupy.

Cena: 20/-, F.15.00, dol. 3.00

Tom 141

OLGA SCHERER

W CZAS MOROWY

Powieść

Cena: 20/-, F.15.00, dol. 3.00

Tom 142

ALICJA ZAWADZKA-WETZ

REFLEKSJE PEWNEGO ŻYCIA

Wspomnienia

Cena: 24/6, F.16.50, dol. 3.50

Tom 143

BONIFACY MIĄŻEK

ZIEMIA OTWARTA

Poezje

Cena: 9/-, F.6.00, dol. 1.25

GENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWO INSTYTUTU LITERACKIEGO W PARYŻU NA WIELKĄ BRYTANIĘ

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7. Tel.: KNI 3500